



Bardzo rzadko – na szczęście – korzystam rankiem z usług kijowskiego metra. Na szczęście, bo obrazki, które można zobaczyć w tym rodzaju transportu mogą przyprawić jedynie o ból głowy (i serca) oraz spowodować wzrost ciśnienia tętniczego.

I tak, ranek w wagonie metra. Bardzo młodzi, zdrowo wyglądający ludzie siedzą. W rękach trzymają smartfony, iPhony i inne tego rodzaju cuda techniki. Wszyscy są bardzo skupieni i niezwykle zajęci. Grają „w kulki”. Owa gra tak ich pochłania, że wprost nie mogą się od niej oderwać. Oderwać się, by popatrzeć na towarzyszy podróży. Gdyby mogli to zrobić, to zapewne zauważyliby, że tuż obok nich stoją ludzie w wieku ich rodziców i dziadków. I wówczas z całą pewnością zerwaliby się ze swoich miejsc i ustąpili miejsca starszym. A na dodatek przeprosili za to, że nie od razu ich zauważyli. Może na twarzach młodych ludzi pojawiłby się rumieniec wstydu?..

Tak, wiem. Wszystko to, co powyżej napisałam można potraktować jedynie jako opowieść w stylu since-fiction lub tzw. „pobożne życzenia”. I jeśli ktoś uważa, że na Ukrainie jeszcze nie nastąpiła demokracja, to taka osoba całkowicie się myli. Najbardziej demokratycznymi miejscami w Kraju nad Dnieprem są środki transportu. Tutaj obowiązuje zasada „kto pierwszy, ten lepszy”. Kto usiadł, ten siedzi. I NIC nie jest w stanie ruszyć go z miejsca. A owo NIC to po prostu sumienie, dobre wychowanie, które nakazuje okazywanie szacunku starszym. Zawsze i wszędzie. Bo czas ma tę wadę, że nieustannie płynie. Do przodu. Minie kilkanaście lat i dzisiejszy „zdemokratyzowany” młodzieniaszek będzie musiał balansować na stojąco w metrze. Na chorych nogach i z podwyższonym ciśnieniem. Bo jak inaczej można zareagować na brak respektu ze strony młodych i zdrowych...

Dorota JAWORSKA

KRYNICA

kwartalnik mniejszości
polskiej na Ukrainie

Zespół redakcyjny:

Dorota Jaworska (red. naczelny)
Mariusz Woźniak OP
Stanisław Panteluk
Ołeksij Braślawiec

Stali korespondenci:

Teresa Dutkiewicz (Lwów)
Stanisław Stępień (Przemyśl)
Jan Ciechanowicz (Wilno)
Wiktoria Wachowska (Żytomierz)
Michał Micel (Nowy Jork)

Skład i łamanie:

Wydawniczy Oddział Instytutu Nauk
Religijnych Św. Tomasza z Akwinu
Red. tech. Mychajło Rojik
Zdjęcie na 1–4 str. okładki:
Dorota Jaworska



SENAT
RZECZYPOSPOLITEJ
POLSKIEJ

„Projekt współfinansowany w ramach sprawowania opieki Senatu Rzeczypospolitej Polskiej nad Polonią i Polakami za granicą”

Koordynator projektu:
Fundacja Wolność i Demokracja



Kontakt z redakcją:
tel/fax: +380 (44) 570 19 45
e-mail: dorota57@ukr.net
www.kresy24.pl

SPIS TREŚCI:

WYDARZENIA

W „Rodzinie” wszystko w porządku! (Antoni KOSOWSKI)	2
Nauka i... zabawa (Andżelika PŁAKSINA)	3
Teatr zapomniany (Katarzyna NOWIKOWA)	4
Pamiętamy (A.P.)	5
Dzień Pamięci we wsi Raska (A.P.)	5
Język polski w Krzywym Rogu (Ołeksij KAZAKOW)	6
Pod znakiem pisanek (Stefan WIELOCH)	7
Dwudziestolecie chersońskiej „Polonii” (Swietłana SZUWAŁOWA, Paweł ELIAS)	8
Bez pamięci – nie ma przyszłości! (Stanisław PANTELUK)	9
Wielkie święto Polski w stolicy Ukrainy (Eugeniusz GOŁYBARD)	10
Porozumienie polsko-ukraińskie (Antoni KOSOWSKI)	11
Piszemy po polsku (Maria CZERNIAK, Stanisław PANTELUK)	12
Pamięci arcybiskupa Piotra Malczuka	13

INFORMACJE

W telegraficznym skrócie	14
------------------------------------	----

ROK 2016

2016 rokiem Chrztu Polski, Cichociemnych, Sienkiewicza i Nowowiejskiego	16
--	----

W KRAJU

Polski Kijów w Warszawie (Joanna LASKOWSKA)	18
Seminarium (Janusz FUKSA, Barbara BOROWSKA-SATŁAWA)	19

POLSKA, UNIA, ŚWIAT

Warszawskie felietony Mikołaja Oniszcuka	20
--	----

SOCJOLOGIA

Specyfika wychowania religijnego w rodzinach wielowyznaniowych (Olena ŁAGOWSKA)	22
--	----

APEL

Pamięć (Ks. Witold-Yosif KOVALIV)	27
---	----

HISTORIA

Historia z doktorem Janem Matkowskim	28
--	----

POSTACI

Włodzimierz Antonowicz – ojciec ukraińskiej historiografii (Jan CIECHANOWICZ)	34
--	----

WSPOMNIENIA Z KIJOWA

Tamten dawny Kijów. Cz. II (Włodzimierz BARTOSZEWICZ)	46
---	----

PROZA

Na dnie czarnego piórnika (Małgorzata ŻURECKA)	58
--	----

POEZJA

„Wierszem rozmawiam ze światem”. Poezja Elżbiety Ferlejko	62
---	----

DLA NAJMŁODSZYCH

Tak łatwo być dobrym... (Edward GUZIAKIEWICZ)	68
---	----

W „RODZINIE” WSZYSTKO W PORZĄDKU!

Prezentacja 15-letniego dorobku Polskiego Stowarzyszenia Kulturalno-Oświatowego „Rodzina”, działającego w podki-jowskich Browarach, zaczęła się zaskakująco, bo na scenie – przy skrupulatnie dobranym akompaniamencie muzycznym – pojawiali się członkowie „Rodziny”, reprezentując kolejne etapy konsolidacji Stowarzyszenia, jego kółka, które różnią się pod względem wieku i zainteresowań.

Przedstawieniu temu towarzyszył pełen humoru, ale także głębokiej treści komentarz prowadzących. Powiadają, że dobry konferansjer może uratować najgorszą imprezę, zaś kiepski zepsuje nawet najlepszą. Prawdziwy popis konferansjerki, bez przesadnego (a tak powszedniego dziś) hałasu, pompatyczności i patosu zaprezentowały: Grażyna Weligorska (lektorka języka polskiego) i sama prezes Stowarzyszenia „Rodzina” – Helena Nowak.

Uroczę konferansjerki powitały zgromadzonych na sali jubilatów i zaproszonych gości. A uroczystości zaszczylicili swoją obecnością Konsul Generalny RP w Kijowie Tomasz Dederko z małżonką, dyrektor „Domu Polskiego” Maria Siwko, członek Stowarzyszenia, kierownik departamentu gospodarczego Browarów Mikołaj Zagumennyj, dyrektor browarskiego przedstawicielstwa Wyższej Szkoły Gospodarki w Bydgoszczy Ołeksij Maksak, wikariusz parafii Matki Bożej Nieustającej Pomocy o. Laurencjusz Jan Żezicki OSPPE.



„Dusza gra i śpiewa, kiedy się uczestniczy w takim przedstawieniu. Życzę Państwu dalszej owocnej współpracy, nowych ciekawych poczyniń i pomyślnego życia w Rodzinie” – powiedział Konsul Generalny RP w Kijowie, gratulując i wręczając kwiaty prezes PSKO Helenie Nowak

Następnie zebrani burzliwie oklaskiwali wartki program złożony z piosenek, tańców i poezji w wykonaniu uzdolnionych amatorów, reprezentujących w większości całe rodziny, oraz dwóch zespołów działających przy Towarzystwie: „Muzyczny dżem” i „Wszystko w porządku”.

Najbardziej aktywni członkowie Stowarzyszenia „Rodzina”, a tacy stanowią tu totalną większość, otrzymali podziękowania i dyplomy uznania.

Radosny nastrój, śpiewy i toasty towarzyszyły drugiej części imprezy, która odbyła się przy rodzinnym, pełnym smakołyków stole. Wspominano lata spędzone razem w ciepłej atmosferze Polskiego Stowarzyszenia Kulturalno-Oświatowego „Rodzina”.

Antoni KOSOWSKI



Zespół wokarno-taneczny „Wszystko w porządku” pod kierownictwem Maryny Dmytrenko i Natalii Czekanowskiej. W składzie reprezentanci rodzin: Dmytrenków, Czekanowskich, Artemjowych, Kołomyjców, Popławskich, Karaszczuków oraz lektor języka polskiego dr Maria Czerniak (Zdj. Andżelika Plaksina)

NAUKA I... ZABAWA

Lekcje otwarte w szkole to rzecz normalna. Uczniowie mają na nich możliwość zaprezentowania własnych pomysłów, a zadania, które otrzymują od nauczyciela – są dostosowane do ich potencjału twórczego. Zajęcia aktywizują wszystkie dzieci, rozwijają wyobraźnię, pozwalają improwizować, wyeliminować stres; uczą obiektywnej oceny własnej pracy i wiedzy, dają szansę pochwalenia się sukcesami w różnych konkursach oraz zaprezentowania efektów pracy na zajęciach pozalekcyjnych. Rodzice są zainteresowani taką formą pracy i licznie w niej uczestniczą, bo dzięki temu zdobywają wiedzę o umiejętnościach i możliwościach swoich dzieci.

Właśnie taka otwarta lekcja języka polskiego odbyła się z okazji Dnia Kobiet w jednej z trzech placówek Polskiej Szkoły Sobotniej działającej przy Związku Polaków na Ukrainie. W przededniu święta dla szanownych gości i rodziców specjalnie przygotowała ją i przeprowadziła dyrektor szkoły Łesia Jermak.

Lekcję zaszczyliła swoją obecnością Konsul RP w Kijowie Agnieszka Rączka, która w dużym zainteresowaniem obserwowała trud uczniów, ich zmagania z



Konsul Agnieszka Rączka doskonale bawiła się z uczniami

ćwiczeniami praktycznymi. Efektem pracy uczniów były tematyczne plakaty, ilustracje oraz indywidualne wypowiedzi, ciekawa praca w grupach. Interesującym elementem lekcji było nauka prawidłowego przeprowadzania wywiadu.

Goście byli zachwyceni aktywnym uczestnictwem uczniów w lekcji, ich wielką wiedzą oraz kreatywnymi i poprawnymi wypracowaniami. Chętnie brali udział we wspólnej zabawie.

Andżelika PŁAKSINA



Dyrektor Polskiej Szkoły Sobotniej Łesia Jermak i jej uczniowie

TEATR ZAPOMNIANY

15 marca br. w Kijowskim Polskim Kulturalno-Oświatowym Stowarzyszeniu im. Adama Mickiewicza odbyło się spotkanie ze znanym pisarzem, historykiem i krajoznawcą Stanisławem Calikiem, poświęcone działalności przedwojennego Polskiego Teatru w Kijowie.

Historyk opowiedział o losie przedwojennego polskiego teatru w oparciu o własne badania archiwalne. Temat to niezwykle ważny, gdyż jest białą plamą w historii Kijowa i polskiej wspólnoty miasta. Przed otwarciem archiwów niewiele wiedziano, poza wzmiankami osób starszych, o tym, że mieścił się w budynku współczesnego Młodzieżowego Teatru (w czasach Związku Radzieckiego kina „Komsomolec Ukrainy”) przy ul. Proriznej, wówczas ul. Swierdłowa. A był to pierwszy polski teatr za czasów władzy sowieckiej przed II wojną światową, jednak nie pierwszy w ogóle – wcześniej w Kijowie było wiele słynnych polskich grup teatralnych.

Dowiedzieliśmy się, że los tego teatru był jednocześnie szczęśliwy, jak i tragiczny. Szczęśliwy, bo Polski Teatr cieszył się popularnością u kijowian, sala zawsze była pełna widzów, a premiery odbywały się przy przepelnionej widowni. Tragiczna natomiast, ponieważ władze często zmieniały kierownictwo teatru. Wielu jego członków rozstrzelano, a w 1938 roku ostatecznie teatr zamknięto.

Stanisław Calik cytował mało znane dokumenty archiwalne: raporty ówczesnego konsula Polski w Kijo-

wie do ambasadora Polski w Moskwie, protokoły posiedzeń Komitetu Centralnego Komunistycznej Partii (Bolszewików) Ukrainy, protokół walnego zgromadzenia Teatru Polskiego, a także recenzję o moskiewskich występach teatru, opublikowaną w czasopiśmie „Revolucja i narodowość” (nr 11 z 1934 r.). Dokumenty te dobitnie oddają atmosferę życia teatru, informują o jego repertuarze i czołowych aktorach.

Wszystkich obecnych na spotkaniu wzruszyła opowieść o smutnym losie kijowskiego teatru polskiego, zlikwidowanego przez władzę sowiecką. Enkawudziści dokonywali aresztów aktorów nie tylko w nocy, w ich domach, ale nawet w biały dzień, wprost na próbach teatru. Ofiarami terroru stalinowskiego padło 19 artystów teatru. Być może uda się ustalić ich nazwiska. Wówczas przy pomocy kwerendy archiwalnej pojawi się możliwość odtworzenia życiorysów tych osób oraz wyjaśnienia miejsca ich pochówku w Bykowni pod Kijowem (obecnie Narodowy Kompleks Historyczno-Memorialny „Groby Bykowniańskie”).

Na szczęście zachował się budynek teatru przy ul. Proriznej. Jednak mało kto z kijowian wie, że do II wojny światowej w jego murach funkcjonował Polski Teatr. Z całą pewnością warto przypomnieć tę ciekawą historię z życia przedwojennego Kijowa, wmurowując tablicę pamiątkową na fasadzie kamienicy.

Katarzyna NOWIKOWA



Stanisław Calik
opowiada
o Polskim Teatrze
w Kijowie

PAMIĘTAMY

10 kwietnia br., w szóstą rocznicą tragedii smoleńskiej wyrazy współczucia przekazali Polsce przedstawiciele najwyższych władz Ukrainy: premier Arsenij Jaceniuk i minister spraw zagranicznych Pawło Klimkin.

Polacy na Ukrainie oddali hołd ofiarom zbrodni katyńskiej oraz uczcili ofiary katastrofy samolotu Tu-154M. Uroczystości odbyły się w wielu polskich środowiskach na Ukrainie, m.in. we Lwowie, Żytomierzu, Winnicy i na Cmentarzu Ofiar Totalitaryzmu w Piatichatkach pod Charkowem.

W Kijowie ofiary obu tragedii, tej z 1940 i tej z 2010 roku, wspominano podczas Mszy świętej w kościele pod wezwaniem św. Aleksandra, a następnie na Polskim Cmentarzu Wojennym w podstołecznej Bykowni, gdzie spoczywają ofiary terroru NKWD.



Uroczystości żałobne na Polskim Cmentarzu Wojennym w Bykowni

Na cmentarzu homilię wygłosił proboszcz parafii Chrystusa Króla ks. dr Wiesław Pęski SAC.

Kierownik Wydziału Politycznego Ambasady Rzeczypospolitej Polskiej na Ukrainie, Marta Tywańczuk, podziękowała wszystkim za pamięć, za modlitwę i udział w uroczystościach.

A.P.

DZIEŃ PAMIĘCI WE WSI RASKA

11 kwietnia 2016 roku w rejonie borodiańskim odbył wiec-requiem w pamięć o zagładzie zamieszkałej przez Polaków wsi Raska, dokonanej przez hitlerowców 73 lata temu w czasie II wojny światowej.

Na uroczystość, która odbyła się na cmentarzu, pod pomnikiem, gdzie spoczywa ponad 630 ofiar tej bestialskiej zbrodni, gromadnie przybyli mieszkańcy wsi Raski (gdzie obecnie zamieszkuje zaledwie 150 osób) i okolicznych miejscowości, przedstawiciele regionalnych organizacji i instytucji społecznych i politycznych, uczniowska młodzież, przedstawiciele mediów.

Obecni minutą ciszy uczcili pamięć zamordowanych. Mszę żałobną celebrował ksiądz proboszcz Krzysztof Dulęba z kościoła św. Anny w Malinie. Następnie obecni wysłuchali kompozycji słowno-muzycznej poświęconej tej tragedii.

Słowa oburzenia pod adresem oprawców i współczucia krewnym ofiar wyrazili czcigodni goście i gospodarze, m.in.: przewodniczący Rady Rejonu Borodiańskiego Georgij Jerko, przewodniczący Borodiańskiej Rejonowej Administracji Państwowej Ołeksandr Jankowij, Konsul Generalny RP w Kijowie Tomasz Dederko, prezes Borodiańskiego Oddziału Związku Polaków Ukrainy Arse-

niesz Milewski, wiceprezes BO ZPU i starosta wsi Raska Walenty Kowalski.

Znane jest nazwisko zbrodniarza, którego ręce zbiorzone są krwią tysięcy zamordowanych mieszkańców obwodu kijowskiego. Był nim szef borodiańskiej dzielnicowej komendantury okupacyjnej – Oscar Wallizer. To właśnie on w 1943 roku kierował w Rasce jedną z takich nikczemnych akcji.

Zbrodni tej nigdy nie uda się wytrzeć z ludzkiej pamięci. Każdej wiosny ludzie przychodzą na ten niewielki skrawek lasu przesiąknięty krwią, aby uczcić pamięć niewinnie zamordowanych i uprzytomnić żyjącym współcześnie, jak tragiczne mogą być skutki stosowania przemocy do rozstrzygnięcia sporów.

A.P.



Na miejscu kaźni bezbronnych mieszkańców wsi Raski oddano hołd pamięci pomordowanych

JĘZYK POLSKI W KRZYWYM ROGU

Język polski staje się coraz bardziej popularny wśród obywateli Ukrainy. Wielu ukraińskich przedsiębiorców zakłada swój biznes w Polsce, ukraińska młodzież pragnie zdobywać wyższe wykształcenie na polskich uczelniach, niemało obywateli Ukrainy znalazło swe miejsce na polskim rynku pracy. Wszyscy oni starają się nauczyć języka polskiego, aby bez trudu porozumiewać się z pracodawcami, kolegami z pracy itp.

Mnóstwo mieszkańców Ukrainy ma polskie korzenie, co czyni język polski językiem mniejszości narodowej. Zgodnie z Konstytucją, przedstawiciele każdej mniejszości mają prawo do nauki języka ojczystego, dlatego w szeregu ukraińskich szkół prowadzone są lekcje języka polskiego jako obcego, zaś w niektórych szkołach na Podolu, Wołyniu i w Galicji polskiego uczą się w coraz szerszym zakresie.

W Krzywym Rogu, który jest położony 1000 km od granicy Polski, w Szkole Nr 103 dzieci także mają możliwość uczyć się języka polskiego. O osobliwościach i warunkach pracy w mieście górników i hutników opowiedziała nauczycielka, pani Ludmiła Matrosowa.

Pani Ludmiła pracuje jako nauczycielka od trzech lat. Idea, by zostać nauczycielką była jednym z efektów współpracy Związku Polaków Krzywego Rogu „Ojczyzna” z wyżej wymienioną szkołą, w ramach realizacji różnego rodzaju miejskich projektów, jak np. Festiwal Kultur Narodowych „Jedyna rodzina moja Ukraina”.

Właśnie podczas wizyty Konsula Generalnego RP p. Jana Granata w tej szkole zrodził się pomysł, aby wprowadzić język polski jako drugi język obcy. Zawód nauczyciela, jak zaznacza pani Ludmiła, nie jest łatwy, jako że nauczyciel jest lekarzem dusz ludzkich. Jednak praca z dziećmi zawsze jest bardzo interesująca, bo

dzieci są otwarte na zdobywanie nowej wiedzy i z entuzjazmem uczą się polskiego.

Największym problemem są podręczniki, a właściwie ich brak. Według pani Matrosowej, szczególnie dało się to odczuć w drugiej połowie roku szkolnego, kiedy nie było podręczników dla klasy siódmej. Dzięki wolontariuszom z Polski szkoła posiada obecnie podręczniki „Raz, dwa, trzy i po polsku mówisz Ty”, które pomagają dzieciom uczyć się gramatyki, ortografii, rozumienia na słuch. Jednak w podręcznikach tych brakuje niektórych tematów, np. „Moja rodzina” czy „Moje miasto”.

Należy podkreślić, że dzieci chętnie uczą się języka polskiego, bowiem widzą perspektywę wyjazdu do Polski w ramach różnych programów młodzieżowych. Tak, na przykład, uczniowie klasy siódmej już nie mogą doczekać się, kiedy skończą 15 lat, aby skorzystać z tej możliwości. Takie programy sprawiają, że nauka języka polskiego to nie tylko zwykłe magazynowanie wiedzy, ale także możliwość zastosowania nabytych umiejętności w realnym życiu, podczas kontaktów z mieszkańcami Polski.

Pod koniec rozmowy pani Ludmiła zaznaczyła, że ma na najbliższą przyszłość ambitny plan. Pragnie przygotować zdobywcę nagrody na Obwodowej Olimpiadzie Języka Polskiego. Zapewne tak właśnie się stanie, gdyż szkoła ma doskonałą bazę do nauki języków obcych i wielu jej uczniów zdobywało już nagrody w konkursie języka ukraińskiego, angielskiego i niemieckiego.

Uczniowie pani Matrosowej mówią, że bardzo lubią swoją nauczycielkę, bo jej lekcje są zawsze interesujące, a ich wiedza jest zawsze sprawiedliwie oceniana.

Ołeksij KAZAKOW

Związek Polaków Krzywego Rogu „Ojczyzna”



Uczniowie z panią Ludmiłą Matrosową – ulubioną nauczycielką języka polskiego

POD ZNAKIEM PISANEK

W Kijowie odbył się wieczór: „*Pan zmartwychwstał – Alleluja!*”, zorganizowany przez Związek Polaków na Ukrainie i Państwowe Muzeum Medycyny na Ukrainie. Wieczór swoją obecnością zaszczylicili: Kierownik Wydziału Konsularnego Ambasady RP w Kijowie – Tomasz Dederko, Prezes Związku Polaków na Ukrainie – Antoni Stefanowicz, Zasłużona Artystka Teatru Opery w Kijowie – Maria Lewicka (posiadająca polskie pochodzenie), Zasłużona dla Kultury Polski i Ukrainy – Wiktoria Radik, Prezes Polaków Białocerkiewszczyzny – Piotr Polański.

Do zebranych na świętowanie Zmartwychwstania Pańskiego z najlepszymi życzeniami zwrócił się Konsul Generalny Tomasz Dederko i Andrzej Jurasz – Dyrektor Departamentu ds. Religii i Mniejszości Narodowych Ministerstwa Kultury Ukrainy.

Wieczór prowadzili wspólnie Wadym Szypulin – Dyrektor Muzeum Medycyny i Stefan Wieloch – wolontariusz z Polski.

Program obfitował w wiele niespodzianek i atrakcji, a miał za zadanie pokazanie polskich tradycji i zwyczajów wielkanocnych.

Podczas spotkania odbył się konkurs na wykonanie najpiękniejszej pisanki, który oceniało jury pod przewodnictwem Marii Lewickiej, a w składzie Komisji Konkursowej były także Wiktoria Radik i Tatiana Bialalina – właścicielka Prywatnej Galerii Współczesnego Malarstwa na Ukrainie „Gamma”. W konkursie wzięło udział piętnastu chętnych.

Był to prawdziwy „Master Class”, a zwycięzcy Konkursu zostali zaproszeni do kontynuowania swoich umiejętności podczas Warsztatów Artystycznych organizowanych w Galerii „Gamma”. Jury wysoko oceniło poziom artystyczny pięknie wykonanych pisanek, przy czym przy zastosowaniu dowolnej techniki.

Jury pierwsze miejsce przyznało Oldze Nadaszkiewicz, drugie Katarzynie Martyniak a trzecie Natalii Syrczyna. Wykonane prace przekazano dla Konsulatu RP w Kijowie i Ministerstwa Kultury Ukrainy.

Wieczór uświetniły występy Kwartetu Muzycznego „Anima” i solistów ze Szkoły Internatu im. Łysenki w Kijowie pod kierownictwem Olgi Korynec. Atrakcją był występ kierowanego przez Łesię Jermak Zespołu Pieśni i Tańca „Polanie znad Dniepru” w pięknych strojach ludowych. Artyści wykonali dla publiczności dwa polskie tańce „Polonez” i „Krakowiak”.



Maria Melnyk – tancerka zespołu „Polanie znad Dniepru” otrzymuje nagrodę z rąk Konsula Generalnego Tomasza Dederki za gruntowną wiedzę wykazaną w konkursie pt. „*Czy znasz Polskę i tradycje wielkanocne?*”

Piosenkę „*Hej, Sokoły...*” zaśpiewała najmłodsza uczestniczka programu artystycznego, 8-letnia Julia Obuchowska, której ochoczo podśpiewywali zebrani.

Stefan Wieloch i Wadym Szypulin przeprowadzili wśród uczestników czteroetapowy konkurs pn. „*Czy znasz Polskę i tradycje wielkanocne?*”. Za każdą poprawną odpowiedź uczestnik otrzymywał piękną czekoladową pisanek (pisanki te przywiezione zostały z Krakowa).

Najwięcej pisanek zebrała Tatiana Matwiejczuk, drugie miejsce wywalczył Rostisław Martyniak, a trzecie Maria Melnyk. Cenne nagrody dla zwycięzców ufundował Konsulat Generalny RP w Kijowie, Związek Polaków na Ukrainie a także sponsorzy, a wśród nich Władysław Popereczny, Rostisław Martyniak, Stefan Wieloch, Walentyna Rykhliska i Adam Rzemieniecki.

Zwycięzcy Konkursów i Sponsorzy otrzymali też okolicznościowe Dyplomy i Podziękowania z piękną wielkanocną pisanek, przyznane przez ZPU.

Według starej tradycji wielkanocnej uczestnicy i goście mieli okazję wziąć udział w starciach „*jajko o jajko*” przygotowanych przez Oksanę Mengelewą dla wszystkich uczestników spotkania, a także zdegustować przygotowany przez nią smaczny żurek wielkanocny sporządzony ze święconek. Pokazano też, jak wygląda tradycyjny koszyk wielkanocny.

Dla uczestników i gości gospodarze przygotowali poczęstunek z tradycyjnych potraw wielkanocnych, w tym i kraszanek, symbolizujących nowe życie.

Stefan WIELOCH
Zdj. A. Płaksina

DWUDZIESTOLECIE CHERSOŃSKIEJ „POLONII”

Wszystko zaczęło się dwadzieścia lat temu, kiedy to troje entuzjastów postanowiło odrodzić polską kulturę w Chersoniu i stworzyć organizację polonijną. Byli to panowie Wsiewołod Dżiszulski i Ołeksij Patałach oraz pani Halina Diwak.

Pierwsze zebranie Polaków mieszkających w Chersoniu odbyło się w 1995 roku. Rok później, 1 kwietnia 1996 roku, Towarzystwo „Polonia” zostało zarejestrowane.

W historii „Polonii” złotymi literami zapisało się nazwisko wspomnianego już pana Wsiewołoda Dżiszulskiego, który mimo sędziwego wieku (urodził się w 1935 r.) dzielnie uczył się języka swoich przodków, pisał wiersze patriotyczne o swojej historycznej ojczyźnie i kierował Towarzystwem do 2006 roku. Po jego śmierci prezesem wybrano panią Rozalię Lipińską – niestrudzoną i energiczną osobę, która kieruje Towarzystwem do dzisiaj. Pani Lipińska została odznaczona przez władze Rzeczypospolitej Polskiej Złotym Krzyżem Zasługi i medalem Zasłużony dla Kultury Polskiej.

Towarzystwo „Polonia” w Chersoniu od pierwszych dni swojego istnienia działa bardzo prężnie. Trudno wyliczyć wszystkie imprezy kulturalne, festiwale, konkursy, które organizuje czy w których uczestniczy. Do najważniejszych należą: organizowany corocznie konkurs wiedzy o Polsce, konkursy recytatorskie poświęcone polskim poetom, uroczyste akademie i koncerty z okazji Święta Niepodległości i Święta Narodowego Trzeciego Maja, udział w uroczystościach kościelnych w parafii Najświętszego Serca Jezusa. Ponadto członkowie Towarzystwa biorą aktywny udział w imprezach kulturalnych organizowanych przez władze miasta.

Pod egidą Towarzystwa „Polonia”, począwszy od 2001 roku, prowadzona jest nauka języka polskiego. Dzięki staraniom prezesa Dżiszulskiego i prezes Lipiń-

skiej język polski jest przedmiotem obowiązkowym w Szkole Nr 11 oraz Szkole Nr 16, w której obecnie mieści się siedziba Chersońskiego Obwodowego Towarzystwa „Polonia”. Język polski wykładany jest także na Chersońskim Państwowym Uniwersytecie.

Wybitną zasługą Towarzystwa „Polonia” i jego władz jest kultywowanie pamięci o generale Mariuszu Zaruskim, który zmarł w Chersoniu, w katowni NKWD w roku 1941. Dzięki pomocy Konsulatu Generalnego Rzeczypospolitej Polskiej w Odessie i ówczesnych polskich władz w roku 1997 udało się ustalić miejsce wiecznego spoczynku generała. W roku 1999 na pokładzie polskiego żaglowca „Zawisza Czarny” przyплыł do Chersonia z dalekiej Polski dzwon Mariusza Zaruskiego, który umieszczono na wieży kościoła katolickiego, oraz tablica pamiątkowa, którą umieszczono w przedsionku świątyni. W roku 2011 chersońska „Polonia” zorganizowała uroczyste obchody 70. rocznicy śmierci generała Zaruskiego, w których uczestniczyli polscy politycy, przedstawiciele władz państwowych i duchowieństwo. A na co dzień członkowie Towarzystwa dbają o mogiłę tego wielkiego Polaka: zapalają świece i składają kwiaty – nie tylko w dniu 1 listopada.

...Minęło 20 lat i z tej okazji w dniu 2.05.2016 r. w Szkole Muzycznej Nr 1 odbyły się uroczyste obchody tego Jubileuszu. Uroczystą akademię uświetnił swoją obecnością Pan Konsul Piotr Siebeneichen wraz z Małżonką. Pan Konsul złożył Pani Prezes i członkom Towarzystwa „Polonia” najserdeczniejsze gratulacje z okazji Jubileuszu, życzył dalszej owocnej działalności i sukcesów w dziele podtrzymywaniu polskości w Chersoniu. W imieniu Konsulatu RP w Odessie Pan Konsul przekazał Towarzystwu „Polonia” cenne podarunki.

Podczas nieoficjalnej części uroczystych obchodów

dwudziestolecia Towarzystwa „Polonia” prowadzono przyjemne rozmowy na temat planów na przyszłość. Pachniało bigosem, makowcem i sernikiem...

*Swietłana SZUWAŁOWA
Paweł ELIAS*



Wspólne zdjęcie na pamiątkę pięknego Jubileuszu

BEZ PAMIĘCI – NIE MA PRZYSZŁOŚCI!

W imię Boga, za Naszą i Waszą Wolność.
Władysławowi Henszlowi, Piotrowi Chojnowskiemu i innym Bohaterom, którzy złożyli ofiarę swojego życia, broniąc Honoru i Ojczyzny w nierównej walce z Rosyjskim Imperium.

Pamiętamy. Polacy i Ukraińcy

W 153. rocznicę wydarzeń, 10.05.2016

Taki napis znajduje się na tablicy upamiętniającej uczestników Powstania Styczniowego, którzy 153 lata temu (dokładnie 10 maja 1863 roku) w lasach jaropowieckich pod Iwnicą stoczyli nierówną walkę z oddziałami wojsk rosyjskich. Zginęło wówczas ponad 100 powstańców – Polaków i Ukraińców walczących „Za wolność naszą i waszą”.

10 maja 2016 r. w 153. rocznicę stoczonych tu walk do wsi Iwnica, położonej 25 kilometrów od Żytomierza, na uroczystość odsłonięcia pomnika, powstałego z inicjatywy Międzynarodowego Stowarzyszenia Przedsiębiorców Polskich na Ukrainie przy wsparciu Ambasady RP w Kijowie, przybyli licznie dostojni goście: z-ca Ambasadora RP na Ukrainie, radca-minister Rafał Wolski, ordynariusz diecezji kijowsko-żytomierskiej abp Piotr Malczuk, duchowni rzymskokatolicki z obwodu żytomierskiego, przedstawiciele władz lokalnych różnych szczebli, w tym kierownik departamentu kultury w Żytomierskiej Obwodowej Administracji Państwowej Ołeksandr Piwowarski, przedstawiciele środowisk polskich na Ukrainie, prezesi licznych organizacji reprezentujących Polaków zrzeszonych w ZPU i FOPnU, przedstawiciele biznesu i dziennikarze.

W samo południe rozpoczęła się uroczystość, o której wspinała oprawę muzyczną, złożoną z hymnów i pieśni śpiewanych w tamtych odległych czasach, zadbał zaproszony tutaj specjalnie Młodzieżowy Chór „Switocz” z Nieżyńskiego Państwowego Uniwersytetu Pedagogicznego im. M. Gogola.

Ceremonię rozpoczęli gospodarze Iwnicy wręczając gościom tradycyjny chleb i sól. Następnie z-ca Ambasadora RP na Ukrainie, radca-minister Rafał Wolski, przypomniał zebrany dokładne okoliczności walk pod Iwnicą, sylwetki dowódców oddziału powstańczego, którzy widząc przeważające siły wroga – nie ułękli się i tutaj złożyli w ofierze swoje życie. „Powstanie styczniowe – konstatawał mówca – nie było zrywem jednego narodu



w ścisłe etnicznych kategoriach; nie było powstaniem jednego etnosu polskiego, lecz dziełem wszystkich narodów, które tworzyły dawną Rzeczpospolitą. A zatem – wedle ówczesnej terminologii – Polaków, Litwinów i Rusinów”. Radca-minister zwrócił uwagę na paralelizm świętowanego wydarzenia z obecną dobą na Ukrainie, która za cenę krwi swoich najlepszych synów i córek walczących na Wschodzie broni nie tylko niepodległości własnej, ale także wolności swoich sąsiadów.

Prezes Międzynarodowego Stowarzyszenia Przedsiębiorców Polskich na Ukrainie, Piotr Ciarkowski, który wraz z wiceprezesem Polsko-Ukraińskiej Izby Gospodarczej Ireneuszem Derkiem dołożył wiele starań, by uczcić tamte wydarzenia, w swoim wystąpieniu zaznaczył: „Niedaleko stąd, jeszcze 50 lat temu była powstańcza mogiła. Niestety w latach 60. XX w. zrobiono wszystko, żeby wymazać te miejsca z pamięci. Dziś nieopodal jest tam oczyszczalnia ścieków. Ale rzeczy godnych pamięci nie da się zaościć, nie można zrównać z ziemią, czego dzisiejsze uroczystości są przekonującym dowodem”.

„Można zabić ciało, ale duszy zabić nie można, – mówił arcybiskup Piotr Malczuk – można pogwałcić prawo narodu do własnej historii, do języka, do szkół ojczyznianych, ale nie można wyrwać tego, co najdroższe z duszy człowieka. Za wiarę w Boga i za miłość do Ojczyzny powstańcy styczniowi – Polacy i Ukraińcy przelali krew w nierównej walce. Pamięci nie wolno zatrzeć. Jeśli naród zatraci pamięć, nie będzie miał przyszłości” – zaznaczył.

Stanisław PANTELUK
Zdj. Andżelika Płaksina

WIELKIE ŚWIĘTO POLSKI W STOLICY UKRAINY

Na tle szeregu smutnych rocznic, które świat obchodzi w pierwszej dekadzie maja, 225. rocznica polskiej Konstytucji Trzeciego Maja to pełne optymizmu wydarzenie o wielkim znaczeniu historycznym i kulturalnym. Miało ono szczególnie jaskrawy przebieg w Kijowie, w dniu 10 maja 2016 roku.

Opera Narodowa Ukrainy od dawna nie gościła tak radosnej publiczności, która po brzegi wypełniła jej salę. Na uczestników koncertu z okazji święta państwowego Rzeczypospolitej Polskiej czekała wspaniała niespodzianka: bogato udekorowane białą-czerwonymi kwiatami ложе i scena, na której ustawiono flagi Polski, Ukrainy i Unii Europejskiej.

Gośćmi uroczystości były znane osobistości z Polski i Ukrainy, reprezentujące takie sfery działalności, jak polityka, biznes, nauka, oświata i kultura; przedstawiciele korpusu dyplomatycznego, mediów i Polonii.

I oto na scenie pojawiają się muzycy słynnej orkiestry symfonicznej Kiev Classic pod batutą znanego dyrygenta, profesora Hermana Makarenki oraz członkowie Narodowej Zasłużonej Kapeli Ukrainy „Dumka”.

Rozbrzmiewa Mazurek Dąbrowskiego. Cała sala wstaje i patriotycznym śpiewem towarzyszy muzykom. Następnie wykonany zostaje hymn Ukrainy.

Zabiera głos Nadzwyczajny i Pełnomocny Ambasador Rzeczypospolitej Polskiej na Ukrainie JE Henryk Litwin, który w wystąpieniu obficie wypełnionym faktami historycznymi przypomniał „złoty wiek” w historii Polski oraz polsko-litewsko-ukraińskie braterstwo.

Nawiązując do dziejów historycznych z II. połowy XVII w. i do wydarzeń poprzedzających uchwalenie

Konstytucji 3-go Maja 1791, Pan Ambasador dobrym słowem wspominał hetmana Pyłypa Orłyka i jego Konstytucję.

Wątek współpracy z Ukrainą w obecnym, trudnym okresie wojny kontynuował w swoim wystąpieniu Ambasador Litwy na Ukrainie JE Marius Janukonis.

Polonezem a-dur Fryderyka Chopina orkiestra Kiev Classic rozpoczęła prawdziwe święto polskiej kultury muzycznej. A potem zabrzmiały mazurki, walce i nokturny Chopina.

Zebrani mieli okazję usłyszeć kujawiaka i polonez Henryka Wieniawskiego oraz nokturn Fryderyka Chopina w wirtuozowskim wykonaniu skrzypka Mariusza Patry. A potem był polonez Michała Ogińskiego „Pożegnanie z ojczyzną” oraz wariacje na temat polskich i ukraińskich melodii ludowych.

Publiczności rześzystymi brawami nagrodziła minispektakl, którego motywem przewodnim był polonez Wojciecha Kilara, napisany do filmu „Pan Tadeusz”. Wykonawcy: Andrij Wojczuk (cymbały) i Roman Chołmatow (skrzypce) w pełni zasłużyli na te brawa.

Orkiestra Kiev Classic i Narodowa Zasłużona Wokalna Kapela Ukrainy „Dumka” wykonały także utwory Stanisława Moniuszki z oper „Halka” i „Straszny dwór”.

Znakomity koncert w wirtuozowskim wykonaniu trwał ponad dwie godziny, a wdzięczna publiczność przy pomocy gorących braw „otrzymała” od artystów kilka utworów na bis.

Rozmowy towarzyskie przy lampce wina w foyer Narodowej Opery Ukrainy zakończyły ten tak bardzo polski, patriotyczny wieczór.

Eugeniusz GOŁYBARD



O wspólnej przeszłości i nadziei na dobrą przyszłość Polski i Ukrainy mówił Nadzwyczajny i Pełnomocny Ambasador Rzeczypospolitej Polskiej na Ukrainie JE Henryk Litwin

POROZUMIENIE POLSKO-UKRAIŃSKIE

16 maja br. do stolicy przybyła Ukrainy delegacja posłów należących do dwustronnej Polsko-Ukraińskiej Grupy Parlamentarnej Sejmu RP. Na jej czele stał przewodniczący sejmowej Komisji Łączności z Polakami za Granicą Michał Dworczyk. Celem wizyty było przeprowadzenie z ukraińskimi parlamentarzystami i politykami rozmów, dotyczących aktualnej sytuacji w kontaktach międzypaństwowych oraz uzgodnienie zamierzeń w tej dziedzinie na najbliższą przyszłość.

Delegacja składała się z przedstawicieli trzech największych klubów parlamentarnych, reprezentujących formacje polityczne: „Prawo i Sprawiedliwość” (posłowie Michał Dworczyk i Krzysztof Kubów), „Nowoczesna” (poseł Kornelia Wróblewska) oraz „Platforma Obywatelska” (poseł Marcin Świąćicki).

W czasie rozmowy z deputowanymi parlamentu Ukrainy przewodniczący Rady Najwyższej, Andrij Parubij, podziękował Polsce za wsparcie udzielane Ukrainie w czasie, gdy *„de facto walczy ona o swoją niepodległość z największą siłą militarną w Europie – putinowską Rosją. [...] Nikt tak jak Polska nie rozumie, że nasi chłopcy bronią nie tylko Ukrainy, ale całej przestrzeni europejskiej”*.

Przewodniczący RNU poinformował również, że obecnie Polska jest przykładem dla reform prowadzonych na Ukrainie. Wyraził również nadzieję na dalszą intensyfikację współpracy w regionie Morza Bałtyckiego i Czarnego.

Poruszając sprawę kwestii historycznych, które dzieli Polaków i Ukraińców, Andrij Parubij podkreślił, że są one na rękę przeciwnikom dobrych relacji dwustronnych. *„Zawsze, gdy staliśmy ramię w ramię, odnośiliśmy zwycięstwa. W czasie, gdy byliśmy przeciwnikami, wykorzystywał to wróg zewnętrzny”* – zaznaczył.

Wypowiadając się w tej kwestii szef polskiej delegacji zwrócił uwagę, że nie można przemilczać dramatycznych wydarzeń w historii Polaków i Ukraińców. *„Uważam, że długi czas, kiedy ta trudna część naszej his-*

torii była zamykana pod dywan, doprowadził do tego, że dzisiaj, kiedy jest trudna sytuacja geopolityczna, musimy się z tym zmierzyć. I tu zgodni jesteśmy co do tego, że przyszłość można budować wyłącznie w oparciu o prawdę i szczerłość w naszych relacjach i wierzymy, że w atmosferze spokojnego i pozytywnego dialogu te sprawy trudne będziemy wyjaśniać. Myślę, że poradzenie sobie z tą częścią naszej dramatycznej historii pozwoli na zbudowanie mocnego fundamentu pod dalsze dobre relacje polsko-ukraińskie” – podkreślił Michał Dworczyk.

Po spotkaniach w Radzie Najwyższej oraz Ministerstwie Spraw Zagranicznych Ukrainy delegacja Sejmu RP w gmachu Ambasady RP w Kijowie rozmawiała z liderami polskich środowisk Kijowa, Białej Cerkwi i Winnicy o bieżących problemach polskiej wspólnoty etnicznej Ukrainy. Gospodarzem spotkania był Ambasador RP na Ukrainie Henryk Litwin.

Na wstępie spotkania przewodniczący Michał Dworczyk poinformował zebranych o przebiegu rozmów ze stroną ukraińską.

„Reasumując akcenty główne wizyty – podkreślił Michał Dworczyk – w imieniu parlamentu Rzeczypospolitej Polskiej przekazaliśmy pełne poparcie dla przemian ustrojowych i reform, które prowadzone są na Ukrainie. Wyraziliśmy także poparcie dla kursu proeuropejskiego Ukrainy oraz podkreśliliśmy naszą jednoznaczną pozycję w sprawie podtrzymania sankcji wobec Rosji”.

Liderzy polskich środowisk zapoznali członków delegacji z problemami nurtującymi dziś Polaków zamieszkałych na Ukrainie, ich dokonania i zamierzeniami na przyszłość. Mówiono o zwrocie parafianom świątyni rzymskokatolickich, o znajdowaniu właściwego podejścia do oceny wydarzeń historycznych, o nowelizacji Karty Polaka, o potrzebie stworzenia w Kijowie Domu Polskiego.

Antoni KOSOWSKI



Podczas spotkania w Ambasadzie RP, od lewej: R. Wolski, E. Matuszak-Zagata, M. Świąćicki, H. Litwin, M. Dworczyk, K. Kubów, K. Wróblewska

PISZEMY PO POLSKU

W dniach 21 i 22 maja br. Fundacja Wolność i Demokracja, w ramach promocji nauki języka polskiego, zaprosiła wszystkich chętnych do udziału w III edycji Ogólnoukraińskiego Dyktanda Języka Polskiego „Ja Piszę, Ty pisziesz, My piszemy po polsku... Dyktando z języka polskiego na Ukrainie”. Konkurs zrealizowano w ramach projektu „Biało-czerwone ABC. Wspieranie rozwoju edukacji polskiej na Ukrainie”. Organizacja dyktanda została sfinansowana przez Senat Rzeczypospolitej Polskiej w ramach opieki nad Polonią i Polakami za granicą.

Dyktando z języka polskiego na Ukrainie miało na celu promocję nauki języka polskiego oraz wyróżnienie osób, które wykażą się bardzo dobrą znajomością ortografii i interpunkcji języka polskiego.

Dyktando, poświęcone 1050. rocznicy Chrztu Polski, przeprowadzono w 15 dużych miastach Ukrainy: w Kijowie, Lwowie, Łucku, Odessie, Żytomierzu, Winnicy, Chmielnickim, Czerniowcach, Kirowogrodzie i Charkowie, Tarnopolu, Iwano-Frankowsku, a także w Dniepropietrowsku, Nikopolu, Drohobyczu. Do pisania dyktanda przystąpiło około 2500 osób.

W stolicy Ukrainy to przedsięwzięcie Fundacji Wolność i Demokracja prowadzone było w ścisłej współpracy z Centrum Polskim i Katedrą Polonistyki przy Instytucie Filologii Kijowskiego Narodowego Uniwersytetu im. Tarasa Szewczenki (KNU).

W Kijowie dyktando pisało ponad 100 osób, które w samo południe 21 maja zapęłniły Wielką Aulę Uniwersytecką Instytutu Filologii KNU.

Imprezę zaszczyliły swoją obecnością Konsul Agnieszka Rączka i Kierownik Referatu do Spraw Współ-

pracy Naukowo-Oświatowej Ambasady RP na Ukrainie Emilia Jasiuk.

Przysłowiowego „połamania pióra” życzył uczestniczącym kierownik Katedry Polonistyki, członek-korespondent AN Ukrainy Rostysław Radyszewskij, a tekst dyktanda odczytał lektor języka polskiego w Akademii Kijowsko-Mohylańskiej Ryszard Tulej.

Tuż przed ogłoszeniem wyników dyktanda pani Emilia Jasiuk, zwracając się do uczestników powiedziała: „Dyktando nie należało do łatwych, szczególnie dla młodszych uczestników. Było naszpikowane słownictwem, które na co dzień używane jest rzadko. Stąd też chciałabym podziękować uczestnikom za wykazany sportowy duch, gremialny udział oraz tak duże zainteresowanie językiem polskim”.

Podsumowania wyników dyktanda dokonała przewodnicząca Jury prof. dr hab. filologii Tetiana Czernysz, zaś nagrody zwycięzcom wręczała dyrektor Centrum Polskiego KNU dr Maria Czerniak.

Oto nazwiska tegorocznych „kijowskich” laureatów:

Tytuł Mistrza Języka Polskiego w kategorii „Dorośli” zdobyła Iwanna Cerkowniak, I Wicemistrzem została Natalia Jaremczuk, zaś II Wicemistrzem Anna Czerniawska. Wszystkie panie są absolwentkami wydziału polonistyki.

W kategorii „Dzieci i młodzież” zwyciężyli: Tymoteusz Łysowyczenko, Anna Kuczer i Maria Melnyk.

Dyplom najstarszego Uczestnika Dyktanda wręczono Genowefie Rubanowej z Browarów, zaś najmłodszym dyplomantem został Aleksander Artemiew.

Zwycięzcy otrzymali cenne nagrody.

Maria CZERNIAK
Stanisław PANTELUK



Organizatorzy
dyktanda, goście
i zwycięscy imprezy
na wspólnej fotografii

PAMIĘCI ARCYBISKUPA PIOTRA MALCZUKA

W nocy z 26 na 27 maja zmarł nagle w Grodnie na Białorusi rzymskokatolicki biskup kijowsko-żytomierski abp Piotr MALCZUK OFM. Miał 50 lat. Hierarcha przebywał na Białorusi, gdzie brał udział w Krajowym Kongresie Eucharystycznym tamtejszego Kościoła

Piotr Malczuk urodził się 7 lipca 1965 roku w wiosce Słoboda-Raszków w Mołdawii w osiadłej tam od wieków rodzinie polskiej. Po ukończeniu szkoły średniej i odbyciu zasadniczej służby wojskowej rozpoczął w 1986 roku naukę w seminarium duchownym w Rydze – jednym z dwóch w ówczesnym ZSRR (obok Kowna), a jedynym, które przyjmowało kandydatów do kapłaństwa z całego kraju (kowieńskie było otwarte tylko dla obywateli Litwy). 3 stycznia 1989 roku wstąpił do Zakonu Braci Mniejszych (OFM), w którym następnie przyjął imię Herkulan. 7 czerwca 1992 roku, już po upadku ZSRR, otrzymał święcenia kapłańskie.

W latach 1992–98 uzupełniał wykształcenie na Papieskim Uniwersytecie Antonianum w Rzymie, uzyskując tam stopień doktora teologii. Po powrocie do kraju pracował najpierw jako wikary w parafii św. Anny w Połonnem, po czym w latach 1999–2004 stał na czele kustodii franciszkańskiej na Ukrainie. W latach 2004–07 był przełożonym tamtejszej prowincji Braci Mniejszych św. Michała Archanioła, a w okresie 2007–08 był jej ekonomem.

29 marca 2008 roku Benedykt XVI mianował o. Malczuka biskupem pomocniczym diecezji odeskosymferopolskiej (sakrę nominat przyjął 3 maja tegoż roku).

15 czerwca 2011 roku, po przyjęciu rezygnacji dotychczasowego biskupa kijowsko-żytomierskiego Jana Purwińskiego, został ogłoszony arcybiskupem „ad personam” kijowsko-żytomierskim.

Abp Piotr Malczuk aktywnie uczestniczył w życiu Polaków Ukrainy. Chętnie brał udział w organizowanych przez nich uroczystościach. 10 maja br. abp Malczuk poświęcił pomnik Powstańcom Styczniowym w Iwnicy na Żytomierszczyźnie. Wypowiedział wówczas słowa: *„Jeden jedyny naród w Europie nie zaniechał walki z zaborcami, nie zważając na wieloletnią okupację swojego terytorium. Zaborcy mogli odebrać życie Po-*



lakom, ale nie mogli odebrać duszy polskiego narodu. W tej duszy łączy się język, miłość do Ojczyzny oraz Wiara w Boga”.

28 maja 2016 roku o 20.30 ciało Zmarłego zostało przywiezione z Białorusi do katedry żytomierskiej p.w. św. Zofii, gdzie została odprawiona Msza św., którą celebrował biskup-senior Jan Purwiński w asyście wielu księży. Naza jutrz, w uroczystość Bożego Ciała, odprawiono Mszę św., w czasie której ze swoim Duszpasterzem pożegnali się Żytomierzanie. Homilię po polsku i po ukraińsku wygłosił ks. biskup Jan Purwiński. Przy biciu dzwonów kapłani i wierni ponieśli ciało swojego Pasterza

wokół katedry, a następnie kondukt żałobny wyruszył w stronę kościoła seminaryjnego św. Jana z Dukli. O godzinie 13.00 sprzed kościoła seminaryjnego ciało arcybiskupa zabrał karawan z Kijowa. 31 maja o godz. 11.00 w kościele konkatedralnym św. Aleksandra w Kijowie została odprawiona Msza św. pogrzebowa. Ciało abpa Piotra Malczuka spoczęło na cmentarzu na terenie seminarium duchownego w Worzelu.

Abpa Malczuka wspomina m.in. przewodniczący Konferencji Episkopatu Ukrainy obrządku łacińskiego abp Mieczysław Mokrzycki, metropolita lwowski: *„Ksiądz arcybiskup Piotr miał wielką miłość do Kościoła Powszechnego, do każdego człowieka, a w sposób szczególny był człowiekiem ekumenizmu. Potrafił z każdym nawiązać kontakt, być blisko wszystkich ludzi. Można powiedzieć, że jako Mołdawianin był otwarty na wszystkie obrządki, narodowości i to było widać w jego posługiwaniu”.*

„Bracia biskupi Konferencji Biskupów Obrządku Łacińskiego i cały Kościół na Ukrainie smuci się z tego powodu, że oddany uczeń Chrystusa tak tragicznie zakończył swą ziemską pielgrzymkę, zarazem jednak jest pełen nadziei, że abp Piotr dzieli już wieczną ucztę z Jezusem i ma niewysłowione szczęście oglądać Go” – głosi list episkopatu ukraińskiego wydany po śmierci arcybiskupa.

Wykorzystano materiały z Internetu

W TELEGRAFICZNYM SKRÓCIE

Uchwała Nr 4 Prezydium Senatu

z dnia 3 marca 2016 r.

w sprawie trybu postępowania przy zlecaniu zadań publicznych w zakresie opieki nad Polonią i Polakami za granicą w 2016 r.

W związku z ujęciem w ustawie budżetowej na rok 2016 w części budżetu państwa dotyczącej Kancelarii Senatu środków finansowych na opiekę nad Polonią i Polakami za granicą, oferty złożone w ogłoszonym przez Ministra Spraw Zagranicznych konkursie na realizację zadania publicznego „*Współpraca z Polonią i Polakami za granicą w 2016 r.*”, poddane ocenie merytorycznej przez komisję konkursową, zostają przekazane do Kancelarii Senatu wraz z wynikami tej oceny i podlegają rozpatrzeniu zgodnie z procedurą określoną w niniejszej uchwale.

Szef Kancelarii Senatu przedkłada Komisji Spraw Emigracji i Łączności z Polakami za Granicą oraz Prezydium Senatu informację dotyczącą ofert przekazanych do Kancelarii Senatu wraz z rekomendacją komisji konkursowej wynikającą z oceny merytorycznej. Komisja Spraw Emigracji i Łączności z Polakami za Granicą przedstawia Prezydium Senatu opinię dotyczącą ofert.

Marszałek Senatu
Stanisław KARCZEWSKI

W Krakowie trwają intensywne przygotowania do 31. Światowych Dni Młodzieży, które odbędą się w dniach 26-31 lipca 2016 r. Weźmie w nich udział Papież Franciszek, a według szacunków należy się spodziewać nawet 2,5 mln pielgrzymów z całego świata. Ze względu na skomplikowaną sytuację na świecie organizatorzy szczególną uwagę poświęcają kwestii bezpieczeństwa uczestników i gości ŚDM.

24 czerwca 2014 roku, podczas spotkania w Paryżu, komisja UNESCO zdecydowała, że tytuł Światowej Stolicy Książki w roku 2016 nosić będzie Wrocław. Komisja, na czele z Iriną Bokową, wybrała Wrocław ze względu na złożony przez miasto program promocji czytelnictwa, który zakłada pracę na poziomie lokalnym, regionalnym, jak i międzynarodowym. Wrocław jest pierwszym miastem w Polsce, które uzyskało ten tytuł UNESCO.

Kadencja Wrocławia jako Światowej Stolicy Książki rozpoczęła się 23 kwietnia 2016 roku i potrwa dokładnie rok. W tym samym czasie miasto pełnić będzie również rolę Europejskiej Stolicy Kultury 2016.

Pozostali kandydaci, którzy ubiegali się o tytuł Światowej Stolicy Książki to Brasilia w Brazylii, Montilla w Hiszpanii oraz Szardża w Zjednoczonych Emiratach Arabskich.

Jedną z wymiernych korzyści płynących dla Wrocławia z pełnienia roli Światowej Stolicy Książki będą bez wątpienia silne i długotrwałe kontakty międzynarodowe z tymi miastami świata, które przywiązują podobnie dużą wagę do myślenia o literaturze nie tylko jako instrumencie promocji, ale jak o rzeczywistym motorze rozwoju.

Po miesiącach niepewności Polska postanowiła w końcu powołać nowego ambasadora na Ukrainie. Zostanie nim Jan PIEKŁO, dotychczasowy szef Fundacji Współpracy Polsko-Ukraińskiej PAUCI. Jan Piekło na stanowisku ambasadora w Kijowie zastąpi niezwykle wysoko ocenianego na Ukrainie Henryka Litwina.

Jan Piekło z wykształcenia jest polonistą a z zawodu dziennikarzem. W czasach PRL był zaangażowany w działalność opozycji demokratycznej. W latach 90. „nie wszedł w politykę”, lecz kontynuował karierę dziennikarską. Był m.in. korespondentem w czasie wojen w byłej Jugosławii. Później pełnił funkcję dyrektora Instytutu Mosty na Wschód w Krasicy pod Przemyślem. Redagował też elektroniczny magazyn Forum dotyczący dialogu międzykulturowego. W latach 2011–2013 zasiadał w Komitecie Sterującym Forum Społeczeństwa Obywatelskiego Partnerstwa Wschodniego przy Komisji Europejskiej. Od 2005 r. piastował urząd prezesa Fundacji Współpracy Polsko-Ukraińskiej PAUCI (z siedzibą w Warszawie i Kijowie).

Pomimo braku doświadczenia dyplomatycznego nominacja Jana Piekły jest bardzo dobrze odczytywana na Ukrainie. Liczne i skuteczne działania PAUCI w obszarze rozwoju ukraińskiego społeczeństwa obywatelskiego nadały J. Piekłu status niekwestionowanego eksperta od spraw ukraińskich. Na Ukrainie Jan Piekło cieszy się sympatią i szacunkiem przede wszystkim wśród działaczy pozarządowych i dziennikarzy. Zna też osobiście wielu polityków obecnie rządzących krajem.

W Katowicach odbyło się zebranie założycielskie MIĘDZYAKŁADOWEGO ZWIĄZKU ZAWODOWEGO PRACOWNIKÓW UKRAIŃSKICH W POLSCE. Związek powstał pod skrzydłami OPZZ.

Według szacunków w kraju pracuje nawet 800 tysięcy Ukraińców. Tylko część całkowicie legalnie. Wielu z nich, szczególnie ci nisko wykwalifikowani, narażonych jest na wyzysk ze strony przedsiębiorców.

„Ukraińcy, którzy najczęściej pracują w szarej strefie, nie tylko nie są objęci minimalnymi normami prawa pracy i zabezpieczenia społecznego, ale najzwyczajniej wyzyskiwani i oszukiwani. Nie znają swoich praw i nie wiedzą, do kogo się zwrócić” – powiedział w rozmowie z PAP Piotr Ostrowski.

25 marca w Kijowie szef OPZZ Jan Guz i prezes Stowarzyszenia „Ukraina-Polska” Jurij Kariagin podpisali protokół o współpracy. W taki sposób obydwaj środowiska podjęły działania zmierzające do poprawy warunków pracy i wynagradzania obywateli Ukrainy w Polsce.

Polak Wojciech BALCZUN został mianowany w kwietniu br. dyrektorem generalnym ukraińskich kolei państwowych, Ukrzaliznycia. Doszło do tego podczas pierwszego posiedzenia zaprzysiężonego w dniu 14.04.2016 r. nowego rządu premiera Wołodymyra Hrojsmana.

„Chcę stworzyć ekipę, która będzie dokonywała przemian. Przede wszystkim powinna ona składać się z pracowników Ukrzaliznyci, dlatego że to oni posiadają największą wiedzę na ten temat. Moje doświadczenia z restrukturyzacji PKP Cargo wskazują, że to właśnie pracownicy są gwarancją jej sukcesu” – oświadczył Balczun, odpowiadając na pytania członków Rady Ministrów.

45-letni menadżer z Polski wygrał konkurs na stanowisko dyrektora generalnego kolei, pokonując 30 innych kandydatów. Ówczesny minister rozwoju gospodarczego i handlu Ukrainy Aivaras Abromavicius wyjaśniał, że Polak wygrał ze względu na duże doświadczenie w kolejnictwie. Minister przypominał, że Balczun przeprowadził restrukturyzację PKP Cargo i z firmy, która przynosiła 100 mln złotych strat, uczynił przedsiębiorstwo przynoszące 500 mln dochodu. *„Wojciech jest młody, ale odnosił ogromne sukcesy jako szef największych polskich przedsiębiorstw. Najpierw dobrze zaprezentował się w największym polskim banku PKO BP, a następnie jako prezes PKP Cargo”* – mówił Abromavicius. *„Jest on nie tylko człowiekiem sukcesu, ale również takim polskim Sławą Wakarczukiem, gdyż jest*

liderem znanego polskiego zespołu („Chemia”)” – porównywał Abromavicius Balczuna do znanego muzyka ukraińskiego i lidera zespołu „Okean Elzy” Swiatosława Wakarczuka.

Państwowa spółka akcyjna Ukrzaliznycia jest narodowym przewoźnikiem kolejowym na Ukrainie. Obsługuje zarówno przewozy towarowe, jak i pasażerskie.

W kwietniu 2016 roku w mieście Bogusławiu rozpoczęto prace budowlane w miejscu, gdzie kiedyś znajdował się stary polski cmentarz. Tam, gdzie chowano kiedyś polską szlachtę – ma powstać hala produkcyjna. Wznosi ją przedsiębiorstwo, które wyrabia kamizelki kuloodporne. Miejscowa ludność wystąpiła przeciwko budownictwu. Jednak nie z powodu tego, że w ten sposób zniszczony zostanie cmentarz, bo sami już dawno w tym miejscu zorganizowali śmietnik. Ich oburzenie wzbudził fakt, że koparki zasypały im drogę prowadzącą do ogródków działkowych... Bez komentarza.

W dniu 21 maja br. polski reżyser Krzysztof ZANUSSI poinformował, że ma zamiar na terenie Ukrainy nakręcić film fabularny. Twórca podzielił się swoimi planami podczas konferencji prasowej w Czernihowie, gdzie pełnił funkcję przewodniczącego jury Międzynarodowego Festiwalu Patriotycznego Filmu Dokumentalnego „KinoDok”.

Reżyser poinformował, że przeprowadził już rozmowy z przyszłymi partnerami. Zdjęcia rozpoczną się zimą. Zanussi ma zamiar zaangażować do filmu ukraińskich aktorów. Fabuła filmu będzie zawierać ukraińskie motywy. Film to opowieść o lekarzu, który przy pomocy eteru pragnie wpływać na ludzi. Wydarzenia będą się rozgrywać na zachodniej Ukrainie przed I wojną światową.

5 kwietnia 2016 roku Stała Komisja Kijowskiej Rady Miejskiej ds. Kultury, Turystyki i Informacyjnej Polityki zatwierdziła projekt decyzji *„O zmianie nazw ulic, prospektów, placów i mostów w mieście Kijowie”*. Jak poinformował attaché prasowy KRM, ulica Patrice Lumumby będzie teraz nosić imię Papieża Jana Pawła II.

Przypomnijmy, że jedyna wizyta głowy Kościoła katolickiego do niepodległej Ukrainy miała miejsce w 2001 roku. Wtedy do Kraju nad Dnieprem przyjechał Papież Jan Paweł II.

Wykorzystano materiały z Internetu

2016 ROKIEM CHRZTU POLSKI, CICHOCIEMNYCH, SIENKIEWICZA I NOWOWIEJSKIEGO

W nocnych głosowaniach 22 grudnia ub.r. posłowie wybrali patronów 2016 roku. Wśród osób jakie w bieżącym roku będą patronować polskiej kulturze są noblista, dyrygent i polscy żołnierze walki zbrojnej. Będziemy też czcili 1050-lecie Chrztu Polski.

Sejm przyjął uchwałę o ustanowieniu roku 2016 Rokiem Henryka Sienkiewicza. W tekście uchwały przypomniano słowa Stanisława Cata-Mackiewicza o autorze „Trylogii” – „*My z niego wszyscy*”.

Propozycję ustanowienia roku 2016 Rokiem Sienkiewicza złożyła grupa posłów PiS. Okazją do ustanowienia patronatu jest fakt, że w 2016 roku przypada 170. rocznica urodzin oraz 100. rocznica śmierci pisarza.

W uchwale podkreślono, że Sienkiewicz to „*pierwszy Polak uhonorowany Nagrodą Nobla w dziedzinie literatury, doceniony za całokształt twórczości*”. „*Jego powieści historyczne podtrzymywały na duchu kolejne pokolenia Polaków w czasach narodowych niedoli*” – czytamy.

Ponad to Sejm przyjął uchwałę o ustanowieniu roku 2016 Rokiem Feliksa Nowowiejskiego – kompozytora, dyrygenta, autora muzyki do „*Roty*”. „*Nowowiejski zawsze stał po stronie polskości i polskiej kultury*” – głosi uchwała.

„*Sejm ustanawia Feliksa Nowowiejskiego patronem 2016 r. w przekonaniu o szczególnym znaczeniu dorobku tego wybitnego kompozytora, dyrygenta, pedagoga, organizatora wirtuoza, organizatora życia muzycznego i szambelana papieskiego*” – głosi uchwała autorstwa PSL.

„*Artysta był autorem wielu pieśni patriotycznych, które umacniały tożsamość narodową Polaków. W niepodległej Polsce brał czynny udział w tworzeniu i organizowaniu życia artystycznego. [...] Jego dorobek wywarł wpływ na kulturę muzyczną całego świata, a w szczególności Polski. Artysta zawsze stał po stronie polskości i polskiej kultury*” – czytamy w uchwale.

W 2016 roku przypada 70. rocznica śmierci, a rok później – w 2017 r. – 140. rocznica urodzin twórcy.

Feliks Nowowiejski jest m.in. autorem muzyki do „*Roty*” Marii Konopnickiej. W 500. rocznicę Bitwy pod Grunwaldem, 15 lipca 1910 r. utwór został po raz pierwszy wykonany przed pomnikiem Grunwaldzkim w Krakowie przez chór pod batutą kompozytora.

Kolejną datą, do której Sejm przygotował obywateli, jest 1050. rocznica przybycia katolicyzmu nad

Wisłę. Sejm przyjął uchwałę o ustanowieniu roku 2016 Rokiem Jubileuszu 1050-lecia Chrztu Polski. „*Izba wyraża nadzieję, że obchody rocznicy będą okazją do pojednania i odbudowy polskiej wspólnoty narodowej*” – czytamy w uchwale.

„*Chrzest władcy Polan i jego dworu, a w konsekwencji chrzest Polski, odbył się w Wigilię Paschalną, 14 kwietnia 966 roku. Akt ten miał decydujące znaczenie dla procesu jednoczenia plemion polskich pod władzą Piastów i kształtowania się chrześcijańskiej tożsamości naszego Narodu. [...] Sejm czci pamięć przełomowego w historii Polski wydarzenia, jakim było przyjęcie chrztu przez księcia Mieszka I. Izba wyraża też nadzieję, że obchody rocznicy będą okazją do pojednania i odbudowy polskiej wspólnoty narodowej*” – czytamy w uchwale, przygotowanej przez PiS.

W dokumencie przypomniano też słowa Jana Pawła II: „*Polska weszła w krąg kultury chrześcijańskiego Zachodu i zaczęła budować swą przyszłość na fundamencie Ewangelii. Od tamtych czasów staliśmy się pełnoprawnymi członkami europejskiej rodziny narodów ze wszystkimi wynikającymi z tego konsekwencjami. Współ z innymi narodami Europy jesteśmy współtwórcami, a zarazem dziedzicami bogatej historii i kultury*”.

W uchwale przypomina się też obchodzone 50 lat temu, w 1966 r., uroczystości „*Sacrum Millennium Poloniae*” i ich znaczenie na polskiej drodze do wolności. Były one masową demonstracją wiary oraz wyrazem oporu wobec władz komunistycznych – podkreślono.

„*Będziemy jako rząd wspierali obchody 1050. rocznicy Chrztu Polski, będziemy chcieli, żeby to był czas refleksji nad naszą tożsamością, nad wartościami chrześcijańskimi*” – zadeklarował wicepremier, minister kultury Piotr Gliński. „*To jest wielka i ważna rocznica*” – podkreślał. Jak mówił, MKiDN będzie wpierało obchody „*poprzez Narodowe Centrum Kultury*”. „*To będą zarówno uroczystości rocznicowe, wydarzenia kulturalne i edukacyjne*” – zapowiadał.

„*Europa nowych początków. Wyzwalająca moc chrześcijaństwa*” – pod takim hasłem w dniach 11-13 marca w Gnieźnie odbył się jubileuszowy X Zjazd Gnieźnieński, który zgromadził wybitnych intelektualistów i polityków zjednoczonej Europy.

Obchody centralne 1050. rocznicy chrztu Polski zaplanowano na 14-16 kwietnia. Odbyły się w Gnieźnie

(14 kwietnia) i w Poznaniu (15-16 kwietnia). W czasie obchodów zorganizowano Konferencję Plenarną KEP oraz posiedzenie Zgromadzenia Narodowego z udziałem Prezydenta.

Walczyli o wolną Polskę w czasie II Wojny Światowej.

W nocy z 15 na 16 lutego 1941 r. miał miejsce pierwszy zrzut do walki w okupowanej Polsce Cichociemnych – spadochroniarzy Związku Walki Zbrojnej, a następnie Armii Krajowej. Sejm uczcił ich pamięć ogłaszając ich patronami roku 2016.

„Działania Cichociemnych umożliwiły nawiązanie łączności z krajem drogą lotniczą oraz przeprowadzenie akcji sabotażowo-dywersyjnych przeciwko okupantom. Do końca 1944 roku na obszar Polski zrzuconych zostało 316 Cichociemnych, z których 112 oddało życie za wolną Ojczyznę. Kilkudziesięciu kolejnych żołnierzy polskich – spadochroniarzy – skierowano do innych okupowanych krajów w Europie” – czytamy w uchwale, zaproponowanej przez PiS.

W dokumencie przypomniano, że Cichociemni stanowili elitę Polskich Sił Zbrojnych. Dodano, że z uwagi na swoje zasługi w walce o niepodległość Polski, powinni mieć oni stałe miejsce w panteonie polskich bohaterów narodowych. W uchwale podkreślono też konieczność upowszechniania wiedzy o osiągnięciach i poświęceniu Cichociemnych oraz instytucjonalnego i obywatelskiego wsparcia działań podejmowanych w tym zakresie m.in. przez ich rodziny oraz Fundację im. Cichociemnych Spadochroniarzy Armii Krajowej.

„Sejm Rzeczypospolitej Polskiej, aby oddać hołd wszystkim Cichociemnym, którym należy się szacunek całego Narodu oraz przekazać pamięć o nich kolejnym pokoleniom, ogłasza rok 2016 – Rokiem Cichociemnych” – głosi uchwała.

Cichociemni, czyli żołnierze polscy szkoleni w Wielkiej Brytanii do zadań specjalnych, wysyłani byli do okupowanej Polski początkowo z Wielkiej Brytanii, a następnie, od końca 1943 r., z bazy we Włoszech. Wszyscy byli ochotnikami. Organizacją ich przerzutów zajmowała się polska sekcja brytyjskiego Kierownictwa Operacji Specjalnych SOE (Special Operations Executive) wspólnie z Oddziałem VI Sztabu Naczelnego Wodza Polskich Sił Zbrojnych, odpowiedzialnym za łączność z Komendą Główną ZWZ-AK.

Pierwszy zrzut, noszący kryptonim „Adolphus”, miał miejsce w nocy z 15 na 16 lutego 1941 r. Na pokładzie brytyjskiego dwusilnikowego samolotu Whitley znalazło się trzech polskich skoczków: kpt. Stanisław Krzymowski („Kostka”), por. Józef Zabielski („Żbik”) oraz kurier polityczny Czesław Raczkowski („Włodek”). Po wielu

godzinach niebezpiecznego lotu, którego trasa przebiegała bezpośrednio nad Niemcami, spadochroniarze zostali zrzućeni nie – jak planowano – pod Włoszczową w Kieleckiem, lecz na Śląsku Cieszyńskim pod Skoczowem, na terenach włączonych do Rzeszy.

Pierwszy przerzut Cichociemnych do okupowanej Polski miał charakter eksperymentalny. Trasę przelotu uznano za zbyt niebezpieczną i na dziewięć miesięcy przerwano loty. Po wznowieniu misji do lotów nad Polskę wykorzystywano specjalnie przystosowane do tego typu zadań samoloty Halifax. Zmieniono również trasę przelotu, która przebiegała odtąd nad Danią lub Szwecją. Pod koniec 1943 r. baza przerzutów do Polski została przeniesiona na południe Włoch do Brindisi.

W sumie w rekrutacji prowadzonej od lata 1940 do jesieni 1943 r. do służby w roli Cichociemnych zgłosiło się 2413 oficerów i podoficerów Polskich Sił Zbrojnych. Ogółem przeszkolono 606 osób, a do przerzutu zakwalifikowano łącznie 579 żołnierzy i kurierów.

Od 15 lutego 1941 r. do 26 grudnia 1944 r. zorganizowano 82 loty, w czasie których przerzucono do Polski 316 Cichociemnych (jeden z nich skakał dwukrotnie), wśród których znalazła się jedna kobieta – Elżbieta Zawacka „Zo”. W ramach wspomnianych zrzutów do kraju wysłano także 28 kurierów Ministerstwa Spraw Wewnętrznych.

Spośród 316 Cichociemnych 9 zginęło przed dotarciem do celu: 3 poniosło śmierć z powodu rozbicia się samolotu u wybrzeży Norwegii, 3 innych zostało zestrzelonych nad Danią, a 3 skoczkom nie otworzyły się spadochrony.

W okupowanej Polsce Cichociemni wchodzili w skład kierownictwa KG AK, byli żołnierzami Wachlarza, Związku Odwetu, Kedywu, zajmowali się szkoleniem, wywiadem, walczyli w oddziałach partyzanckich, uczestniczyli w sabotażu i działaniach dywersyjnych we wszystkich okręgach AK.

Do najbardziej znanych Cichociemnych przerzuczonych do Polski należeli: gen. Leopold Okulicki, szef Oddziału II KG AK płk Kazimierz Iranek-Osmecki, legendarny dowódca partyzancki z Gór Świętokrzyskich Jan Piwnik „Ponury”, stojący na czele Centrali Służby Śledczej Państwowego Korpusu Bezpieczeństwa mjr Bolesław Kontrym „Żmudzin”.

91 Cichociemnych walczyło w Powstaniu Warszawskim, poległo 18 z nich. W czasie wojny zginęło w sumie 103 Cichociemnych. Dziewięciu zostało zamordowanych przez władze komunistyczne w powojennej Polsce.

Wykorzystano materiały z Internetu

POLSKI KIJÓW W WARSZAWIE

W Domu Technika Naczelnej Organizacji Technicznej w Warszawie 14 kwietnia 2016 r. otwarto wystawę **POLSKIE AKCENTY KIJOWA**, przedstawiającą na zdjęciach przede wszystkim dzieła architektów Polaków z tego miasta, ale także inne budowle związane z polską społecznością Kijowa.

Otwarcia wystawy dokonali: Jacek Kubielski – sekretarz generalny Federacji Stowarzyszeń Naukowo-Technicznych Naczelnej Organizacji Technicznej, Jerzy Rożek – prezes Zarządu Domu Technika Naczelnej Organizacji Technicznej sp. z o.o. w towarzystwie autorki wystawy Wiktorii Radik – wiceprezes Związku Polaków na Ukrainie z Kijowa.

W uroczystości uczestniczyli m.in.: prof. Wiesław Łucjanek – nauczyciel akademicki z Politechniki Warszawskiej, Joanna Laskowska – członkini Zarządu Sekcji Wychowanków Politechniki Kijowskiej przy Naczelnej Organizacji Technicznej i Ewa Łukasik z Federacji Stowarzyszeń Naukowo-Technicznych Naczelnej Organizacji Technicznej oraz przedstawiciele Stowarzyszenia Współpracy Polska-Wschód, Społecznego Towarzystwa Polska-Ukraina i innych organizacji zainteresowanych współpracą Polski z Ukrainą.



Gmach Domu Technika NOT przy ul. Czackiego w Warszawie

Podczas otwarcia autorka wystawy Wiktoria Radik scharakteryzowała niektóre budynki pokazane na zdjęciach i opowiedziała o działalności polskich organizacji na Ukrainie.

Wystawa, znajdująca się w sali E Domu Technika Naczelnej Organizacji Technicznej, była czynna do 27 kwietnia br.

Joanna LASKOWSKA



SEMINARIUM

Seminarium „WSPÓŁPRACA GOSPODARCZA Z UKRAINĄ”, zorganizowane przez Sekcję Wychowanków Politechniki Kijowskiej przy FSNT Naczelnej Organizacji Technicznej, odbyło się w hotelu „Jurajski Olsztyn”, Olsztynie pod Częstochową, w dniach 20-22 maja 2016 r. Politechnikę Kijowską reprezentowała Olga Wachrina, która opowiedziała o uczelni, ilustrując prelekcję filmami z Kijowa. W seminarium uczestniczył ambasador Socjalistycznej Republiki Wietnamu Pham Kien Thiet – absolwent tej uczelni, który w swojej wypowiedzi wspominał wspólne z polskimi kolegami studia w Kijowie i pogratulował Sekcji jej działalności.

Referat o przemyśle Ukrainy wygłosił Bogusław Satława. Na podstawie danych Państwowej Służby Statystycznej Ukrainy stwierdził, że w 2015 r. nadal spadała produkcja przemysłowa w kraju. W niektórych gałęziach przemysłu produkcja wzrosła, co dotyczy na przykład urządzeń medycznych, części samochodowych i przyczep, a także w przemyśle spożywczym produkcji wina. Janusz Fuka na podstawie danych z Ambasady RP w Kijowie poinformował, że obroty towarowe między obu krajami w ubiegłym roku zmalały, zresztą jak i cała wymiana towarowa Ukrainy z zagra-

nicą. W polskim eksporcie dominowały maszyny i produkty chemiczne, zaś w imporcie metale i produkty roślinne. Polska nadal zajmowała czwarte miejsce w wymianie handlowej Ukrainy z zagranicą. Zaznaczył się spadek wartości polskich inwestycji w tym kraju. Uczestnicy otrzymali 31. broszurę z cyklu „Wspomnienia z Kijowa” z ewidencją wychowanków Politechniki Kijowskiej. Głównymi organizatorami seminarium byli Barbara i Bogusław Satławowie.

20 maja wieczorem podczas kolacji koncertował kolega z uczelni Krzysztof Świder. Następnego dnia po obradach uczestnicy zwiedzili ruchomą szopkę w Olsztynie, a w Chacie Wójtówka wysłuchali koncertu zespołu ludowego. Weszli na wzgórze z ruinami zamku średniowiecznego, skąd podziwiali panoramę malowniczego Olsztyna. Wieczorem wspominali macierzystą uczelnię podczas uroczystej kolacji, a młodszy zatańczyli pod muzykę akordeonisty. 22 maja uczestnicy samochodami udali się do sanktuarium ojca Pio koło Mstowa, a następnie odwiedzili klasztor na Jasnej Górze w Częstochowie.

*Janusz FUKSA
Barbara BOROWSKA-SATŁAWA*



Uczestnicy Seminarium podczas koncertu zespołu ludowego w Chacie Wójtówka

WARSZAWSKIE FELIETONY MIKOŁAJA ONISZCZUKA

Imponujące wyniki w handlu zagranicznym

Tak można by syntetycznie określić ubiegłoroczne wyniki w polskim handlu z zagranicą. Na tę wysoką i wiarygodną ocenę mają wpływ rekordowe poziomy dostaw w eksporcie oraz wysoka dynamika obrotów globalnych.

Z najświeższych danych GUS wynika, że nasz eksport wzrósł o 7,8%, a import o 3,9%. Poziom eksportu osiągnął 178,7 mld euro, a importu 175 mld euro. Dodatnie saldo dla Polski ukształtowało się zatem na poziomie 3,7 mld euro.

Jest to potwierdzeniem pomyślnej realizacji polityki proeksportowego rozwoju polskiej gospodarki, jej konkurencyjności i atrakcyjności na rynkach światowych. W ujęciu geograficznym – tak w eksporcie, jak i w imporcie – dominują rynki unijne. Przypada na nie aż 79,3% wartości naszych dostaw eksportowych i 59,7%

dostaw importowych. Najwięcej eksportujemy do Niemiec, W. Brytanii, Czech, Włoch i Holandii. Gros importu natomiast pochodzi z Niemiec, Chin, Rosji, Włoch, Holandii i Francji. Gorsze, i to znacznie, mamy wyniki w handlu z Rosją i z Ukrainą. Tutaj tendencje są spadkowe, bo eksport do Rosji spadł w ub. roku, licząc w USD, o 39,4%, a na Ukrainę o 21,5%. Stąd ich udział w naszym eksporcie nie przekracza odpowiednio 2,9% i 1,7%. To zapaść z dobrze znanych przyczyn.

Ubiegłoroczne dobre wyniki to dobry fundament do realizacji zadań tegorocznych. Te są równie ambitne, co zakładają chociażby wskaźniki makroekonomiczne budżetu, bo przy wzroście PKB o 3,8%, eksport ma wzrosnąć o kolejne 7%. Gospodarka polska jest i pozostanie więc na ścieżce wzrostu. I to wyższego od średniej wzrostu unijnego.

Dominują Ukraińcy i Białorusini

Polska coraz bardziej staje się kuźnią kształcącą kadry z wyższym wykształceniem. Według najnowszych danych Głównego Urzędu Statystycznego – w Polsce studiuje ponad 57 tysięcy studentów zagranicznych. I liczba ta z roku na rok rośnie. Co prawda to tylko 4,1% ogółu studentów w naszym kraju, ale i ten udział świadczy o umiędzynarodowianiu się polskich uczelni wyższych i kraju w ogóle. Ciekawe, acz mało może znane są dane dotyczące tego, z jakich krajów studenci ci pochodzą. A wynika z nich, że najwięcej, bo aż 30589 studentów jest z Ukrainy! To 53% ogółu

studentów zagranicznych. Drugą największą grupę studentów stanowią Białorusini, bo grupa ta liczy w tym roku akademickim 4615 osób. Co ciekawe – dalsze miejsca zajmują: Norwegowie – 1581 osób, Hiszpanie – 1407 osób i Szwedzi – 1291 osób. W sumie w roku akademickim 2015/2016 dominują studenci z Europy. Dla porównania tylko – liczba studentów z Azji wynosi tylko 6896 osób, z Ameryki Południowej tylko 173, w tym z Brazylii – 82, a z Afryki – 1197. Uogólniając – na świecie, poza granicami własnego kraju, uczy się 4,5 miliona studentów.

Milion Ukraińców poprawia swój byt w Polsce

I od razu dodam, że nie czymś kosztem, a własną pracą. Na ten temat głoszą dwie interesujące publikacje na łamach marcowego numeru miesięcznika „Przeгляд”, który uzyskałem będąc w Stowarzyszeniu Dziennikarzy RP. Jedna to obszerny artykuł Ewy Rogowskiej pt. „*Milion Ukraińców buduje Polskę*”, a druga – to tekst Wiktora Raczkowskiego, zatytułowany „*Ukrainiec potrzebny od zaraz*”. Oba teksty są rzeczowe i interesujące. A interesujące chociażby z uwagi na takie oto informacje i dane. Praca w Polsce jest atrakcyjną dla Ukraińców ofertą, bo można zarobić wielokrotnie więcej niż na Ukrainie. Tam średnia pensja wynosiła w 2015 roku 3633 hrywny, czyli według tegorocznego kursu

537 zł. Choć Ukraińcy twierdzą, że faktycznie ta średnia jest niższa i wynosi około 300 złotych.

Przeciętna emerytura to 1,5 tys. hrywnien, czyli 222 zł. A ceny są porównywalne z polskimi.

W Polsce stawki dla Ukraińców kształtują się na poziomie 10-15 zł. za godzinę. Zależą od rodzaju pracy i umiejętności pracownika. Dość korzystna jest sytuacja kobiet sprzątających w domach. Jeśli umawiają się na konkretną kwotę, a nie na stawkę godzinową, ich zapłata – o ile są bardzo szybkie i dokładne – może się przełożyć na 20 zł. za godzinę.

Według danych NBP, w III kwartale ub. roku, obywatele Ukrainy zarobili w Polsce 2,3 mld złotych.

Dobrosąsiedztwo przynosi więc korzyści obu stronom. I oby tak dalej...

A jak obecność Ukraińców w Polsce oceniają Polacy? Według danych CBOS-u z czerwca ub. roku – 38% badanych uważa ją za korzystną, 27% nie ma w tej kwestii jednoznacznego zdania, a 35% uważa, że jest ona niekorzystna.

Ukraińskie realia dla dziennikarzy

Na fali stałego i życzliwego zainteresowania problematyką ukraińską – 17 maja br. w Centrum Prasowym Domu Dziennikarza w Warszawie odbyło się spotkanie pod zmiennym tytułem „*Ukraina – jaka jest naprawdę*”. Spotkanie to zostało zorganizowane przez Stowarzyszenie Dziennikarzy Polskich. Miało ono charakter monośrodowiskowy, bo skierowane było do dziennikarzy ze wszystkich redakcji krajowych. A to dlatego, by te informowały społeczeństwo w sposób kompetentny i rzeczowy o tym, co dzieje się na Ukrainie. A taka wiedza jest szczególnie potrzebna w sytuacji agresywnej i fałszywej propagandy rosyjskiej.

Referentem głównym tematu był Paweł Bobołowicz, reporter, dziennikarz od 20 lat zajmujący się współpracą polsko-ukraińską. Główną uwagę słucha-

A jaki jest stosunek do Ukraińców w ogóle? Według badań tegoż Centrum ze stycznia ub. roku – 6% nie ma zdania na ten temat, dla 26% jest to sprawa obojętna, ale 32% ma stosunek niechętny, a 36% deklaruje swoją sympatię.

czy skupił na wydarzeniach z Euromajdanu, ilustrując to wymownym filmem, z pokazaniem głosów ludzi, ale i ofiar represji wobec nich ze strony ówczesnych władz. Zarówno on, jak i dyskutanci krytycznie odnieśli się do poprzedniej, jak i obecnej polityki rusyfikacji oraz agresji, presji i nacisków ze strony Rosji wobec Ukrainy. I stąd aktualnym zadaniem staje się sprzeciw wobec tego, który określono mianem derusyfikacji. Wszystkie inne wystąpienia podkreślały znaczenie wsparcia ze strony Polaków dla Ukrainy.

Rangę spotkania podkreślała obecność na nim Ambasadora Ukrainy w Polsce, Andrija Deszczycy. On również pochwalał nasze działania. W sumie – spotkanie było ciekawe i pożyteczne, stąd opuszczając je wszyscy uczestnicy byli w dobrym, proukraińskim nastroju.

Na piedestale chwały

W majestacie uroczystych obchodów Dnia Flagi RP i Święta Konstytucji 3 Maja – 2 maja br. obchodzony był Dzień Polonii i Polaków za Granicą. Odbyły się w tym dniu liczne spotkania na terenie całego kraju, w tym oczywiście – centralne w Warszawie, z udziałem najwyższych władz państwowych i rządowych, Sejmu i Senatu, z Prezydentem i Premierem na czele.

Wzięły w nich udział liczne grupy zaproszonych, w tym w charakterze głównych gości – przedstawiciele Polonii i Polaków z różnych krajów świata, w tym z sąsiedniej Ukrainy. A że okazja to niecodzienna – stąd nastrój był podniosły i dostojny. Były gratulacje, życzenia i pozdrowienia. Organizacja i atmosfera spotkań była doskonała, oprawiona artystycznie muzyką Fryderyka Chopina i występami zespołów pieśni i tańca.

Były wręczane najwyższe odznaczenia państwowe w Belwederze i na Zamku Królewskim. Dla wielu osób były to miejsca pierwszego, a może i jedyne tam pobytu. W czasie uroczystości było sporo emocji i wzruszeń, a zwłaszcza przy wręczaniu odznaczeń osobom zasłużonym w działalności polonijnej.

A warto znać te nazwiska, bo to były postacie uosabiające i honorujące reprezentowane przez nie środowiska. Z satysfakcją odnotowałem, że wśród odznaczonych znalazła się Emilia Chmielowa – prezes Federacji Organizacji Polskich na Ukrainie. Postać znana mi z okresu pracy w Ambasadzie RP w Kijowie. Odznaczona została Krzyżem Komandorskim Orderu Odrodzenia Polski. To jedno z najwyższych polskich odznaczeń państwowych. Gratuluję i pozdrawiam! To samo odznaczenie otrzymała tylko Barbara Kukulska – prezes Zjednoczenia Polskiego w Johannesburgu i pośmiertnie Michał Bieniasz – artysta-plastyk, prezes Stowarzyszenia Polskich Kombatanów ze Szwecji.

Krzyże Kawalerskie Orderu Odrodzenia Polski otrzymali: Aleksander Oczak – wiceprezes Stowarzyszenia „Nasza Polonia” w Sydney i Tadeusz Smugała – wiceprezes Zarządu Głównego Macierzy Szkolnej w Republice Czeskiej. Na takie wyróżnienia inni nie tracą nadziei, choć muszą poczekać do przyszłego roku. Ale ten miły, ukraiński akcent polonijny, zmotywował i mnie do dalszej współpracy z prasą polonijną na Ukrainie. Stąd od razu ten komentarz...

SPECYFIKA WYCHOWANIA RELIGIJNEGO W RODZINACH WIELOWYZNANIOWYCH

Rodzina jest środowiskiem życia niemal każdego człowieka. Jest oczywiste, że „proces wychowania rozpoczyna się w rodzinie i że środowisko rodzinne stanowi najważniejsze ogniwo w procesie wychowawczym” [1].

Pedagodzy ukraińscy uważali „rodzinę za pierwszą i zarazem podstawową szkołę patriotyzmu, narodowego wychowania, środowisko, w obrębie którego kształtowano szacunek wobec języka ojczystego, zwyczajów i tradycji oraz obrzędów. Utrzymywali nawet, że rodzina i ród to rodzaj świątyni, zaś wychowanie dzieci pozostaje najważniejszym obowiązkiem rodziców” [2].

Z prawa naturalnego „wypływa obowiązek rodziców do religijnego wychowania dzieci. Wprowadzania dzieci w życie wartościowe, zapewniające poczucie bezpieczeństwa i znalezienie sensu własnej egzystencji” [3]. Obejmuje ono „całego człowieka z jego niepowtarzalnym życiem fizycznym, psychicznym, społecznym, duchowym, religijnym i chroni go przed błędnym rozumieniem osoby ludzkiej” [4]. Aby człowiek – który pragnie wspiąć się na szczyty człowieczeństwa (a przecież o to tak naprawdę chodzi w wychowaniu chrześcijańskim) w swoim życiu i śmierci – przybliżył się do Chrystusa.

Pisząc o rodzinie należy powiedzieć, że na Ukrainie jest to przede wszystkim rodzina tak zwana mieszana religijnie i kulturowo, to znaczy wielowyznaniowa. Dlatego na wstępie warto powiedzieć o „małżeństwach wielowyznaniowych, lub inaczej zwanych – mieszanych. Małżeństwo wielowyznaniowe oznacza związek pomiędzy dwojgiem ludzi różnych religii czy wyznań” [5]. Innymi słowy – każdy z małżonków jest innego wyznania chrześcijańskiego. W pojęciu „chrześcijański” [6] chodzi o związek z religią chrześcijańską, religią, której Założycielem jest Jezus Chrystus. Do tak pojętej religii wchodziły trzy zasadnicze wyznania: katolickie (greko-katolickie), protestanckie i prawosławne [7].

Tak zwane małżeństwa mieszane, „zawierane pomiędzy katolikami i ochrzczonymi niekatolikami, [...] niosą z sobą szczególne wymagania. Przede wszystkim winny być wzięte pod uwagę wynikające z wiary obowiązki strony katolickiej, dotyczące swobodnego praktykowania wiary i płynący stąd obowiązek zatroszczenia się w miarę własnych sił o to, aby dzieci zostały ochrzczone i wychowane w wierze katolickiej. Trzeba sobie uświadamiać szczególne trudności związane z ułożeniem stosunków między mężem i żoną w tym, co się odnosi do

poszanowania wolności religijnej” [8]. „W tym celu, [...] trzeba starać się [...] o serdeczną współpracę pomiędzy duchownym katolickim i niekatolickim” [9].

Określony „stosunek do Boga, określony kierunek szukania sensu życia stanowią dla rodzin wielowyznaniowych centralne wyznaczniki. Ta rzeczywistość religijna, wspólna dla różnych religii, niezależnie od wieloznaczności ich pojęć, może być podstawą wzajemnego zrozumienia, kształtowania postawy akceptacji inności kulturowej” [10].

Należy „dbać i umacniać więź rodzinną. To, co łączy, jednoczy, zespala ludzi ze sobą, buduje związek, tworzy powiązanie z drugim człowiekiem – to więź rodzinna. Wynika z tego, że silna, zgodna rodzina jest wspaniałym źródłem wsparcia dla małego człowieka” [11].

Po przeanalizowaniu zamieszczonych w Aneksach kwestionariuszy wywiadu nadszedł czas na wyciągnięcie wniosków, na podstawie których zostanie następnie podjęta próba sformułowania postulatów.

Jak to już zostało podkreślone, „wychowanie stanowi proces celowego działania, które jest realizowane w warunkach tzw. cywilizacji zmiennej i w związku z tym zadania wychowawcze stają się coraz bardziej złożone w stosunku do zadań z okresów względnej stabilizacji życia społecznego i kultury” [12]. Na Ukrainie od wieków mieszały się kultury i tradycje. Odbывало się to przeważnie w sposób naturalny poprzez zawieranie małżeństw mieszanych. Z całą pewnością tam, gdzie zachodzi różnica wyznania, mogą (choć nie muszą) zdarzyć się sytuacje konfliktowe. Jakie płyną z tego wnioski?

Znaczenie praktyk religijnych w wychowaniu dzieci

Z przeprowadzonych badań wynika, że rodziny, w których spełniane są praktyki religijne, potrafią nawiązać autentyczną więź z Bogiem, rozwija się w nich wiara. I potwierdzeniem autentycznych więzi z Bogiem jest życie sakramentalne i regularne praktyki religijne. Tak jak dziecko każdego dnia na nowo potrzebuje i szuka kontaktu z kochającymi rodzicami, tak też człowiek żyjący w osobistej przyjaźni z Bogiem – codziennie na nowo szuka Bożej obecności, Bożej miłości i prawdy. Istotnym przejawem takich poszukiwań jest regularne korzystanie z sakramentu pokuty, częsta Eu-

charystia i Komunia św., lektura Pisma św., udział w rekolekcjach[13].

Aby człowiek w pełni mógł uczestniczyć w liturgii, konieczne jest jego osobiste przygotowanie: wychowanie do właściwego przeżywania liturgii. Taką rolę pełnią praktyki religijne kultywowane w domu rodzinnym. Stanowią one istotny element wychowania dziecka. Poprzez kultywowanie różnych tradycji, obrzędów religijnych w domu, dziecko stopniowo uczy się przeżywać liturgię, która jest sprawowana przez wspólnotę Kościoła w świątyni.

Stąd też wynika postulat, który znalazł potwierdzenie również w przeprowadzonych badaniach, aby już od najmłodszych lat rodzice przyzwyczajali swoje dzieci do uczestnictwa w różnych praktykach religijnych „domowego Kościoła”, którym jest rodzina. Nic tak nie zapada w pamięć dziecka, jak wspólna, rodzinna modlitwa, obrzędy sprawowane z okazji różnych świąt, przygotowanie (strojenie) domowego ołtarzyka itd.

Rodzice nie powinni nazbyt długo zwlekać z chrztem dziecka. Nie powinni również zbyt łatwo dyspensować się przed jak najwcześniejszym przyprowadzaniem dziecka do kościoła. W ten sposób dziecko już od najmłodszych lat przyzwyczaja się do obrzędów liturgicznych, poznaje ich sens i samo stara się włączyć do liturgii.

Kolejnym, niezmiernie ważnym postulatem jest poświęcanie czasu na rozmowę z dzieckiem, tłumaczenie mu znaczenia poszczególnych praktyk, obrzędów, gestów liturgicznych, czytanie z nim Pisma św. czy prasy religijnej.

Poprzez włączenie dziecka w praktyki religijne najpierw rodzinnego domu, a później wspólnoty Kościoła, również dokonuje się uspołecznienie dziecka, zaczyna się ono czuć prawdziwym członkiem wspólnoty, do której zostało włączone przez chrzest.

Rodzina pierwszą szkołą wiary

Do podstawowych obowiązków rodziców wobec dzieci należy ich religijne i moralne wychowanie. Rola „rodziców w kształtowaniu się postaw religijnych i moralnych młodego człowieka jest unikalna. [...] Na doniosłość tego zadania, a zarazem obowiązku, trzeba zwracać uwagę zwłaszcza dzisiaj, gdy wielu czyni wszystko, by rodzinę zepchnąć na margines życia społecznego, by odebrać jej przyrodzone, zgodne z naturą znaczenie dla rozwoju i wychowania młodych pokoleń. W związku z takim stanem oba Kościoły (katolicki i prawosławny) zwracają uwagę na niezastąpioną rolę rodziców w procesie wychowawczym młodych pokoleń”[14].

Potwierdzeniem tych słów jest fakt, że rodzicom, z którymi został wypełniony kwestionariusz wywiadu, zależy na religijnym wychowaniu ich dzieci. Z tego powodu część przyszłych rodziców jeszcze przed ślubem zdecydowała, że zawrą sakrament małżeństwa w Kościele rzymskokatolickim a swoje dzieci wychowają według zasad tego Kościoła. Inni doszli do takiego wniosku już po zawarciu małżeństwa. A jeszcze inni po pewnym czasie stwierdzili, że muszą wspólnie przekazywać wiarę w jedynej tradycji katolickiej.

Stąd wypływa wniosek, że aby dziecko prawidłowo się rozwijało, powinno być wychowywane w z góry określonym środowisku i tradycji. Najlepsze efekty wychowawcze osiągane są w tych rodzinach, w których dzieci mają jasno i konkretnie określony system i hierarchię wartości, oparte na tradycji jednego, konkretnego Kościoła.

Człowiek z natury potrzebuje jasno określonego kierunku rozwoju. Nie może stać na rozdrożu, być wewnętrznie rozdartym pomiędzy różnymi tradycjami religijnymi. Jeśli w rodzinie dochodzi do swoistego pomieszania tradycji i wyznań, w konsekwencji grozi to m.in. tym, że dziecko będzie się czuć zagubione, a w efekcie może nawet utracić wiarę.

Stąd też rodzi się postulat, by jeszcze przed ślubem, w okresie okresu narzeczeństwa, młodzi jako przyszli rodzice ustalili, w jakiej tradycji i wyznaniu będą wychowywać swoje przyszłe potomstwo.

Kościół rzymskokatolicki, mając właśnie na uwadze dobro i prawidłowy rozwój psycho-emocjonalny oraz duchowy dziecka, domaga się od strony niekatolickiej, która jednak decyduje się na zawarcie sakramentalnego związku małżeńskiego w tym Kościele, aby pod przysięgą zobowiązała się, że nie będzie stawiała przeszkód stronie katolickiej w spełnianiu jej praktyk religijnych oraz że zrodzone potomstwo zostanie ochrzczone i wychowane w wierze tego Kościoła[15]. Należy podkreślić, że Kościół stawiając takie wymogi ma na celu zarówno dobro małżonków, jak i ich dzieci.

Rodzina szkołą moralności

Kościół katolicki niechętnie albo z wielką ostrożnością odnosi się do małżeństw mieszanych. Wynika to z tego, że w prawie kanonicznym istnieje cały szereg wymagań stawianych stronie niekatolickiej, a „na zawarciu małżeństwa mieszanego (wielowyznaniowego) każdorazowo wymagana jest specjalna dyspensa biskupa. Kościół obawia się utraty wiary strony katolickiej pod wpływem współmałżonka, przeszkód w praktykowaniu

wiary katolickiej stawianych przez stronę niekatolicką, utraty możliwości przekazania wiary potomstwu”[16].

W małżeństwach wielowyznaniowych istnieje poważne niebezpieczeństwo powstania różnic w najbardziej podstawowych kwestiach dotyczących nie tylko wiary, ale i moralności. Takie małżeństwa już „na starcie” narażone są na konflikt interesów i brak jedności, a co za tym idzie – na nietrwałość związku w przyszłości.

Jednakże takie małżeństwa wielowyznaniowe, jeśli określą pewne wspólne zasady wewnętrznego życia, mogą się wzajemnie wielce ubogacić. To zaś w sposób nadzwyczajny znajdzie odzwierciedlenie w wychowaniu religijnym dzieci.

Jak to już powyżej zaznaczono, pomiędzy poszczególnymi wyznaniem – mimo iż wszystkie mają wspólny mianownik, jakim jest chrześcijaństwo – istnieją istotne różnice. Dotyczą one nie tylko kwestii dogmatycznych, ale i moralnych, np. zagadnienia nierozdzielności związku małżeńskiego.

Gdy obydwie strony mocno obstają przy swoich obrządkach i tradycjach, rodzą się poważne wyzwania wychowawcze. Z jednej strony dzieci mogą być wychowywane w duchu zdrowej tolerancji i szacunku wobec innych wyznań, mogą ubogacać się skarbami innej kultury i otwierać na innych chrześcijan. To zaś z kolei prowadzi do silnego pragnienia ekumenicznej jedności. Z drugiej jednak strony może spowodować zamieszanie w rozumieniu pojęć, prowadzić do kłótni a nawet do utraty wiary. Bardzo niekorzystna jest sytuacja, gdy w wyniku braku jasno sprecyzowanej hierarchii wartości moralnych jedne dzieci podążają za ojcem, a inne za matką.

W związku z powyższym rodzi się kolejny postulat dotyczący wspomnianej kwestii. Rodzice powinni między sobą ustalić pewien wspólny system moralnych wartości, system uniwersalny, na którym będą opierać wychowanie swoich dzieci. Powinni w ich obecności unikać tematów drażliwych, które mogłyby stanowić punkty zapalne. Tego typu kwestie rodzice powinni wyjaśnić między sobą na osobności, a następnie wspólnie przedstawiać dzieciom uzgodnione stanowisko.

Bardzo niekorzystna może być sytuacja, gdy w jakiejś kwestii dyskusyjnej, odnoszącej się do czynów moralnych człowieka, rodzice wzajemnie podważają autorytet drugiej strony, prezentując odmienne stanowisko. Jeszcze raz jednak należy przypomnieć, że priorytet w kwestiach moralnych powinno mieć nauczanie Kościoła katolickiego, gdyż w duchu tego Kościoła rodzice zobowiązali się wychowywać swoje dzieci.

Bardzo cieszy fakt, że rodzice w rodzinach wielowyznaniowych bardzo cenią sobie jedność rodziny. Z przeprowadzonych badań wyraźnie widać, jak bardzo zależy im na tym, by dla swoich dzieci byli dobrym przykładem do naśladowania. Zawsze wspierają siebie nawzajem, modlą się wspólnie i wzajemnie za siebie. Widocznym jest wysiłek rodzica wierzącego, jak również i rodzica, który dopiero poznaje prawdy wiary. Widać jak rodzice, które weszli nie tak dawno na drogę wiary, są pełni zapału i otwarci na Słowo Boże i naukę Kościoła. Z wielkim zaangażowaniem włączają się w sprawy wspólnoty lokalnego Kościoła.

W tym miejscu należy podkreślić fakt, że *„wychowanie dzieci ma również wpływ na samych rodziców. Wychowując swoje dzieci, rodzice wychowują także i samych siebie, gdyż obecność dzieci sprawia, że muszą oni kontrolować swoje postępowanie. Sytuacja ta wymaga również od nich zapobiegliwości i trudu, które mają na celu zabezpieczenie bytu materialnego i duchowego członków swojej rodziny*”[17]. To powoduje, że małżonkowie, opisani w pracy, pragną nadal rozwijać swoje życie duchowe, gdyż są świadomi własnej słabości i ułomności natury ludzkiej. Dlatego biorą udział w rekolekcjach i omawiają prawdy wiary w domu, dzielą się ze sobą i swoimi dziećmi doświadczeniem przeżywanej wiary. Bowiem jak nauczał św. Jan Paweł II, to *„rodzina jest miejscem wdrażania podstawowych wartości nadających sens życiu i harmonijnego rozwoju uczuciowości, zdolności do życia w społeczeństwie, dialogu z różnymi kulturami, a także w tolerancji*”[18].

Opisane rodziny stanowią dobry przykład dla wszystkich wielowyznaniowych rodzin. Ich miłość do Boga i do siebie nawzajem stanowią pomost pojednania pomiędzy poszczególnymi wyznaniem, służą wzajemnemu ubogacaniu się swoją wiarą i kulturą. Tego typu rodziny stanowią szkoły autentycznej tolerancji, w których młode pokolenia uczą się szacunku dla innych wyznań, tradycji i kultur.

Analiza zebranego materiału pozwoliła na sformułowanie następujących wniosków:

Aby pomóc współczesnej rodzinie w realizacji jej powołania we współczesnym, sekularyzowanym świecie, poszczególne Kościoły jednoczą siły. Pomimo istniejącego nadal rozłamu, poszukują wspólnych płaszczyzn porozumienia, aby tym lepiej służyć podstawowej komórce Kościoła i społeczeństwa, jakim jest rodzina.

Zadaniem niniejszej pracy było przedstawienie specyfiki wychowania religijnego w rodzinach wielowyznaniowych. Wymagało to najpierw zebrania informacji, przeprowadzenia stosownych badań, aby na ich podstawie wysnuć wnioski i sformułować postulaty odnośnie wychowania religijnego w rodzinach mieszanym. A zatem problem danej pracy naukowej polegał na udzieleniu odpowiedzi na następujące pytanie: jak wygląda wychowanie religijne w rodzinach wielowyznaniowych na przykładzie parafii pw. św. Wacława w Żytomierzu.

Temat ten jest szczególnie aktualny na terenach Ukrainy, gdzie wiele małżeństw jest małżeństwami mieszanymi (w zdecydowanej większości katolicko-prawosławnymi, choć i zdarzają się protestancko-prawosławne lub katolicko-protestanckie). Tego typu wspólnoty małżeńsko-rodzinne z pewnością mogą stanowić podstawową płaszczyznę pojednania pomiędzy siostrzanymi Kościołami (katolickim i prawosławnym, i nie tylko). Rodzina może w tej sferze odegrać znaczącą rolę, inicjując proces pojednania, pod warunkiem, że ta wspólnota sama będzie stanowić jedność[19]. „*Rodzina jest wspólnotą świętą – mówił św. Jan Paweł II – jest komunią osób zjednoczonych miłością. [...] Ta miłość Boga stanowi duchowe centrum rodziny i jej fundament. Poprzez taką miłość rodzina powstaje, rozwija się, dojrzewa i staje się źródłem pokoju i szczęścia dla rodziców i dla dzieci. Jest prawdziwym środowiskiem życia i miłości*”[20].

Poszukiwanie wspólnych płaszczyzn oraz poznanie różnic istniejących w omawianych typach rodzin, było celem niniejszej pracy. Odpowiadając na postawione pytanie, doszłam do wniosku, że umiejętność znajdowania kompromisów oraz właściwa, pełna zgody i pokoju atmosfera domu rodzinnego – mają decydujący wpływ na wychowanie religijne dzieci.

Rola rodziców w kształtowaniu postaw religijnych i moralnych młodego człowieka jest unikalna. Nie mogą ich w tym obowiązku zastąpić inne instrukcje. Na doniosłość tego zadania, a zarazem obowiązku, trzeba zwracać uwagę zwłaszcza dzisiaj, gdy wielu czyni wszystko, by rodzinę zepchnąć na margines życia społecznego, by odebrać jej pierwotne, zgodne z naturą znaczenie dla rozwoju i wychowania młodych pokoleń. W związku z takim stanem rzeczy wspólnoty chrześcijańskie (Kościoły poszczególnych wyznań) zwracają uwagę na niezastąpioną rolę rodziców w procesie wychowawczym młodych pokoleń. Wskazują jed-

nocześnie sposoby realizacji zadań i obowiązków spoczywających na rodzicach[21].

W nauczaniu Cerkwi prawosławnej, jak i Kościoła katolickiego: „*rodzice są również pierwszymi katechetami, pierwszymi głosicielami Ewangelii dla swoich dzieci. Oczywiście jest, że dziecku najłatwiej jest poznać Boga poprzez doświadczenie relacji rodzinnych, przez kontakt z ojcem i matką, przez życie w klimacie wzajemnej miłości*”[22]. Dziecko poznaje miłość Boga przez pryzmat miłości, jakiej doświadcza od swoich rodziców. Gdy tej miłości brakuje, gdy jest ona niedoskonała, to jak ma ono uwierzyć, że jest Ktoś kto je kocha, a Kogo nie widzi, skoro ci, którzy są z nim na co dzień nie potrafią mu tej miłości okazać?

Analizując kwestionariusz wywiadu przeprowadzonego wśród rodzin wielowyznaniowych, można wywnioskować, że wychowywanie dzieci ma również ogromny wpływ na samych rodziców. Wychowując swoje dzieci, rodzice wychowują także i samych siebie, obecność bowiem dzieci sprawia, że muszą oni kontrolować swoje postępowanie, panować nad swoimi temperamentami i emocjami. Sytuacja ta wymaga również od nich zapobiegliwości i trudu, których celem jest zabezpieczenie bytu materialnego i duchowego członków swojej rodziny[23].

W trakcie pisania tej pracy zetknęłam się z trudnościami związanymi z dotarciem do dokumentów źródłowych wspólnot protestanckich, dotyczących małżeństwa i rodziny. Nauczanie tych wspólnot nt. małżeństwa i rodziny nie jest jednorodne i cechuje je bardzo daleko posunięta dowolność w interpretacji norm etycznych i moralnych.

Należy również stwierdzić, że niniejsze studium nie rości sobie praw do dania ostatecznej i wyczerpującej odpowiedzi na postawione na wstępie pytanie. Wiele kwestii poruszonych w niniejszej pracy zasługuje na osobne, szeroko zakrojone badania, gdyż rodziny wielowyznaniowe stanowią doskonałe pole dla badań z zakresu pedagogiki, socjologii religii, teologii moralnej itd.

W sprawach dotyczących wychowania religijnego, któremu tyle uwagi poświęca Kościół katolicki i Cerkiew prawosławna, należy dążyć do jak najlepszego wzajemnego poznania się w celu poszukiwania płaszczyzn, które bardziej łączą niż dzielą. Istniejące różnice a nawet spory można rozwiązać jedynie na drodze dialogu otwartego na wspólne dobro, jakim dla każdego Kościoła jest rodzina. Jednak aby było to możliwe, należy najpierw osiągnąć kompromis w podstawowej wspólnocie, jakim jest każda rodzina. Ponieważ to

właśnie rodzina może stać się miejscem pojednania, dzięki wychowywaniu dzieci w duchu tolerancji dla innych wyznań religijnych, czyli w poszanowaniu każdego człowieka. Myślę, że młode pokolenia wychowywane w tego typu rodzinach to nadzieja na szeroko rozumiany ekumenizm i dialog.

Ołena ŁAGOWSKA

Przypisy

1. M. Sitarska, B. Strzemieczna, *Wychowanie do życia w rodzinie*, Warszawa: Vocatio 2000, s. 3.
2. Por. M. Chepil, *Ciernistą drogą. Wychowanie narodowe dzieci i młodzież ukraińskiej w Galicji i II Rzeczypospolitej (1848–1939)*, Lublin: LTN 2011, s. 143.
3. M. Łobocki, *ABC Wychowania*, Lublin: UMCS 1999, s. 30.
4. A. Rynio, *Integralne wychowanie w myśli Jana Pawła II*, Lublin: KUL 2004, s. 17.
5. KPK 1124.
6. Por. P. Dinzelbacher, *Leksykon mistyki*, Koczargi Nowe: Verbinum 2002, s. 3.
7. Por. A. Dziega, *W sprawie kryteriów dyskusji nad pedagogiką katolicką*, „*Pedagogika katolicka*” 1 (2007).
8. FC 78.
9. Tamże.
10. A. Różańska, *Edukacja religijna a edukacja międzykulturowa w szkole publicznej w społeczeństwie wielokulturowym*, w: red. W. Korzeniowska, A. Murzyn, H. Lukasova-Kantorkova, *Rola religii w edukacji międzykulturowej*, Kraków: WSP 2008, s. 196.
11. S. Turecki, S. Wernick, *Jak zrozumieć problemy emocjonalne dziecka*, Warszawa: Wyd. Akademii Pedagogiki Specjalnej 2001, s.14.
12. R. Wróczyński, *Wprowadzenie do pedagogiki społecznej*, Warszawa: PWN 1976, s.52.
13. Por. M. Drzewiecki, *Wychowanie religijne*. w: http://www.opoka.org.pl/biblioteka/T/TS/wychowanie_religijne.html#, na dzień 20.08.2014.
14. J.J. Pawłowicz, dz. cyt., s. 266.
15. Por. KPK 1125.
16. Tamże.
17. Протоиерей В. Цыпин, *Каноническое Право*, Москва: Изд-во Сретенского монастыря 2009, 52.2.



O Autorce

Ołena ŁAGOWSKA – siostra zakonna ze Zgromadzenia Sióstr Najświętszej Rodziny z Nazaretu. Urodziła się w Żytomierzu. Do Zgromadzenia wstąpiła w 1997 r., w Grodnie (Białoruś). Tam też pobierała naukę. Ukończyła katolicki college. W 2014 r. na wydziale pedagogiki Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego Jana Pawła II obroniła pracę licencjacką na temat „*Wychowanie religijne w rodzinach wielowyznaniowych*”.



PAMIĘĆ

W środę, 11 maja 2016 r., o godz. 18.00 w Łucku została odprawiona uroczysta Msza św. i rozpoczął się proces beatyfikacyjny męczennika o. Ludwika Włodarczyka OMI, zamordowanego 6 grudnia 1943 r. przez nacjonalistów ukraińskich w Karpilówce k. Rokitna. Początkowo proces był prowadzony w Katowicach – proces informacyjny, wstępny – który poprzedza rozpoczęcie właściwego procesu beatyfikacyjnego.

W 2013 r. archidiecezja katowicka przekazała z powrotem wszystkie akta i kompetencje do diecezji łuckiej na Ukrainie. Dla rozpoczęcia procesu ważnym jest miejsce śmierci kandydata i miejsce grobu.

Na proces czeka również kolejnych ponad pięćdziesięciu męczenników diecezji łuckiej z okresu II wojny światowej. Są to ofiary zbrodni i represji zarówno sowieckich, jak i niemieckich oraz nacjonalistów ukraińskich.

Spis ofiar według sprawców zbrodni

W wyniku zbrodni i represji sowieckich śmierć poniosło 18 kapłanów:

Ks. Piotr Paweł ANDRYKA
Ks. Tadeusz BĄCZKOWSKI
Ks. Jan CHOJNACKI
Ks. Leon CHUDY
Ks. Aleksander Teodor CZABAN
Ks. Józef Kazimierz CZURKO
Ks. Bronisław FEDOROWICZ
Ks. Bronisław GALICKI
Ks. Stanisław GAŁECKI
Ks. Stanisław PSZONKA
Ks. Bronisław Antoni RERON
Ks. Franciszek RUTKOWSKI
Ks. Władysław SPACZYŃSKI
Ks. Marian TOKARZEWSKI
Ks. Michał TYSZKA
Ks. Kazimierz WOŹNICKI
Ks. Stanisław ZIETARA
Ks. Bolesław ŻYLIŃSKI

W wyniku zbrodni i represji sowieckich śmierć poniosło 16 kapłanów:

Ks. Zygmunt CHMIELNICKI
Ks. Michał DĄBROWSKI
Ks. Stanisław GALEWSKI
Ks. Zygmunt GRABOWSKI
Ks. Stefan IWANICKI jr
Ks. Stanisław JANASZEK
Ks. Adolf JAROSIEWICZ
Ks. Lucjan KRAJEWSKI
Ks. Władysław MICHALAK
Ks. Wacław NEJMAK
Ks. Piotr ORYNT
Ks. Walery PŁOSKIEWICZ
Ks. Teodor PROKOPOWICZ
Ks. Józef ŚLIWA

Ks. Stefan ŚNIEGOCKI

Ks. Bolesław TRUSS CYRIAK

W wyniku zbrodni nacjonalistów ukraińskich śmierć poniosło 18 kapłanów, ojców i braci zakonnych:

Ks. Józef ALEKSANDROWICZ
Ks. Karol BARAN
Ks. Jan BUDKIEWICZ
Ks. Jerzy Jan CIMIŃSKI
Ks. Stanisław DOBRZAŃSKI
Ks. Stanisław FIJAŁKOWSKI
O. Józef Kamil GLECZMAN OCD
Ks. Stanisław GRZESIAK
Br. Józef HARMATA TChr
Ks. Jan KOTWICKI
Br. Cyprian LASOŃ OCD
Ks. Wacław MAJEWSKI
Ks. Bolesław SZAWŁOWSKI
Ks. Hieronim SZCZERBICKI
Ks. Józef SZOSTAK
Ks. Konstanty TURZAŃSKI
Ks. Piotr WALCZAK
O. Ludwik WŁODARCZYK OMI

W wyniku zbrodni polskiego Urzędu Bezpieczeństwa śmierć poniósł 1 kapłan:

Ks. Antoni DĄBROWSKI

W wyniku bombardowań i walk frontowych zginęło dwóch kapłanów:

Ks. Henryk GRABOWSKI
Ks. Michał GRODZICKI

Uważam, iż nie należy dzielić tych kapłanów ze względu na to, kto ich zamordował. Faktem jest, że w czasie II wojny światowej śmiercią męczeńską zginęło 55 kapłanów z diecezji łuckiej. Prowadzony jest tylko jeden proces beatyfikacyjny – o. Ludwika Włodarczyka OMI. Czy nie jest to skandal?! Wszystkich 55 zasłużyło na to, aby ich męczeństwo zostało uznane nie tylko przez historyków, ale przez Kościół.

Redakcja „Wołania z Wołynia” zbiera wszelkie informacje, relacje, dokumenty lub ich kopie odnoszące się do wyżej wymienionych męczenników. Przy pomocy p. Jarosława Kowalczyka z Równego uzyskaliśmy między innymi kopie szeregu spraw sądowych niektórych w/w kapłanów-męczenników, które znajdują się w Archiwum SBU.

APEL DO SEMINARZYSTÓW I STUDENTÓW

Seminarzystów, studentów i pracowników naukowych zachęcamy do pisania prac magisterskich i doktorskich oraz artykułów naukowych i popularno-naukowych o wyżej wymienionych osobach duchownych oraz pokrewne tematy. Każda praca, posiadająca pozytywną recenzję, zostanie opublikowana przez nasze wydawnictwo.

Ks. Witold-Yosif KOVALIV
e-mail: vykovaliv@gmail.com

HISTORIA Z DOKTOREM JANEM MATKOWSKIM

Symon Petlura. W 90. rocznicę śmierci

Wolność Polski i początki niepodległości Ukrainy są powiązane z charyzmatyczną i dla niektórych bardzo kontrowersyjną osobowością ukraińskiego polityka i przywódcy, Symona Petlury. Ukraińiec, który jako pierwszy po długich stuleciach zawarł sojusz z polskimi „panami”. Symon Petlura – zdecydowany wróg bolszewizmu i rosyjskiego imperializmu razem z Józefem Piłsudskim stał się symbolem solidarności narodów polskiego i ukraińskiego.

Petlura urodził się w 1879 roku na połtawszczyźnie w dawnej rodzinie kozackiej. Połtawa i jej okolice były w XVIII wieku kolonizowane przez Kozaków, których tradycje, a także pamięć o bliskim sąsiedzie Rosji, która zniszczyła Kozaków, były mocno zakorzenione w rodzinach, podobnych do tej, z której pochodził Petlura.

„*Głupim jest polityk, który w młodości nie był socjalistą, a jeszcze głupszy ten, który po trzydziestce nim został*” – mawiało się na początku XX wieku. Bardzo wcześnie socjalistą został i Petlura, przez co w 1901 roku wyrzucono go z seminarium duchowego. Wtedy to dołączył się do różnorodnej rewolucyjnej działalności na rzecz obalenia rosyjskiej hegemonii nad wieloma narodami. Pracował jako nauczyciel i dziennikarz, a po 1918 roku aktywnie walczył z bolszewizmem, który stał się jedną z idei imperialistycznej Rosji. W 1918 r. sformował tzw. oddział kozacki, który w tymże roku stłumił w Kijowie powstanie miejscowych bolszewików. W 1919 roku ataman Petlura stanął na czele Dyktorii – rządu Ukraińskiej Republiki Ludowej.

Od 1919 roku do śmierci w 1926 roku Petlura był dla Ukraińców symbolem walki o niepodległość. Gdy w 1920 roku podpisano sojusz z Piłsudskim, Petlura stał się także ikoną polsko-ukraińskiego pojednania. Po porażkach w wojnie rosyjsko-ukraińskiej przyjechał do Polski, gdzie przebywał przez jakiś czas. Później wyemigrował do Francji.

25 maja 1926 roku, w Paryżu, Symon Petlura został zabity przez agenta radzieckiego wywiadu wojskowego GPU Solomona Schwarzbarda. Bolszewików nie usatysfakcjonowała jednak jego śmierć fizyczna. Schwarzbard oddał się w ręce francuskiej policji i stanął przed sądem, gdzie proces antysemitów Symonowi Petlurze i ukraińskiemu nacjonalizmowi „*wytoczył światowy proletariat*”. Morderca oświadczył, że zabił Ukraińca w odwecie za pogromy żydowskie na Ukrainie, których

przyczyną „*był Petlura*”. Osiem dni później Schwarzbarda zwolniono z więzienia, a Petlura trafił do encyklopedii żydowskiej jako „*ukraiński Hitler*”. Nawet dzisiaj w niektórych językach, w tym w rosyjskim, miano „*petlurowiec*” uważane jest za obraźliwe.

Polsko-ukraiński sojusz 1920 roku

Po objęciu władzy w Kijowie Petlura był świadomy faktu, iż moskiewsko-bolszewickie hordy można będzie pokonać wyłącznie przy pomocy jednego z zachodnich sąsiadów. W tym czasie odważenie się na współpracę z Piłsudskim było bardzo niebezpiecznie i mało wiarygodnie, gdyż wyszła jeszcze krew przelana w walkach o Lwów. Jednak nie było innego wyjścia.

9 grudnia 1919 roku, po ośmiu godzinach rozmów w Belwederze, Petlura zdecydował się podpisać sojusz z Rzeczypospolitą. W ramach umowy URL (Ukraińska Republika Ludowa) rezygnowała z Małopolski Wschodniej (ukraińskiej Hałyczyny), a także części Wołynia. Rzeczypospolita uznała URL na forum międzynarodowym i zobowiązała się do wyposażenia trzech ukraińskich dywizji, które miały dołączyć do wojny z Rosją. W zamian Petlura musiał włączyć do swego rządu dwóch piłsudczyków – Stanisława Stempowskiego i Henryka Józewskiego.

7 maja 1920 roku polsko-ukraińskie wojsko zajęło Kijów i wyzwoliło go od rosyjsko-bolszewickiej armii. Osiągnięte zwycięstwa miały przede wszystkim charakter ideologiczny. Bardzo szybko armia rosyjska zdobyła utracone pozycje, a Petlura wraz z polskimi oddziałami musiał wycofywać się coraz dalej na zachód. Jednak „*kijowska wyprawa*” na zawsze weszła do historii jako akt solidarności obydwu narodów wobec moskiewskiej agresji.

W listopadzie 1920 roku polsko-ukraińską granicę przekroczyło 40-45 tys. ukraińskich żołnierzy. Ukraińskie ministerstwa wraz z całym ich wyposażeniem przeniesiono do polskich miast. Na krótko nową ukraińską stolicą stał się Tarnów, gdzie w hotelu Bristol rozlokował się ukraiński rząd. Około 20 tys. wojskowych umieszczono w obozach dla internowanych w Kaliszu, Aleksandrowie Kujawskim i w Łańcucie.

Polsko-ukraiński sojusz ma jeszcze jeden, bardzo ważny, a nieco przemilczany w Polsce epizod, mianowicie udział ukraińskich oddziałów w obronie War-

szawy i w „*cudzie pod Zamościem*”. Właśnie w bitwie pod Komarowem 6. dywizja ukraińskich Strzelców Si-
czowych pod dowództwem płk Marka Bezruczki ode-
grała kluczową rolę. W bitwie tej pobito słynną
konnicę Budionnego, a Armia Czerwona zaznała naj-
większej klęski.

Ukraiński rząd na uchodźstwie

„*Ja was przepraszam, panowie, ja was przepraszam –
to miało być zupełnie inaczej*” – powiedział marszałek
Piłsudski do ukraińskich żołnierzy w 1921 roku pod-
czas wizyty w obozie w Kaliszu. Owa wizyta odbyła się
po podpisaniu w Rydze traktatu pokojowego. Petlura
nigdy nie traktował aktu podpisania pokoju z Moskwą
jako zdradę ze strony Piłsudskiego. W dokumentach,
które pozostały z tych czasów, wynika, że apelował do
oficerów armii ukraińskiej o zrozumienie sytuacji, w
której znajduje się Polska. Ataman napisał wtedy do
Piłsudskiego, że jego obowiązkiem wobec narodu jest
niedopuszczenie do kapitulacji przed Rosją, dlatego bę-
dzie kontynuował walkę. Jesienią 1921 roku petlu-
rowcy podjęli ostatnią próbę powrotu na Ukrainę, ale
bez powodzenia – około 400 bezbronných żołnierzy
armii Petlury rozstrzelano na Wołyniu. Zgodnie z usta-
leniami traktatu ryskiego Polska miała usunąć Petlurę
ze swego terytorium. Przez jakiś czas Petlurę i jego ro-
dzinę ukrywał Henryk Józewski oraz inni piłsudczycy.
W 1923 roku Petlura wyjechał z Polski do Austrii, a
później na Węgry i do Szwajcarii. W październiku
1924 roku osiedlił się w Paryżu, gdzie zorganizował
wydawanie tygodnika „Tryzub”. Do samej śmierci był
na forum międzynarodowym uznawany za szefa ukra-
ińskiego rządu na uchodźstwie.

„Ukraiński antysemityzm” Symona Petlury

Podbiwszy Ukrainę, bolszewicy w latach 20. ubieg-
łego wieku dołożyli maksymalnych starań, by skom-
promitować w Europie prawdziwych przedstawicieli
ukraińskich władz. Dlatego wymyślono mit o strasz-
nych żydowskich pogromach na Ukrainie, dokonanych
przez armię Petlury. To, że żydowskie pogromy miały
miejsce na Ukrainie – było prawdą, lecz w większości
wypadków dokonała je Armia Czerwona i armie car-
skich generałów, które jeszcze przez długie lata walczyły
z bolszewikami. Po tym jak Solomon Schwarzbard za-
strzelił Petlurę, rozpoczęto akcję dyskredytacji polity-
ków i oficerów należących do obozu Petlury. Chociaż
francuska władza doskonale wiedziała, że Schwarzbard
należał w przeszłości do jednostki karnej Armii Czer-
wonej (i być może nawet sam mordował Żydów), jed-

Symon Petlura



nak nic nie zrobiono, by zdemaskować moskiewskiego
agenta. Historycy piszą, że decydującym czynnikiem
w takiej właśnie postawie Francuzów był strach o po-
gorszenie (i tak jeszcze słabych) więzi dyplomatycznych
z ZSRR. Czyż ta historia nie przypomina współczes-
nej historii o stosunku prezydenta Francji, Nicolasa
Sarkozy’ego, do Rosji podczas wojny rosyjsko-gruziń-
skiej?

Nie ma żadnego dokumentu, z którego by wyni-
kało, że Petlura wydawał rozkazy mordowania Żydów.
Mit o pogromach żydowskich dokonanych przez armię
Petlury jest uzasadniany wyłącznie przez świadectwa
moskiewskich agentów lub radzieckich historyków.
Wszak od wieków tłumy zawsze łaknęły chleba i wi-
dowisk. Dlatego niemożliwe było wówczas udowod-
nienie filosemityzmu Petlury.

Petlura objął władzę 13 lutego 1919 roku i od tego
czasu aktywnie bronił Żydów. Pierwszym dowodem na
to jest rozporządzenie z dnia 26 sierpnia 1919 r., w któ-
rym czytamy: „*Czas już zrozumieć, że pokojowa ży-
dowska ludność, ich dzieci i ich kobiety, tak samo, jak i
my, byli ujarzmieni i pozbawieni swojej narodowej woli.
Oni żyją z nami od dawna, dzieląc z nami naszą dolę i
niedolę. Tych, którzy podburzają was do pogromów, sta-
nowczo rozkazuję usuwać z naszego wojska i oddawać
pod sąd jako sprzedawczyków ojczyzny*”. Według danych
amerykańskiego profesora historii, Bruce’a Lincolna,
za czasów rządów Petlury, ilość żydowskich pogromów
zmniejszyła się o 37% (w kwietniu 1919 roku), a w
maju – o 80%. I jeszcze jeden dowód na to, że Petlura
nie był antysemitą – wypowiedź jednego z ideologów
syjonizmu, Zeeva Żabotyńskiego: „*Jestem dumny z tego,
że podpisałem umowę o współpracy z Petlurą. Nawet je-*

żeli nie była ona realizowana. Kiedy umrę, proszę napisać na moim grobie: «To był człowiek, co podpisał porozumienie z Petlurą»».

Szwarcbard uniewinniono. Za zabicie Petlury zapłacił mandat za zanieczyszczanie chodnika: chodnik był ubrudzony krwią Petlury...

Tragiczne skutki śmierci Petlury

Zabójstwo Petlury powiązuje się z powrotem do władzy Józefa Piłsudskiego. Po śmierci Petlury „Kurier Warszawski” napisał, że ukraiński ataman zapłacił życiem za powrót marszałka do władzy. Po ponownym objęciu najwyższego stanowiska w państwie Marszałek Piłsudski zezwolił na utworzenie ukraińskiego sztabu wojskowego ministerstwa na czele z generałem Salskim. Chęć wstąpienia do ukraińskiego wojska pod egidą Piłsudskiego wyraziło ponad 100 ukraińskich oficerów. Przygotowywano plany (poparte przez państwa Zachodu), by podjąć nową polsko-ukraińską ofensywę

na ZSRR. Po zabiciu Petlury historia potoczyła się w innym kierunku. Szwarcbard nie tylko zabił Symona Petlurę. Na jego rękach jest krew wszystkich ofiar ukraińsko-polskiej rzezi podczas II wojny światowej. W 1929 roku oficerowie Petlury, pozbawieni swego przywódcy, zdecydowali się na utworzenie Ukraińskiej Wojskowej Organizacji. Organizacja była później przeformowana w Organizację Ukraińskich Nacjonalistów. A ukraińskich środowiskach wciąż powraca temat zdrady przez Polaków ukraińskich interesów podczas podpisania traktatu w Rydze. Sytuację podsycając zagrywki polityków endecji z Rosją. Kilka lat później umiera ukrajinofil Józef Piłsudski, a środowisko piłsudczyków ulega rozproszeniu. Marnie w 1936 roku piłsudzycy alarmowali prorosyjskich endeków, że na Kresach będzie nowa chmielniczyzna. Wówczas ktoś odpowiedział, że *„nowa chmielniczyzna będzie korzystna dla polskiej racji stanu”*.

Henryk Józewski – Polak w rządzie Petlury

W rocznicę śmierci pierwszego Marszałka Polski w kinie „Kultura” w Warszawie odbył się pokaz filmu dokumentalnego „Zaufany Piłsudskiego” o Henryku Józewskim. Ten polski polityk zapisał się w dziejach XX wieku jako orędownik pojednania polsko-ukraińskiego.

Henryk Józewski urodził się w 1892 roku w Kijowie. Sporą część życia spędził na Ukrainie. Ukończył prawo na Uniwersytecie Kijowskim. Od młodych lat zaangażował się w działalność niepodległościową. Działał w Polskiej Organizacji Wojskowej (tajnej organizacji powstałej z inicjatywy Józefa Piłsudskiego w 1914 roku w celu walki z rosyjskim zaborcą) w Kijowie; był zastępcą komendanta. W czasie wojny polsko-bolszewickiej, po zawarciu sojuszu między władzami Polski i Ukraińskiej Republiki Ludowej, objął stanowisko wiceministra spraw wewnętrznych w rządzie Symona Petlury. Jednocześnie tworzył siatkę wywiadowczą na terenie Związku Sowieckiego.



Henryk Józewski

Po zakończeniu działań wojennych, już w Warszawie, zaopiekował się atamanem Petlurą, którego wydalenia z Polski domagała się Moskwa, i ukrywał go przed agentami CzeKa; przez pewien czas nawet we własnym mieszkaniu. Wycofał się z życia politycznego. Zajął się pracą artystyczną – malarstwem; objął gospodarstwo na Wołyniu. Do czynnej polityki wrócił po przewrocie majowym. W latach 1928–1929 i 1930–1938 pełnił funkcję wojewody wołyńskiego.

Postać Henryka Józewskiego jest niezwykle ważna dla kształtowania stosunków polsko-ukraińskich. Uważał, że współpraca Polaków i Ukraińców jest możliwa. Pragnął, by mniejszość ukraińska została poddana asymilacji państwowej a nie narodowej, gdyż tylko tak można było zyskać jej lojalność wobec państwa polskiego. Politykę, którą prowadził na Wołyniu, nazwano później *„eksperymentem wołyńskim”*.

Sytuacja, jaką zastał w regionie, nie należała do łatwych. Przede wszystkim były to ziemie słabo rozwinięte, zacofane gospodarczo, z wysokim odsetkiem analfabetów i niekorzystną strukturą narodowościową. Mieszkało tam prawie 70 proc. Ukraińców, 17 proc. Polaków, 10 proc. Żydów. Mimo to większość pracowników administracji i właścicieli ziemskich stanowili Polacy, handel zaś i rzemiosło zdominowali Żydzi. Józewski postanowił włączyć większość ukraińską w życie Wołynia poprzez wsparcie ich kultury i edukacji.

Grób Henryka Józewskiego
na warszawskim Cmentarzu Powązkowskim



Zaczął angażować ukraińskich urzędników w działalność samorządów i organizacji spółdzielczych. W szkołach, do których uczęszczały polskie i ukraińskie dzieci, wprowadził ukraiński jako język dodatkowy lub jako drugi język nauczania. Tworzył kółka czytelnicze. Zachęcał, by podczas świąt obok polskich flag wywieszano ukraińskie niebiesko-żółte. Wśród jego przyjaciół byli wybitni ukraińscy działacze i politycy, m.in. Stepan Skrypnyk – adiutant Petlury i pierwszy patriarcha Autokefalicznego Kościoła Prawosławnego.

Program wprowadzony przez Józewskiego powstał z inspiracji Piłsudskiego i miał jego akceptację. Gdy Marszałka zabrakło, sytuacja wojewody znacznie się pogorszyła. Nastąpił atak. Dowódca okręgu lubelskiego zagroził nawet ówczesnemu premierowi Felicjanowi Sławojowi-Składowskiemu, że jeśli wojewoda nie zostanie odwołany, oficerowie garnizonu łuckiego zastrzelą go.

Historycy wskazują na dwie skrajne oceny działań Józewskiego. Jego dorobek na rzecz pojednania polsko-ukraińskiego przeciwstawiają uprzedzeniom człowieka niezorientowanego i mylnie oceniającego sytuację społeczeństwa. Ukraińcy traktowali Józewskiego jako „ukrainożercę”, niektórzy Polacy zaś jako zdrajcę narodowej racji stanu. Odnosili się do niego niechętnie za

„bandurę w Ridnej Chati, żółto-błękitne bindy i ukraińską mowę”. W końcu pozbawiono go urzędu za prowadzoną na Wołyniu lojalną politykę wobec mniejszości ukraińskiej.

Kłeska jego polityki polegała również na tym, że nie zapobiegła wzrostowi nastrojów nacjonalistycznym wśród Ukraińców.

Ówczesni publicyści, zwolennicy Marszałka Piłsudskiego, odwołanie Józewskiego nazwali znacząco „pyrrusowym zwycięstwem”. Odmienna świadomość obu narodów była faktem. Udowodniły ją choćby wojna polsko-ukraińska z lat 1918 – 1919 oraz rzeź Polaków na Wołyniu dokonana przez nacjonalistów ukraińskich w latach 1943 – 1944. Chociaż polityka wojewody została przekreślona, nie zginęła. Odradza się w nowym stuleciu.

Dzisiaj życie i działalność Henryka Józewskiego przedstawia się Ukraińcom i Polakom jako przykład praktycznego działania na rzecz porozumienia. Poeta Józef Łobodowski poświęcił mu wiersz „Wiosna zdradzona”, opublikowany w Paryżu w 1954 roku w tomiku „Złota Hramota”. Pisał w nim, że wojewoda wołyński Henryk Józewski pozostał wierny wiosnie 1920 roku, kiedy to ataman Petlura i Marszałek Piłsudski podali sobie ręce w geście przyjaźni łączącej oba narody.

Polak twórcą nacjonalizmu ukraińskiego

W historii czesko-ukraińskich stosunków w XX wieku zasługuje na uwagę niezmiernie ważna i ciekawa postać Hipolita Olgerda Boczkowskiego. Ten wybitny socjolog, etnolog i politolog był bliskim przyjacielem i uczniem Tomáša Masaryka – pierwszego prezydenta Czechosłowacji. Z pochodzenia Polak, działał na polu

naukowym i publicystycznym na rzecz kultury czeskiej i ukraińskiej.

Nie wiadomo, co wpłynęło na wybór życiowy młodego Hipolita i przekonało go do działania na rzecz innych kultur, a nie ojczystej. W archiwum państwowym (Держархів Кіровоградської області) pod syg-



Hipolit Olgierd Boczkowski

naturą ф. 722, оп. 1, спр. 1, арк. 74. znajduje się metryka Boczkowskiego, świadcząca o tym, że urodził się 1 marca 1885 roku w polskiej rodzinie i został ochrzczony w kościele w Jelizawetgradzie (obecnie Kirowograd). Matka pochodziła z Litwy, z rodu Rajeckich. Pod tą samą datą jest zapisany brat Hipolita – Mieczysław, który umiera w grudniu tegoż roku. Później w rodzinie później rodzi się jeszcze jeden syn – Tadeusz. Ponieważ Boczkowski-senior pracował na kolei, rodzina co pewien czas, w związku z przydziałami na różne stanowiska, przemieszczała się z miejsca na miejsce. Prawdopodobne jest, że Hipolit urodził się w jednej z miejscowości pod Kirowogradem. Później zamieszkali w obecnym Dniepropietrowsku i w końcu osiedlili się w samym Kirowogradzie nieopodal dworca kolejowego. W 1903 roku chłopak ukończył z wyróżnieniem miejscową szkołę i w 1905 roku wyemigrował z rodzinnych stron. Jego brat, Tadeusz, kontynuował studia i niebawem został księdzem rzymskokatolickim.

Zdolny chłopak, władający kilkoma językami, w tym gruzińskim i celtyckim, w 1906 roku na krótko osiedlił się w Krakowie. Planował kontynuację studiów ekonomicznych w tym mieście, jednak trafił na Uniwersytet Karola w Pradze na wydział filozoficzny. Studiował tam do 1909 roku. Później wspominał, że do Europy jechał tak, jakby uciekał z więzienia do swego ojczystego domu.

W Pradze młody Boczkowski zapoznał się z polskim środowiskiem i zaczął aktywną działalność w jego strukturach. Gdy miał 22 lat, pojawiło się opracowanie jego autorstwa „*Ruské politické strany a skupiny*” (Rosyjskie partie polityczne i zrzeszenia). W 1908 roku student zaprzyjaźnił się ze znanym już wtedy naukowcem i politykiem Tomášem Masarykiem. Pod jego wpływem zaczął interesować się ideami narodowymi i nacjonalistycznymi oraz odpowiednimi ruchami poli-

tycznymi. W tym czasie ukazują się artykuły na temat nacjonalizmu. Obiektem zainteresowania Boczkowskiego stają się prądy narodowe w Czechach i Finlandii. W pracy pomagała mu znajomość języków obcych. Pod koniec studiów Hipolit władał dwudziestoma językami, w tym językiem ukraińskim.

Po studiach Hipolit Boczkowski zaangażował się w badania ukraińskiego ruchu narodowego. W tym czasie zaczął działać na rzecz rozwoju ukraińskiego ruchu narodowego Waław Lipiński herbu Brodzic, Polak z Wołynia. W 1909 roku ukazała się w Krakowie jedna z pierwszych jego prac „*Szlachta na Ukrainie. Udział jej w życiu narodu ukraińskiego na tle jego dziejów*”. Nie wiadomo, czy pobudki działań na rzecz rozwoju kultury ukraińskiej i zaangażowania się w ideologię narodową Ukraińców były identyczne u Lipińskiego i Boczkowskiego. Faktem jest, że dzisiaj uważa się ich za twórców nacjonalizmu ukraińskiego i zasad, które posłużyły do powstania ruchu narodowościowego po I wojnie światowej. Jako naukowiec Boczkowski przyczynił się do powstania ukraińskiej dziedziny naukowej znanej jako nacjologia, czyli nauka o nacjonalizmie. W 1910 roku, w ślad za pracami Lipińskiego, spod pióra Boczkowskiego wyszła praca „*Pytanie ukraińskie*”. W następnych latach Boczkowski opublikował artykuły naukowe dotyczące ruchu narodowego w środowisku polskim, białoruskim, fińskim, litewskim i łotewskim. W 1916 roku w Wiedniu wydał pracę pt. „*Ujarzmione narody imperium carskiego, ich odrodzenie narodowe oraz dążenia autonomiczne*”.

Po 1918 roku Hipolit Boczkowski, oprócz nauki, angażował się w politykę ukraińską i przyczynił się do powstania misji dyplomatycznej (odpowiednik MSZ). Od 1923 roku pracował na stanowisku docenta w ukraińskiej akademii w Pradze oraz wyjeżdżał na wykłady do innej ukraińskiej placówki w Podebradach. W 1933 roku stanął na czele Komitetu Ratunku Ukrainy. Była to organizacja, działająca na rzecz ratowania Ukraińców podczas Wielkiego Głodu. Stał się emisariuszem, który przekazywał prawdę o dramacie ludzi w radzieckiej Ukrainie poza jej granicami. Zmarł w 1939 roku w Pradze, już po wybuchu II wojny światowej. Pozostawił po sobie blisko tysiąc artykułów i dziesiątki prac naukowych.

Polski życiorys autora „Trzech grubasów”

Trudno znaleźć kogoś, kto w dzieciństwie nie czytał „Trzech grubasów” („Три толстяка”), ekstrawagancką baśń o rewolucji. Jak podają źródła, jej autorem jest rosyjski pisarz, dramaturg Jurij Olesza. Olesza prawie całe swoje życie spędził w Moskwie, gdzie osiągnął szczyt swojej sławy. Urodził się on jednak daleko od tego miasta. Pochodził bowiem z dawnej poleskiej szlachty herbu Brochwicz. W życiorysie napisanym w 1937 roku i wydanym w 1947 pisarz jedynie wspomina, że jego rodzina pochodziła z biednej polskiej szlachty. W tamtych czasach było wiele powodów, by unikać podawania informacji na temat własnego pochodzenia. Chociażby rozkaz nr 00485, na mocy którego w 1937 roku rozstrzelano ponad 111 tys. osób tylko za ich polskie pochodzenie.

O przynależności Oleszy do polskości świadczą także imiona krewnych: ojciec – Karol syn Antoniego, matka Olimpia córka Władysława, babcia Malwina córka Franciszka, siostra – Wanda.

Na stronie czasopisma „Echa Polesia” możemy znaleźć obszerny artykuł pt. „Ród poleskiej szlachty Oleszów herbu Brochwicz”. Jego autor, Aleksy Dubrowski, nie ma wątpliwości, że Jurij pochodził właśnie z tego dawnego rodu. Zrobiwszy kwerendę archiwalną, tak napisał o początkach rodu:

„Według odnalezionych archiwalnych zapisków, protoplastą tego rodu był feudalny ziemianin z Wołynia, zwanym z ruska bojarzynem, Aleksander. Syn tego bojarzyna – Fiedko, który już oficjalnie nosił nazwisko Olesza, zwany także po ojcu Oleszkowiczem, został w 1482 roku sekretarzem króla Polski Kazimierza Jagiellończyka, a wnuk protoplasty tego rodu – Piotr piastował urząd podstolego mozyrskiego... Potomkowie Oleszy – Oleszka byli właścicielami dóbr ziemskich na Polesiu w Tieriebieżowie, Biereżnym, Nowo-Biereżnym, Borze Dubienieckim i posiadali nieruchomości w Wilnie, Rydze i Pińsku do czasu zajęcia tych terenów przez wojska sowieckie w 1939 roku. Wszystkie kolejne pokolenia Oleszów cechowało rozsądne gospodarowanie swoimi dobrami, co w znacznym stopniu przyczyniło się do ekonomicznego znaczenia Polesia. Ród Oleszów zasłużył tym sobie z całą pewnością na miano prawdziwych patriotów swojej ojczystej poleskiej ziemi”.

Jurij Olesza urodził się w Jelizawetgradzie (obecnie Kirowograd) 3 marca 1899 roku. Początkowo rodzina żyła z pieniędzy uzyskanych ze sprzedaży dóbr ziem-

skich należących do rodu. Jak później wspominał pisarz, większość zasobów pieniężnych jego ojciec przegrał w karty.

W wieku trzech lat, w 1902 roku, cała rodzina przyniosła się do Odessy. Mieszkali tam niedaleko kościoła. W opublikowanych wspomnieniach pt. „*Ни дня без строчки*” napisał, że w dzieciństwie rozmawiał wyłącznie po polsku:

„Kiedy mówię o swojej nieumiejętności pisania, to mam na myśli szyk zdań. Jest mi bardzo ciężko napisać jednolite zdanie, że tak powiem, w mgnieniu oka... Uspokajam się tym, że jestem Polakiem i język rosyjski jest dla mnie językiem obcym, nie rodzonym. Być może, że przychodzi tkwi właśnie w tym. Pamiętam, jak ojciec pewnego razu sprawdzał moje sukcesy w czytaniu z rosyjskiego”.

Wspominał też o pierwszej książce, którą pamiętał z dzieciństwa a którą były „*Baśnie ludowe*”, czytane przez babcię.

W latach 1916–1918 przyszły pisarz studiował na miejscowym Uniwersytecie Noworosyjskim. Zaprzyjaźnił się tam z poetami i pisarzami, wśród których był Ilia Ilf, późniejszy autor powieści o Ostapie Benderze.

W 1921 roku jego rodzice wyemigrowali do Polski. Zakochany w swojej przyszłej żonie, Oldze Suok, Jurij odmówił opuszczenia Odessy. Jego rodzice zaś po pobycie na radzieckiej Ukrainie – zatrzymali się w Grodnie. Ojciec znalazł pracę w hotelu. Rodzice już nigdy nie zobaczyli syna.

Od 1936 do 1956 roku twórczość pisarza nie cieszyła się popularnością. Miało to wpływ i na jego dorobek. Utalentowany, ale zniechęcony brakiem uznania pisarz zamiast pracować – często przysiadł w restauracji Domu Literata z kieliszkiem wódki w rękę.

Sławę Jurij Olesza zawdzięcza przede wszystkim powieściom „Trzech grubasów” (1924 r.) i „Zawiść” (1927 r.). Po śmierci Stalina przyniosły mu one światową sławę.

Najlepsze utwory Jurja Oleszy zostały wydane także w Polsce:

„Zawiść” (powieść z 1927 r., polskie wyd. 1959 r.)

„Trzech grubasów” (powieść z 1928 r., polskie wyd. 1977 r.)

„Co dzień słów kilka” (zbiór esejów i wspomnień z 1961 r., polskie wyd. 1967 r.)

„Pestka wiśni: Wybór prozy” (polski wybór nowel z 1984 r.)

WŁODZIMIERZ ANTONOWICZ – OJCIEC UKRAIŃSKIEJ HISTORIOGRAFII

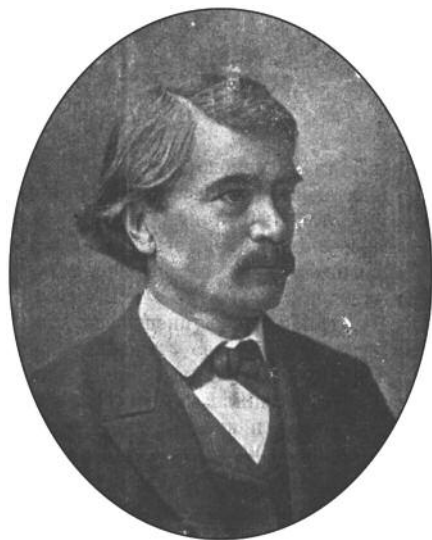
Włodzimierz, syn Bonifacego, Antonowicz, profesor Cesarskiego Uniwersytetu św. Włodzimierza w Kijowie, był w młodości gorącym polskim patriotą, agitorem narodowym w dobie Powstania Styczniowego. Następnie zmienił jednak orientację narodową, jak też inne poglądy, i stał się jedną z czołowych postaci ruchu ukraińskiego.

Pochodził ze znanej rodziny szlacheckiej pieczętującej się herbem Janina lub Hełm. Wbrew temu, co piszą niektórzy genealodzy polscy, nie powinno się utożsamiać rodu Antonowiczów z rodem Antoniewiczów herbu Andrault de Buy, choć zarówno pierwsi, jak i drudzy w niektórych „odgałęzieniach” pieczętowali się tym właśnie godłem. Pierwsi z nich od bardzo dawna byli wzmiankowani w zachowanych przekazach archiwalnych. Tak np. w 1595 roku odnotowany został Maciej Antonowicz, ziemianin królewski powiatu trockiego na Litwie. Kazimierz Antonowicz w roku 1670 podpisał instrukcję sejmiku brzeskiego. Jan Antonowicz był w 1680 generałem królewskim powiatu słonimskiego; na zlecenie króla Michała Korybuta Wiśniowieckiego badał on głośną w owym czasie sprawę dużej szajki żydowskich bandytów, złodziei i aferzystów, którzy okradali kościoły i cerkwie, a podrobiwszy pieczęć skarbową W. Ks. Litewskiego – ściągali z kupców nielegalne cła i podatki, grabili i mordowali podróżnych oraz dworki szlacheckie. Członkowie owej szajki wpadli w szpony organów ścigania dopiero na skutek krwawych porachunków wewnątrzmafijnych,

połączonych z bestialskimi mordami Żydów na Żydach. Śledztwo wykazało, że same tylko straty poniesione przez ograbione kościoły sięgały setek tysięcy ówczesnych złotych, jak to wynikało ze skargi Krzysztofa Przecławskiego, dziekana prałata wileńskiego, do sądu brzeskiego. Żaden z przestępców kary nie poniósł, ani straty nie zostały powetowane; prawdopodobnie przekupstwo i tym razem zwyciężyło przyzwoitość.

Ksiądz Sylwester Antonowicz około 1701–1704 r. był prowincjałem, a potem opatem kobryńskim; Karol Antonowicz w 1704 r. – „*lantwojtem miasta Jego Królewskiej Mości Prużany*”. W połowie XVIII wieku zasłużył się dla kultury narodowej Michał Antonowicz, tłumacz i wydawca takich rzymskich autorów, jak Aulus Persius Flaccus czy Marcus Valerius Marcialis. Ksiądz Julian Antonowicz (1750–1824) w Wilnie był autorem dziełka „*Starzec pobożny*” oraz „*Gramatyki dla Polaków chcących się uczyć angielskiego języka*” (Wilno 1788).

Mimo iż była to rodzina polsko-szlachecka, szereg jej reprezentantów w ciągu XIX wieku porzuciło narodowość pierwotną i opowiedziało się za opcją rosyjską, ukraińską, białoruską, żmudzka. Po roku 1864 wielu przedstawicieli szlachty polskiej na Ukrainie wynarodowiło się przede wszystkim z powodu zagrożenia bestialskimi prześladowaniami ze strony Moskali.

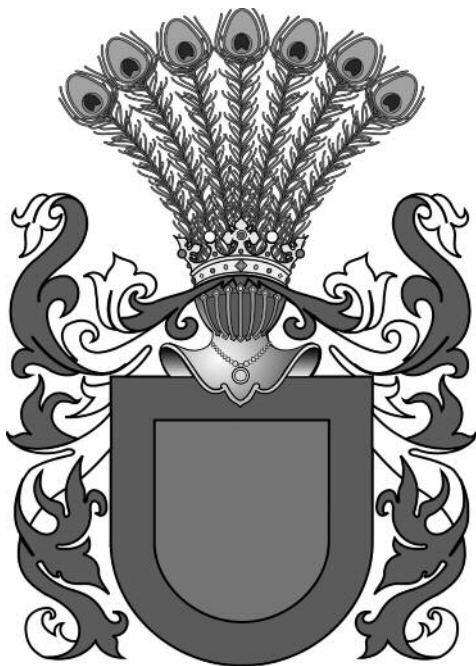


Włodzimierz Antonowicz

Włodzimierz Antonowicz urodził się 18 stycznia 1834 r. (według niektórych źródeł 1830 r.) w Machnówce Guberni Kijowskiej (według innych źródeł w Czarnobylu). Zmarł 31 marca 1908 roku w Kijowie. Uczył się w II Gimnazjum Odesskim; następnie ukończył kolejno wydział medyczny (1854 r.) oraz historyczno-filologiczny (1860 r.) Cesarskiego Uniwersytetu św. Włodzimierza w Kijowie. Prawie całe życie pracował jako badacz, redaktor i wydawca w Kijowskim Archiwum Centralnym oraz w Kijowskiej Komisji Archeograficznej. Od roku 1870, kiedy to obronił rozprawę magisterską „*Poslednije wremiena kazaczestwa na prawej storonie Dniepra*”, miał docenturę na Uniwersytecie Kijowskim, a od 1878 r., po obronie pracy doktorskiej „*Oczerk istorii Wielikogo Kniażestwa Litowskogo do smierti Olgierda*” – profesurę zwyczajną, którą piastował dożgonnie. Wybitne osiągnięcie naukowe W. An-

tonowicza stanowiło zredagowanie, przygotowanie do druku i opublikowanie w latach 1859–1914 dziewięciu obszernych tomów akt archiwalnych z dziejów Ukrainy, Litwy, Polski i Rosji pt. „*Archiw Jugo-Zapadnoj Rossii*”. W tymże okresie uczony był autorem licznych (ponad 300) tekstów własnych, opartych na solidnej podstawie źródłowej, zachowujących wartość naukową do chwili obecnej. Należą do nich m.in.: „*Is-sledowanie o kazaczestwie*” (1863 r.), „*O proischozhdienii szlacheckich rodow w Jugo-Zapadnoj Rossii*” (1867 r.), „*O gajdamaczestwie*” (1876 r.), „*Kijewskaia starina*” (1882 r.), „*Monografii po istorii Zapadnoj i Jugo-Zapadnoj Rossii*” (1885 r.), „*Raskopki w Ziemle Drewlan*” (1893 r.), „*Opisanie moniet i miedalej*” (1896 r.).

Imponuje uniwersalizm zainteresowań badawczych tego naukowca, który był w jednej osobie archeologiem, historykiem, archeografem, politologiem, działaczem społecznym. Przez lata kierował pracami Kijowskiej Komisji Archeograficznej i Towarzystwa Historycznego imienia Nestora. Był założycielem nieformalnej „*kijowskiej szkoły w historiografii*”, do której należeli m.in. P. Hołubowski, M. Hruszewski, M. Downar-Zapolski, I. Linnyczenko. Jak twierdzi O. Ohłoblyn w tomie I „*Encyclopedia of Ukraine*” (Toronto – Buffalo – London 1984), „*w ciągu prawie połowy stulecia Antonowicz odgrywał wiodącą rolę w obywatelskim i politycznym życiu Ukrainy*”. Podobnie jak Taras Szewczenko, należał do zwolenników pojednania narodów słowiańskich, choć nie był bezkrytyczny w stosunku do zaborczej polityki polskiej.



Herb rodu Antonowiczów „Janina”



Herb rodu Antonowiczów „Helm”

Antonowicz należał do dużego grona reprezentantów szlachty polskiej, która się świadomie zukrainizowała. (Zaznaczmy na marginesie, że jednym z arystokratów polskich, który przyjął ukraińską opcję narodową, był znany duchowny, metropolita Andrzej Szeptycki, szerzyciel propagandy antypolskiej.) 1 maja 1907 roku lwowskie pismo satyryczne „*Śmigus*” zamieściło zdjęcie z ironicznym podpisem: „*Jego Eksce-lencja hrabia Andrzej Szeptycki, potomek mieczników, cześników, rotmistrzów husarskich, walczących przeciw wrogom Ojczyzny, przeciw Turkom, Moskalom, Kozakom i Tatarom, spokrewniony z Dzieduszyckimi, Potockimi, Stadnickimi, Łosiami etc., etc., syn rodzony hrabianki Fredrówny, wnuk Aleksandra hr. Fredry, komediopisarza [...], najserdeczniejszy przyjaciel Polaków*”. Swoją postawę do napięć polsko-ukraińskich metropolita Szeptycki w sposób modelowy wyraził w jednym zdaniu skierowanym do swej matki, Polki: „*Jesteśmy rodziną polsko-ruską i powinniśmy stanowić wzorzec tego, jak można żyć w harmonii i miłości*” (Por. Ryszard Torzecki, „*Sheptytskyi and Polish Society*”, w: Paul Robert Magosci (editor), „*Morality and Reality. The Life and Times of Andrei Sheptytskyi*”, Edmonton 1989, s. 81). Tę „*harmonię i miłość*” wyraził w szczuciu Ukraińców na Polskę i w „*uświęcaniu*” rzezi na Polakach.

Mimo napięć Polaków i Ukraińców jednak zawsze łączyły zarówno więzy genetyczne, jak i duchowe. Taras Szewczenko, uznawany powszechnie za inicjatora narodowego przebudzenia Ukrainy, napisał „*Księgi życia*

narodu ukraińskiego” zainspirowane przez „Księgi narodu polskiego” Adama Mickiewicza, a w jednym z wierszy podkpiwał ze swych rodaków:

„Czwanysteś, szczo my Polszczu
Kotys zawatyły!
Prawda wasza: Polszcza wpała,
Ta – j was rozdawyla”...

Warto w tym miejscu uczynić „wycieczkę” o kilka wieków wstecz, do stulecia XVII, kiedy to Ukraińcy rzeczywiście „zawalili” Polskę. W interesujący sposób to „zawalenie” odzwierciedliło się w ówczesnych dokumentach dyplomatycznych. Oto 10 marca 1648 roku bojarzy moskiewscy książę: A. Trubeckoj, G. Puszkina i diak N. Czistyj poufnie donoszą senatorowi Rzeczypospolitej Adamowi Kisielowi, wojewodzie bractwowskiemu, że Kozacy Zaporoscy „zaprosili” Tatarów Krymskich do wspólnego napadu na Litwę i Polskę i że wyznawcy islamu na to przystali. Istotnie, minęło niewiele czasu, a Kozacy i Tatarzy zadali Polakom kilka dotkliwych porażek. Wielki monarcha Władysław IV akurat w tym czasie zmarł. Bohdan Chmielnicki bez przerwy wysyłał gońców z listami (zachowało się ich kilkadziesiąt!) do cara i moskiewskich wojewodów, zachęcając ich do uderzenia na Polskę w tak dogodnej chwili. Oferty te, co prawda, nie przeszkadzały Kozakom w ograbianiu, a nieraz zabijaniu, moskiewskich kupców, ziemian, posłów i chłopów w strefie przygranicznej. Zabawne, że w każdym liście Chmielnicki podkreślał, że walczy z Polakami o wiarę chrześcijańską – mając za sojusznika prawowiernych wyznawców islamu – Krymskich Tatarów.

Zwiadowca Grigorij Klimow, wysłany na tereny objęte walkami, donosił 16 czerwca 1648 roku do Moskwy o bestialskim ludobójstwie popełnianym przez Siczowców na Polakach i Żydach. Przy tym tych pierwszych maltretowano jeszcze okrutniej niż Starozakonnych. „I Żydy mnogie chrzczą się [na prawosławie] i przystają do ichże [Ukraińców] wojska, a Lach jeśli i zechce chrzcić się, ich nie przyjmują, a wszystkich zabijają... A to też mówią, że w Polsce i Litwie wszystkich Lachów pozabijają zamierzają”... Gdy jeden z Polaków uciekł z niewoli i umknął za granicę moskiewską, w pogon za nim wysłano cały pułk Kozaków, „z tysiąc człowieka”. Ziemianin rosyjski Piotr Jatin, który przegarnął był uciekiniera, został pogróżkami zmuszony do wydania go. „I Kozacy, wziąwszy Lacha, natychmiast

rozstrzelali, a Piotrowi Jatinowi i majątkowi jego nic nie uczynili i odeszli natychmiast”.

Gdy Kozacy wzięli szturmem miasto Homel – donosił carowi wojewoda wiaziemski – „w tymże mieście pobili Żydów około ośmiuset, a z żonami i dziećmi więcej dwóch tysięcy, a Lachów pobili do sześciuset, a Białorusinów nikogo nie zabijają i nie grabią”... (Cyt. wydanie, t. 3, s. 227). W styczniu 1648 r. goniec carski G. Kunakow komunikował do Moskwy Aleksemu Michajłowiczowi m.in. o tym, że Kozacy Pińsk i Brześć Litewski „razorili do osnowanija, Polakow i Żydow i żon ich i dietiej pobili bez ostatku... I stieny kamiennye razłomili i razmietali, a dierewiannyje pożgli i uczynili z polem rowno... A Polskich i Litowskich ludiej na bojach w zagoniach pobili mnogije tysiaczy”... (Cyt. wydanie, t. 3, s. 247).

Mimo iż Kozacy wspólnie z Moskwą zwalczali Polaków i Litwę, to jednak i między sobą prowadzili wojnę „podjazdową”. W zapiskach z tego okresu często wspomina się o tajemniczym zniknięciu 3, 5, 15, 20 czy 30 Kozaków, których „ludzie moskiewscy wzięli i nie wiadomo gdzie podzieli”. Mordowano ich po kryjomu, zabierając przedtem konie i broń (Cyt. wydanie, t. 3, s. 533). W podobny sposób „wyparowywały” całe oddziały wojskowe formowane z tutejszych Białorusinów na rozkaz cara. Brano ich i jakoby prowadzono do jakiegoś miasta, a po drodze wszyscy poborowi gdzieś się ulatniali razem ze sprzętem wojskowym i skromnymi żołnierskimi zapasami. Z owych czasów zachowało się wiele skarg dotyczących ludziach, którzy „niewiadomo, żywi są czy straceni”... Czyli że Katyń polski z 1940 r. roku miał wielu „poprzedników” już w XVII wieku.

A działo się wszystko według modelu opisanego w ówczesnym dokumencie. „W mieście Radomlu Moskwa przejdwszy z sianem wzięli Kozaków szesnaście osób, z końmi i z całą bronią, i dotychczas tych Kozaków nie ma, a innych w Smoleńsku powywieszali, a innych potopili bez wszelkiej przyczyny i winy, jakoż niczego winni nie byli” (Cyt. wydanie, t. 3, s. 534). Grabiono wszystko i wszystkich, a gdy ktokolwiek powążył się rzec słowo sprzeciwu, płacił cenę najwyższą, jak np. setnik rohoziński Kondrat Prokopowicz, którego zamknięto w jego łaźni i spalono za to, że nie chciał oddać na pewną śmierć dziesięciu swych podkomendnych i tak przecież będących na carskiej służbie. W jednej ze wsi „Kozakowi rękę odsiekli i dwory popalili”, w drugiej „czterech muzyków zamęczyli, a trzech zarąbali”, w trzeciej „dwóch spalili i żywioł zabrali”. W siole Kulszacze „dwóch muzyków zamęczyli a czterech żonek spalili”.

I tak bez końca... Generałowie Iwan Repnin i Grigorij Daszkow nawet nie próbowali swych podkomendnych hamować. Oficerowie rosyjscy nierzadko odbierali swym ukraińskim i białoruskim kolegom nawet żony i dzieci (Cyt. wydanie, t. 3, s. 537, 541 i in.). Osobiste interwencje Bohdana Chmielnickiego nic nie skutkowały. Ukraińcy już wówczas zmuszeni byli w całej rozciągłości zakosztować owoców carskiej „protekcji”. Ludność Białej Rusi, sprzymerzonej wówczas z Kozakami, jak i ludność Ukrainy straciła 2/3 swych mieszkańców na skutek nieustających rzezi moskiewskich. Jak głosi jeden z tajnych dokumentów kancelarii carskiej, Bohdan Chmielnicki „dobrze oszalał i w chorobie na każdego się gniewa”, tak, iż nikt nie miał przystępu do niego. A tu wojewodowie Buturlin i Michajłow zażądali od niego nie tylko „razorenija polskich gorodow”, ale i dostarczenia im korony polskiej. Zresztą moskiewscy konfidenci szykowali już po cichu zamianę temu niepewnemu sojusznikowi (Cyt. wydanie, t. 3, s. 554–555).

Zdesperowani Kozacy, bezsilni wobec swych moskiewskich „przyjaciół”, „odgrywali się” i folgowali sobie na cywilnej ludności Litwy i Polski, podjudzając zresztą prawosławnych chłopów przeciwko własnemu państwu, które – jak się wydawało – legło w gruzach. Dyplomata rosyjski w 1649 r. donosił carowi: „*A Polska nynie za złym pańskim niesogłasjem utrapiona i wojska Polskije i Litowskije pobity od Kozakow i od swoich chłopiej mnogije, a ostalnjye obiednieli i ustraszeny, a żołniery tylko swojo państwo plondrujut, a od Kozakow utiekajut*”... (Cyt. wydanie, t. 3, s. 405).

Wojewoda ziem pogranicznych rosyjskich pisał 7 lipca 1649 r. do Moskwy: „*A Białoruscy die, Gosudar, wsiakije czornyje ludi wsiech gorodow i ujezdow, kotoryje gorody za kozakami stojat protiwn Polakow z kozakami zaodno; a kotoryje die, Gosudar, Białoruscy w Litowskich gorodach powietnyje ludi, i tie die niewoleju słuszajut Litwu, a z kozakami die sylajucca, cztoib ich kozaki ot Litwy swobodili*”. (Cyt. wydanie, t. 3, s. 331). 6 maja 1655 r. car Aleksy Michajłowicz listem specjalnym wyrażał wdzięczność mieszkańcom i strzelcom miasta Mohylewa za to, iż „*mężnie i mocno w osadzie siedzieli i na przystępach i wylazkach Litewskich ludzi pobiwali*”, tak, że „*iz pod Mohylewa hetmany Radziwiłł i Gosiewskoj i Litowskije ludzi wsiakije pobieżali*”. (Cyt. wydanie, t. 3, s. 509).

Wydawało się, że wszystko się sypie i Polska z Litwą nie ostoją się w walce z tyłoma wrogami jednocześnie. Wyniszczające wojny z ukraińskimi Kozakami

Włodzimierz ANTONOWICZ – ur. 18 stycznia/30 stycznia 1834 r. w Machnówce w powiecie berdyczowskim guberni kijowskiej, w polskiej rodzinie szlacheckiej. Matka była nauczycielką. Ojciec nieznan. Mąż matki, Bonifacy Antonowicz, po którym Włodzimierz odziedziczył nazwisko, był absolwentem Liceum Krzemienieckiego, na życie zarabiał jako guwerner.

Włodzimierz Antonowicz urodził się jako Polak-katolik, na prawosławie przeszedł w latach młodzieńczych. W późniejszych latach życia był jednym z czołowych działaczy ukraińskiego ruchu narodowego, choć prawie nie pisał w języku ukraińskim, a w mowie i we własnej twórczości naukowej posługiwał się językiem rosyjskim.

W 1855 r. Włodzimierz ukończył wydział medyczny, a w 1860 r. historyczno-filologiczny Uniwersytetu Kijowskiego.

W 1861 przyłączył się do tzw. „chłopomanów”, dążących do zbliżenia się z ludem ukraińskim. Później żarliwy działacz ukraińskiego ruchu narodowego, jeden z organizatorów kijowskiej Hromady.

W okresie przed Powstaniem Styczniowym działacz polskiego Związku Trojnickiego na Uniwersytecie Kijowskim. Był odbierany przez studentów polskich jako jeden z głównych liderów tego ruchu, mimo tego odmówił udziału w Powstaniu Styczniowym. Oficjalnym zerwaniem ze szlachtą i polskością był jego artykuł „*Moja spowiedź*”, opublikowany w 1862 r. w rosyjsko-języcznym czasopiśmie ukraińskim „Osnowa”.

Był autorem ponad 300 prac i publikacji z dziedziny historii, archeologii i etnografii Ukrainy, m.in. z historii kozaczyzny. Stworzył pojęcie „*wielmożni koloniści*” na określenie polskiej szlachty na Ukrainie. Pojęcie to przejęli inni działacze ukraińscy, m.in. Wacław Lipiński.

Dzięki swoim znajomościom przyczynił się do objęcia przez Mychajła Hruszewskiego katedry historii Ukrainy na Uniwersytecie Lwowskim w latach 90. XIX wieku. W latach 1863–1880 był głównym redaktorem Tymczasowej Komisji dla Przeglądu Dawnych Akt w Kijowie, od 1881 przewodniczącym Towarzystwa Historycznego Nestora-Litopisca. Profesor historii Rosji Uniwersytetu Kijowskiego od 1878 r., członek-korespondent Rosyjskiej Akademii Nauk od 1901 r.

Stworzył tzw. kijowską szkołę historyków (Dmytro Bahalij, Mychajło Hruszewski, Mitrofan Downar-Zapolskyj, Iwan Łynnyczenko).

Zmarł 8 marca/21 marca 1908 r. Pochowany na Cmentarzu Bajkowa w Kijowie.

(1648–1654), Moskwą (1654–1667), Szwedami (1655–1660), Turkami (1671–1699) doprowadziły Rzeczpospolitą na skraj przepaści, zrujnowały gospodarkę, wyludniły, radykalnie zachwiały funduszem genetycznym. Od początku XVIII wieku Polacy stali się zupełnie innym narodem niż byli na początku XVII wieku. Innym pod względem genetycznym (w wojnach wyginęli najdzielniejsi i najzdrowsi młodzi mężczyźni nie pozostawiając potomstwa), oraz, co za tym idzie, innym pod względem intelektualnym, moralnym, behawioralnym. Miejsce dawnych cnót rycerskich i katolickiej powściągliwości zajęły prywata, merkantylizm, przysłowiowa organiczna głupota, lekkomyślność i nieuczciwość. W populacji drastycznie zwiększył się odsetek bezwartościowych matolew, i to do takiego stopnia, że naród nie był już zdolny do utrzymania niepodległości swego państwa. Dokładnie to samo dotknęło Ukrainę, która na domiar złego była systematycznie pustoszona i okradana przez przebywające tutaj stale wojsko i administrację moskiewską, a tysiące młodych ludzi gnano na Sybir.

W ten sposób Kozaczyzna istotnie przyczyniła się do „zwalenia” Polski i... samej siebie.

Powracając do biografii znakomitego historyka przypomnijmy, że w numerze piątym (1909 r.) czasopisma antypolskiego „Litwa” zamieszczono artykuł Liudasa Giry, pisarza litewskiego, o W. Antonowiczu, w którym czytamy: „W roku zeszłym w dniu 8 marca zmarł znany historyk Ukrainy, który też i o Litwie pisał ładnie – Włodzimierz Antonowicz. Urodzony w rodzinie szlacheckiej polskiej, w zaraniu życia swego zrozumiał, jakie ma obowiązki względem kraju i ludzi, między którymi się urodził i wychował i z którymi żyć zamierzał, tj. względem Ukrainy i Ukraińców. I dla nich pracował. Za tę jego pracę w pewnym odtłumie społeczeństwa polskiego okrzyknięto go jako renegata-zdrajcę. Ale naród ukraiński wspomina jego imię z najwyższą czcią; czci go i czcić będzie jako jednego z najwybitniejszych swoich działaczy, jako bojownika o przyszłość pokrzywdzonego narodu. Dlatego Antonowicz pracował nie dla Polaków, z których pochodził, ale dla Ukraińców, wyjaśnił w swojej «Spowiedzi»: «Zobaczyłem – powiada on – że szlachta polska, zamieszkująca prawobrzeżną Ukrainę, ma wobec swego sumienia dwa wyjścia: albo pokochać naród, wśród którego ona żyje, przejąć się jego dążeniami, jak własnymi, wrócić do narodu, porzuconego niegdyś przez jej przodków i usilną pracą a miłością w miarę sił swoich

wynagrodzić zło, wyrządzone temu narodowi, które zrobili ich ojcowie, [...] albo, jeżeli nie starczy im na to siły moralnej, wynieść się do ziemi polskiej, zaludnionej ludem polskim, żeby tu, na Ukrainie, nie zwiększać sobą liczby darmozjadów i żeby przed sobą samym oczyścić się ze smutnego zarzutu, że jestem również kolonistą-planatorem, że pośrednio lub bezpośrednio żyję z cudzej pracy, że zastępuję drogę narodowi, pod którego strzechę zalażł nieproszony»...

Skoro ujrzał nieboszczyk te dwa wyjścia, dwie drogi przed sobą, wybrał drogę pierwszą, chociaż daleko cięższą i bardzo zaniedbaną i kamieniami zawałoną. Łącząc los swój z losem budzącego się narodu ukraińskiego, szedł on całe życie tą drogą, nigdzie w stronę nie zbaczając. Przez to zasłużył w narodzie ukraińskim cześć i miłość, i imię głośne. Mało tego, on pozostawił po sobie wzór godny naśladowania całej szlachcie ukraińskiej. I nie tylko ukraińskiej. Wzór godny naśladowania Antonowicz zostawił szlachcie litewskiej i białoruskiej, co siebie polską nazywa. Niech szlachta litewska i białoruska zajrzy dobrze w zwierciadło sumienia swego, a zobaczy również owe dwa wyjścia, które ś. p. Antonowicz był zobaczył. Jedno lub drugie wyjście, trzeciego nie ma i być nie może. Albo poczuć się naszymi braćmi, pokochać ojczyznę naszą jak swoją, przestać raz na zawsze marzyć o brzegach Wisły, jak owe dzieci Izraela o Palestynie, i zacząćcie za jedno z dziećmi tej ziemi pracować dla niej, [...] albo idźcie pracować tam, gdzie są wasze ideały, gdzie tej pracy bezmiar... Inaczej będziecie tylko darmozjadami. I najstraszniejszą będzie dla was karą to, że gdy wasze własne sumienie was osądzi; najstraszniejszymi będą te chwile, gdy zrozumiecie, że jesteście darmozjadami, a to przecież poczuć będziecie musieli, chybaście sumienie całkiem zatracili.

Antonowicz nie był ani renegatem, ani wyrodkiem. Nie wście się go tak nazywać, wy, którzy narodowi polskiemu przodować chcecie. Nie wście się, gdyż jeżeli go tak i nazwiecie, – światło imię jego splamione przez to nie zostanie – wyście tylko sami siebie splamicie. Dwa wyjścia masz przed sobą, szlachto litewska i białoruska, co się polską zowie. Wybieraj!...

Jeżeli wybierzeć, panowie, sobie to wyjście, które wybrał sobie ś. p. Antonowicz, pozyskacie sobie imię prawdziwych obywateli kraju, a nie darmozjadów. Jeżeli zaś wybierzeć sobie inne wyjście, to chociaż zaciągniętego przez waszych ojców względem narodu naszego długu i nie zwrócicie, lecz przynajmniej więcej doń nie dorzucicie, przynajmniej przeskądzać nie będziecie innym pożytecznie pracować!”

Ciekawe, że tym razem czasopismo „Litwa” – z reguły bardzo jednoznacznie i apodyktycznie antypolskie w swej postawie, niejako wbrew sobie zdobyło się za podpisem „M. D. S.” na wcale rozsądny „przypis redakcji”, który brzmiał jak następuje: *„Pomiędzy wyżej wskazanymi dwoma wyjściami – sądzimy, – że jest jeszcze wyjście trzecie, nie przez wszystkich dostrzegane, a wyjściem tym jest droga tolerancji. Nie możemy od obywateli jakiegoś kraju wymagać, by dla większości wyrzekli się języka, który za swój uznali, a przyswoili sobie język większości owej. Wystarczy, gdy będą oni pracowali dla kraju, w którym żyją, jeżeli go pokochają. Mieszkańcy Litwy mówiący po polsku, powinni mieć równe prawa z mówiącymi po litewsku, gdyż jako obywatele, pomimo różnicy języka, są wszyscy Litwinami. Wszelkie dążenie większości do asymilacji mniejszości może ją tylko odstręczyć od wspólnego, harmonijnego pożycia. Sprzeciwia się to nawet wolności i jest przeszkodą do jedności. A zatem droga tolerancji jest trzecim najpraktyczniejszym wyjściem, mogącym wszystkich zadowolić”*... Zresztą tuż pod przypisem redakcji „przyjaciel Polaków” Liudas Gira umieścił replikę, w której twierdził, że *„owo trzecie wyjście nie jest właściwie wyjściem żadnym”*. Nie uznając zasady wzajemnego poszanowania narodowości pisał: *„«Tolerować» możemy tylko my, Litwini, naszą szlachtę, co zowie się polską”*. Zaledwie przez chwilę „tolerować”, po to, by wkrótce przejęła język litewski i nie spoglądała „marzycielskim okiem znad brzegów Niemna i Dźwiny hen, ku Wiśle”...

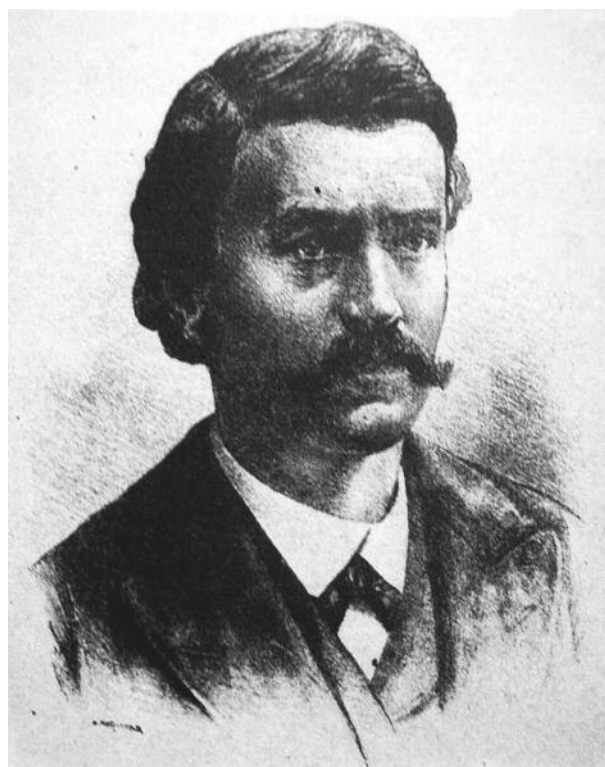
W bardzo podobny sposób ustosunkowała się do polskości na swym terenie nacjonalistyczna formacja ukraińska, która słyszeć nie chciała o obecności Polaków „u siebie pod boki”, choć poprzedni rozwój historii sprawił przecież, iż zaistniały tam obszary, na których obok siebie mieszkali i pracowali liczni reprezentanci obojga narodów. Biskup łucko-żytomierski Borowski w połowie XIX wieku zanotował: *„Upewniłem się, że we wszystkich parafiach wołyńskich, graniczących z Galicją i Królestwem Kongresowym, wszyscy chłopcy są katolikami i polskiej narodowości, sami zowią się Mazurami. O ile mogłem słyszeć w kościele, mówią po polsku bardzo dobrze, bardzo dobrze pojmują też naukę Kościoła i modlitwy... Nie uczą się i nie używają oni mowy matoruskiej, chyba że w kontaktach między sobą, lecz nie robią z tego miernika swej narodowości”*... Jak więc stało się tak, że kilkanaście lat później ci potomkowie osiedleńców z Mazowsza i Mazur uważali się już za rodowitych Ukraińców, a Polaków nienawidzili gorąco i z całego serca?

Student-chłopoman
Włodzimierz Antonowicz
w wiejskiej odzieży, 1860 r.



Aby odpowiedzieć na to pytanie, należy wybrać się „na wycieczkę” do niezbyt odległej przeszłości, konstatując, iż dzieje tej części Rzeczypospolitej, którą od XVII wieku zaczęto nazywać Ukrainą, były pełne dramatycznych powikłań i choćby dlatego stanowią do dziś bardzo interesujący przedmiot badań, co zresztą plastycznie ukazał w swych tekstach W. Antonowicz, wszakże i nie tylko on. Tadeusz Turkowski pisał w „Tygodniku Polskim” 19 marca 1914 r. o Ukrainie: *„Niezwymyśle przebyła losy wschodnia gałąź Słowiańszczyzny, szczep Polan naddnieprzańskich. Podbity przez Waregów, cywilizowany przez Bizancjum, rozproszył się pod parciem koczowników na północ i na zachód, rozdzielił się na Ruś Zaleską (północną) i Podkarpaczką. Zachodnie skrzydło tego rozproszenia wcisnęło się w dorzecze Wisły, ustaliło się na polskim pograniczu i zaczęło ruchem powrotnym zalewać czarnomorskie stępy pod osłoną polskiej państwowości. Ogromną, szybko rosnącą falą rozlewa się lud matoruski po obszarach Podnieprza, które stało się Ukrainą – skrajem Polski. Granica państwa nie może objąć rozlewiska ludu; żywioł rozpryskuje się poza obręb uprawy i twardej organizacji społecznej, na Dzikie Pola, tworzy Kozaczyznę. I znowu powrotna fala, najazd kozacko-tatarski, wojna chłopska. Ruina. W odmet potopu wdziera się Księstwo Moskiewskie i dwukrotnie przepędza lud ukraiński na swoją Ukrainę. Rozszerzyły się granice ludu ukraińskiego, ale jednocześnie mierzchnia jego sława i gasta złuda samodzielności, zdobytej w wojnach kozackich...”*

Wygasto doszczętnie znaczenie polityczne Ukrainy, resztki Kozaczyzny przeniosły się na Kubań. Nie zostało z przeszłości nic – ani wspomnień państwowych, ani myśl wyższa, nie zostało nawet narodowego imienia. Pod pokrywą polską i rosyjską został lud bezimienny. Szeroko rozpostarli się jego granice. Wiekowe burze nie uszczupliły, lecz powiększyły niestychanie jego dziedzinę. Zachował na zachodzie najdalej swoje zasięgi w ziemi



Włodzimierz Antonowicz w młodości

polskie dzięki opiece Kościoła greckiego. «Zahony» wieków XVII i XVIII rozsiały go daleko na wschód od macierzystego Dniepru. W XIX wieku zaludnił pas nadmorski, stare koczowiska Tatarów. Kolonizując pospół z Polakami spustoszone obszary, umiał dzięki prostocie języka i Kościołowi unickiemu zasymilować niezliczone masy ludu polskiego. Podobnie okazał moc asymilacyjną wobec koczowników turańskich, pasterzy wołoskich w Karpatach, przybywu Rusi północnej»...

I stało się w pewnej chwili tak, że losy Ukrainy decydowały o losach całej wspólnej Rzeczypospolitej. Był wiek XVII. Już w XX wieku profesor Jerzy Łojek pisał w książce „Dzieje zdrajcy. Szczęsny Potocki” (Katowice 1987): „Rola Ukrainy, województw ruskich (formalnie wcielonych do Korony, to jest Polski, przez króla Zygmunta Augusta przed Unią Lubelską 1569 roku) była decydująca dla przyszłości całej Rzeczypospolitej. Od schyłku XVI wieku narastały na tym obszarze ostre konflikty polityczne i społeczne. Swoista, nieporównywalna z jakąkolwiek inną warstwą społeczną w Europie, warstwa społeczna Kozaczyzny – rosła w siłę. Próby sprowadzenia Kozaków do statusu chłopstwa poddańczego, podejmowane przez właścicieli wielkich majątków ziemskich, rodziły ostre konflikty społeczne. Nie były to bynajmniej konflikty narodowe. W kolegium jezuickim we Lwowie uzyskali podobne wykształcenie dwaj ludzie urodzeni na

Ukrainie, którzy mieli stanąć przeciwko sobie w latach 1648–1651: Bohdan Chmielnicki (1595–1657), prawosławny przywódca powstania wszczętego przez Kozaczyznę, i Jeremi Wiśniowiecki (1612–1651), spolonizowany i skatolicyzowany, najbogatszy z magnatów ówczesnej Ukrainy. Dramatycznie przeciwstawna rola tych ludzi w wojnie domowej na Ukrainie jest historycznie znamienna. Ukraiński magnat Wiśniowiecki tłumił powstanie kozacko-ludowe w sposób skrajnie brutalny. Ukraiński przywódca kozacki Bohdan Chmielnicki ewoluował w stronę zerwania odwiecznych więzów państwowych Ukrainy z Polską i Litwą, czego skutkiem był podział Ukrainy między Polską a Moskwą w 1667 roku. Układ w Hadziaczu w 1658 roku, przyznający «Księstwu Ruskemu», złożonemu z województw kijowskiego, bractawskiego i czernihowskiego prawa trzeciego członu federacji Rzeczypospolitej, przyszedł o dziesięć lat za późno i nie dał żadnego wyniku. Gdyby taki układ zaoferowano Chmielnickiemu w roku 1648, zapewne cała wojna domowa w Rzeczypospolitej wygasłaby u swego zarania». Tak, było za późno, a z polskiej głupoty, jak zawsze, najlepszy użytek uczyniła dla siebie Rosja.

Na początku 1654 r. w Perejaślawiu ogłoszono tzw. „dobrowolne przyłączenie Ukrainy do Rosji”. Był to początek końca nie tylko niezależności Ukrainy, ale i jej autonomii. Co prawda akt ten został przez Moskwę użyty jako pretekst do uderzenia na Litwę i Polskę, rzekomo w celu obrony ludności prawosławnej i ruskiej przed prześladowaniami ze strony katolickiej. Co znaczy ta „obrona”, wskazuje fakt, że np. wojska carskie w ciągu 12 lat okupacji Białej Rusi wymordowały 48% jej ludności i dopiero ludobójstwo sowieckie z lat 1934–1954 r. niemal dorównało pod względem „skuteczności” morderczej akcji z połowy XVII wieku. Podobnie miały się sprawy na ziemiach ukraińskich. „Rozpoczynając od Układu w Perejaślawiu w roku 1654, na mocy którego odbyło się przyłączenie Ukrainy do Imperium Moskiewskiego, wciąż na nowo, stosując wszelkie możliwe środki usiłowała Moskwa dławić niezależność i kulturową samodzielność narodu ukraińskiego” („Russischer Kolonialismus in der Ukraine”, s. 7. Ukrainischer Verlag in München 1962).

Moskwa też od początku i przez kilka stuleci perfidnie siała nienawiść wzajemną między Polakami, Ukraińcami, Białorusinami i Żmudzinami. W 1654 r. 600 tysięcy Rosjan i około 200 tysięcy Kozaków na czele z carem Aleksym Michajłowiczem przekroczyło granice Litwy. Główne siły natarły w kierunku Smoleńska, oblegając go. Książę Wasilij Szeremietiew ru-

szły w stronę Litwy wzdłuż Dźwiny, zdobywając kolejno twierdze: Nowel, Dżisnę, Drużę, Jeziorany, Uświat, Połock. Kniaziowie Trubecki i Czerkasski opanowali Dubrownę, Mściśław, Orszę, Kopyś, Hory. Kozacy pod dowództwem Żołotarenki zniszczyli Rzeczycę, Homel, Czeczersk, Propojsk, Nowy Bychów.

W sierpniu ruszyły do walki główne siły litewskie. Hetman Gosiewski rozbił Moskwę pod Orszą, lecz wkrótce sam doznał porażki pod Szklowem, tracąc całą artylerię i sztandary. Hetman polny litewski Radziwiłł ukrył się w Twierdzy Mińskiej. Jednak połowa Wielkiego Księstwa Litewskiego znalazła się w rękach moskiewskiego najeźdźcy. 24 sierpnia, po półtoramiesięcznej bohaterskiej obronie padł Mohylew; 13 września, po dwumiesięcznej walce złożył broń wygłodzony i wykrwawiony Smoleńsk.

Wiosną 1655 r. działania bojowe wybuchły ze wzmożoną siłą. W czerwcu padły Wiliż i Mińsk, gdzie miejscową ludność katolicką wycięto w pień, zapelniając trupami olbrzymie podziemia kościołów. Ponad trzysta lat później, w okresie, gdy Mińsk był stolicą Białoruskiej Socjalistycznej Republiki Radzieckiej, pod posadzką kościoła Ojców Dominikanów w tym mieście odnaleziono zwałowisko kilkuset szkieletów, należących do dzieci, kobiet i starców, pomordowanych w 1655 r. W tymże 1655 r. podobny los spotkał mieszkańców Grodna, Kowna, Wilna, Turowa, Dawidgródka, Stolina i Pińska. W ciągu roku barbarzyńska Moskwa zniewoliła prawie całe Wielkie Księstwo Litewskie na okres 12 lat i od 1658 r. zainicjowała na terenach okupowanych przymusowe nawracanie ludności na prawosławie, popełniając przy okazji niezliczone bestialstwa i zdzierstwa. Nawet zagorzały patriota rosyjski i monarchista A. Kiersnowski zmuszony był po kilku stuleciach wyznać: *„Stałe mieszkanie się Rosji do życia wewnętrznych narodów europejskich nałożyło odium na imię rosyjskie. Rosji bano się, ale też ją nienawidzono”* (Aleksandr Kiersnowski, *„Istoria russoj armii”*, t. 2, s. 283. Belgrad 1934).

By utrwalić swe panowanie na zdobytych terenach Litwy, car kazał pozamykać świątynie katolickie i grekokatolickie lub zrównać je z ziemią. To, co pozostało, przekazano do rąk kleru prawosławnego. Pierwsze, co robiono po zdobyciu jakiegokolwiek miasta, to wyrzynano dużą część mieszkańców; drugie – palono lub przerabiano na cerkwie kościoły; trzecie – urządzano przymusowe przechrzczenie na prawosławie kapłanów, mnichów i ludności katolickiej oraz grekokatolickiej.

W tym też czasie król Szwecji Karol X Gustaw uderzył z północy na Polskę i w krótkim czasie zajął Poznań, Warszawę, Kraków oraz inne miasta, plądrując je niemiłosiernie, grabiąc, paląc i mordując nie gorzej niż najeźdźca moskiewski. Król Jan Kazimierz ukrył się na Śląsku. A między Rosjanami i Szwedami prowadzono pertraktacje dotyczące trwałego rozbioru Rzeczypospolitej. Chciwość obydwu „wysokich układających się stron” uniemożliwiła jednak dojście do porozumienia, co więcej, spowodowała konflikt wojenny między nimi, co wyszło na dobre Litwie i Polsce.

Tymczasem w Inflantach Moskwa doznała serii porażek od wojsk litewskich i przez bieg wydarzeń została niejako zmuszona do podjęcia pertraktacji pokojowych z Rzeczpospolitą. Stawiała jednak nie na równoprawny układ, lecz na stworzenie formalnych podstaw do podporządkowania sobie Polski i Litwy. Posłowie sejmowi przejrżeli perfidne knowania Moskwy i już uzgodniona umowa nie została podpisana. W 1660 r. car nakazał natychmiastowe zaprzestanie działań bojowych przeciwko Szwecji, zawarł z nią pokój i całe swe siły ponownie rzucił na Polskę. Jednak pancerna kawaleria koronna w trakcie szeregu zaciętych bitew rozproszyła kilkuset tysięcy watahy Kozaków i zaczęła się dobierać do skóry samym Moskalom. Ocalała z rzezi moskiewskich wielojęzyczna ludność Wielkiego Księstwa Litewskiego z utęsknieniem oczekiwała oddziałów polskich i witała je jako zwiastuna i gwaranta wolności. Miasta białoruskie jedno po drugim przechodziły w ręce Polaków. W Mohylewie zawiązano spisek i to bohaterskie miasto samo uwolniło się z rąk moskiewskich oprawców: zdesperowani mieszkańcy chwycili za broń i wycięli w pień cały garnizon rosyjski, oszczędzając tylko kilku wojewodów, których zakuwszy w łańcuchy wyprawili do Warszawy.

W roku 1661 król Jan Kazimierz osobiście stanął na czele wojsk polskich i ruszył na odsiecz Litwie. Wkrótce odbił z rąk nieprzyjaciela Grodno, Pińsk, Wilno oraz inne miasta. Jednak wojewoda moskiewski Danił Myszeckoj z około stu żołnierzami zamknął się w twierdzy wileńskiej na Zamkowej Górze, gdzie zgromadzone były olbrzymie zapasy żywności i broni, i przez osiem miesięcy nie można było go pochwycić, co przypisać należy wyłącznie szczególnemu położeniu tej twierdzy na nieprzystępnej wysokiej skarpie. Wreszcie w listopadzie 1661 r. sami żołnierze rosyjscy ujęli Myszeckiego i oddali się na łaskę Polaków. Wszyscy zostali nagrodzeni przez króla, gdyż ich czyn pozwolił uniknąć dalszego rozlewu krwi. Zaś samego wojewodę

ścięto, a jego ciało pogrzebano w podziemiach klasztoru Świętego Ducha.

Zmienny przebieg miała wojna, która jeszcze przez kilka lat trwała na terenach Litwy i Białej Rusi, doszczętnie pustosząc te ziemie i zadając ludności bezmiar cierpień i powodując ogromne straty. Wojenne barbarzyństwo dotknęło wszystkie uwikłane w konflikt strony, a oddziały wojskowe bezlitośnie grabiły ludność cywilną. Rosjanie kilkakrotnie usiłovali ponownie zająć Mohylew, aby zemścić się na jego mieszkańcach za niezachwianą wierność królowi polskiemu, jednak hetman Kazimierz Pac doszczętnie rozbił oddziały wroga, tak, iż nie udało się im zaspokoić żądzę krwawego odwetu.

Wykrwawione Polska i Litwa dopiero w 1667 r. zawarły w Andruszowie pokój z carem moskiewskim na okres trzynastu i pół roku. Na mocy tego układu Smoleńsk, Nowel, Siebież, Wieliz dostały się własnością Moskwy, podobnie jak na dwa lata – Kijów. Lecz województwa połockie, witebskie i inflanckie udało się przywrócić Wielkiemu Księstwu Litewskiemu. Zaporże pozostało pod kondominium polsko-rosyjskim, ponieważ obydwie układające się strony żywiły uzasadnione obawy co do usposobienia i zamiarów Kozaczyzny. Można by to nazwać rozbiorem Ukrainy. Na mocy umowy katolicy, którzy pozostali na ziemiach zagarniętych przez Rosję, mieli mieć zagwarantowaną wolność wyznania, lecz tak się nie stało.

Jak prawie zawsze, elity dzierżące ster władzy w Polsce okazały się krótkowzroczne, naiwne, pozbawione daru conceptualnego myślenia i doprowadziły całą Rzeczpospolitą do kolejnej klęski. O mentalności zaś szerszych mas ludu (o ile można w stosunku do nich używać wyrazu „mentalność”) – szkoda byłoby w ogóle mówić; tutaj wciąż na nowo po pijacku wydziwiano i głupawo chichotano, spoglądając w kierunku wschodnich sąsiadów, uważając ich za „gorszych”. Znalazło to odzwierciedlenie w szeregu „mądrych” przysłów i porzekadeł polskich, że przytoczymy tu kilka z nich:

„Polak do rady, Litwin do zwady, Mazur do boju, Niemiec do stroju, Włoch do lutni, Rusin do kłótni”.

„Kocha się jak Polak w obczyźnie, panek w pańszczyźnie, chłopiek w pierogu, a Rusin w bartłogu”.

„Żyd okpi Niemca, diabeł Żyda, Rusin diabła, a Rusina niewiasta”.

„Cztery rzeczy nie do rzeczy: noga w szczudle, a mysz w pudle, koza w sadzie, a Rusin w radzie”.

„Gdzie stąpi Ruś, tam nie rośnie gus”.

Tylko Niemiec i Moskal są w przysłowiach polskich oceniani jeszcze gorzej niż Rusini:

„Popie oczy, wilcze gardło: co obaczy, to by zżarto”.

„Gdy Polak głodny, świszcze, a Rusin żonę bije”.

Jan z Kijan, poeta polski, w wierszu pod tytułem „Różność nacyj” o wschodnich sąsiadach Polaków pisał:

*„Gdy Rusin siedzi w prawie,
Szkodliwy wszystkim ławie.
Sądzić mu przyjdzie snadnie,
Przysięga, a sam kradnie.
Jeśli na cię nie wsiedzie,
Szczęście od Boga będzie.
Wszystkie zamysły jego
Nie czynić nic dobrego”...*

Byłoby rzeczą niezwykłą, gdyby Ukraińcy – naród inteligentny i dumny – nie zauważyli lub zbagatelizowali ów wyniosły i chamowaty stosunek Polaków do nich. Zauważyli, odnotowali i od pewnego momentu zaczęli odpłacać dobrem za nadobne według zasady „jak Kuba Bogu, tak Bóg Kubie”, mawiając m.in.: „Żyd, Lach ta sobaka – wira jednaka”. A że byli to ludzie odważni i ambitni, nie lubiący łąć, przymilać się i przepraszać – zaczęli podczas wojen kozackich wieszać na krzyżach kościelnych „trójcę przenaajświętszą” – jak to sarkastycznie nazywali – czyli psa, Żyda i Polaka.

Także Turcy doświadczyli na sobie nie tylko ostrości kozackich szabel, ale i ostrości ich języka. Latem 1663 r. sułtan Imperium Osmańskiego Mohammad IV zwrócił się do Kozaków Siczy Zaporoskiej z patetycznym listem: „My, Sułtan i Władca Wielkiej Porty, brat Słońca i Księżycy, Namieśnik Allacha na Ziemi, władca Królestwa Macedonii, Babilonu, Jerozolimy, Wielkiego i Małego Egiptu, król nad królami, pan nad panami, niezrównany rycerz, niezwykły żołnierz, właściciel drzewa życia, nieodstępny obrońca grobu Jezusa Chrystusa, opiekun samego Boga, nadzieja i pociecha mu-

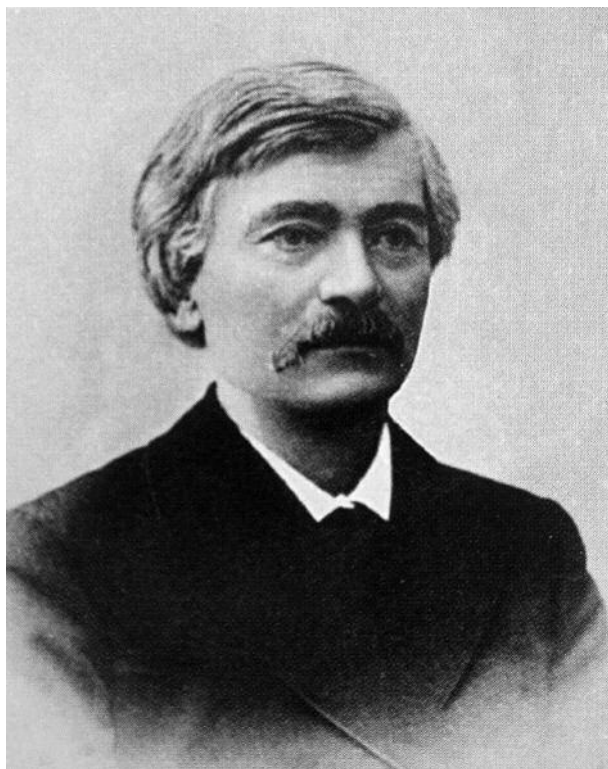
zultmanów, pogromca i wielki obrońca chrześcijan, rozkazuję wam, Kozacy zaporoscy, abyście się mi dobrowolnie poddali bez wszelkiego oporu, a nie dokuczali mi swymi napadami”.

Ten list rozśmieszył brać kozacką, która też niebawem nadesłała władcy Osmanów swój słynny list, jak się wydaje, dotychczas w Polsce nie publikowany. Ponieważ język ukraiński jest dla każdego Słowianina dostatecznie zrozumiały, podajemy brzmienie listu w oryginale. Siczowcy tedy odpisali monarsze osmańskiemu jak następuje: „*Ty, sultan, czort turecki i proklatoho czorta brat i towarzysz, samoho Lucypera sekretar. Jakij ty w czorta lycar, koli gotoju srakaju jeżaka nie wbiżesz. Czort wysiraje, a twoje wojsko pożywaje. Nie budzisz ty, sukin synu, syniwiu chrystijanskich pid soboj maty, twojoho wijska my nie boimoś, ziemleju i wodoju budiem bićsia z tobaju, rasprojob twoju mat’. Wawilonski ty kuchar, makiedonski kolesnik, jersalimski brawirnik [samochwał], aleksandryjski kozotup, Wielikoho i Małoho Egiptu swinar, tatarski sahajdak, kamieniecki kat, u wsioho switu i pidswitu błazen, samoho aspida wnuk i naszoho chuja kruk. Swiniacza ty morda, kobylacza sraka, riznicka sobaka, niechryszczony ty łob, mat’ twoju job. Ot tak tobi Zaporozci widkazali, plugawcze. Nie budziesz ty i swinieji chrystianskich pasti. Teper konczajemo, bo czysta nie znajemo, i kalenkora nie majemo, misiacy u niebi, hod u knizi, a dzień takij u nas jak i u was. Za ce pocatuj w sraku nas!*” Podpisał ten wyjątkowy w dziejach dyplomacji list „*koszowy ataman Iwan Sirko zo wsim koszem Zaporoskim*”.

I oto taką dziarską brać próbowała poniżyć i poniewierać zapijaczona, tchórzliwa i leniwa szlachta polska XVII i XVIII wieku! W wieku zaś XIX ta szlachta stanowiła widok po prostu żenujący. Na dworze petersburskim aż się roilo od sprzedajnej arystokracji polskiej; na Podolu i Wołyniu panowie tutejsi przegrywali własne żony w karty z oficerami wojsk rosyjskich, a „powstańczy” emisariusze z Warszawy i Paryża okazywali się albo agentami masonerii, albo zgoła prowokatorami tajnej policji carskiej. Nic prócz odrazy taka „polskość” w ludziach przyzwoitych budzić nie mogła. Kierowani więc nie w ostatniej kolejności poczuciem moralnym liczni reprezentanci Polaków kresowych nie tylko przechodzili na ukrainizm, ale i stawali na czele ruchu antypolskiego na byłych ziemiach Księstwa Ruskiego i Wielkiego Księstwa Litewskiego. Jednym z najwybitniejszych w tym gronie był niewątpliwie Włodzimierz Antonowicz.

Autograf Włodzimierza Antonowicza

„*Welika Istoria Ukrainy*” Iwana Tiktora (Lwiv – Vinnipeg 1948, s. 696) informuje o wybitnym historyku jak następuje: „*Ten polski szlachcic z rodu i wychowania zapoczątkował swą «Spowiedzią» powrót spolszczonej szlachty ukraińskiej do ludu, z jakiego ona wyszła, stał się ojcem i nosicielem tzw. «chłopomaństwa»*”. Co prawda, początek tego zdania („*polski szlachcic z rodu i wychowania*”) nie bardzo harmonizuje pod względem logicznym z jego końcem („*powrót spolszczonej szlachty ukraińskiej do ludu*”), lecz podstawowa idea jest słuszna: Polak Antonowicz był ojcem ukraińskiego odrodzenia narodowego. Jego przypadek był, jak zauważyliśmy powyżej, jednym z wielu. Jak bowiem pisał Daniel Beauvois w dziele „*Polacy na Ukrainie*”: „*Grupa młodzieży nazywana «chłopomanami», której przewodził Włodzimierz Antonowicz, rozpowszechniała od roku 1857 teksty nawołujące Polaków do przeprowadzenia rachunku sumienia, przywdziewania chłopskich świtek, wyrzeczenia się pychy, zniesienia podziałów klasowych i zjednoczenia się z ludem*”. A ponieważ ten lud był ukraiński, wypadało mu i jego romantycznym kolegom obrać takąż opcję narodową. A. Żukowski w „*The Encyclopedia of Ukraine*” (Toronto – Buffalo – London 1984, t. I, s. 468) podaje: „*Chłopoman (Khlopoman). Zwolennik ruchu populistycznego ukraińskich studentów i inteligencji na Prawobrzeżnej Ukrainie w latach 1850–1860. Pogardliwy termin polski «chłopoman», oznaczający miłośnika chłopstwa, został zaadoptowany przez tych, którzy propagowali «miłość do prostego ludu ukraińskiego». Ruch, który był przeważnie pod wpływem socjalistów francuskich (Pierre Joseph Proudhon, Louis Auguste Blanqui) i demokratycznego populizmu, powstał w środowisku studentów Uniwersytetu Kijowskiego, którzy należeli do spolonizowanej szlachty. Uznając obowiązek służenia «ludowi wpośród którego się żyje», odwrócili się oni od studenckich organizacji polskich i założyli zrzeszenie ukraińskie. Ruch chłopomański wywierał wpływ także*



Włodzimierz Antonowicz w wieku dojrzałym

na młodych ludzi Lewobrzeżnej Ukrainy, szczególnie w Charkowie, Połtawie, Czernihowie i Odessie. Założycielami ruchu byli W. Antonowicz, T. Rylski, B. Poznański, K. Michalczuk, P. Żytecki i P. Czubiński. Włodzimierz Antonowicz sformułował ich zasady ideologiczne i program podstawowy. W odpowiedzi na polskie zarzuty o zdradę i defetyzm odrzucił on społeczny ustrój polsko-szlachecki oraz jezuityzm jako «obcy duchowi naszego ludu i jego czystemu życiu» i ogłosił swe oddanie miłości ludu... Chłopomani opublikowali odezwę pt. «Otzyw iz Kijewa», w tomie «Sowremiennaja Letopiś», t. 11 (Moskwa 1862). 21 sygnatariuszy tego dokumentu odrzuciło metody rewolucyjne i deklarowało, że ich jedynym celem jest edukacja przedtem uwolnionego chłopstwa. Uchylali także zarzut separatyzmu, argumentując, że separatyzm nie miałby praktycznego znaczenia dla w większości niepiśmiennego narodu...

Chłopomani działali ściśle w ramach prawa, aby uniknąć pośądzenia o aktywność rewolucyjną. Od roku 1859 byli czynni w Hromadzie Kijowskiej. Pomagali zakładać szkoły niedzielne i założyli pismo «Osnowa». Podczas letnich wakacji organizowali wycieczki po Ukrainie, uznawane za «chodzenie do ludu» w celu poznania kraju i jego mieszkańców. Ze względu na swą kulturalną i edukacyjną działalność zostali chłopomani fałszywie obwinięni przez reakcyjne koła Rosji o akces polityczny do

powstania polskiego 1863 roku. Mimo represyjnych posunięć, które nastąpiły [...] chłopomani nadal uczestniczyli w pracach Hromady Kijowskiej i w innych poczynaniach społeczeństwa».

Należy gwoli sprawiedliwości stwierdzić, że profesor W. Antonowicz, choć zmienił opcję narodową polską na ukraińską, zachowywał się raczej przyzwoicie (choć jego stosunek do kwestii polskiej był ambiwalentny), czego nie dałoby się powiedzieć o długim szeregu innych Polaków, którzy wyrzekli się swego narodu i gorliwie wysługiwali się obcym. Zdradzieckość i służalczość wobec obcych, wynikające z drugorzędności i wtórności kulturowej, stanowią, być może, jedną z konstytutywnych cech charakteru polskiego i w dziedzinie polityki obserwuje się je dość często. Oto np. „ukraiński działacz narodowy” z przełomu XIX – XX wieku Wacław (później: Wiaczesław!) Budzynowski. Urodzony Polak, gdy przemawiał w parlamencie austriackim jako poseł ukraiński, proponował genialnie prosty sposób rozwiązania kwestii polsko-ruskiej na terenie Galicji, dając do wyboru: albo powywieszać wszystkich Polaków, jak się wyrażał, „na suchej wierzbie”, albo przywiązywać do kamień do szyi i bez dalszych korowodów topić w Sanie. Na wiadomość o

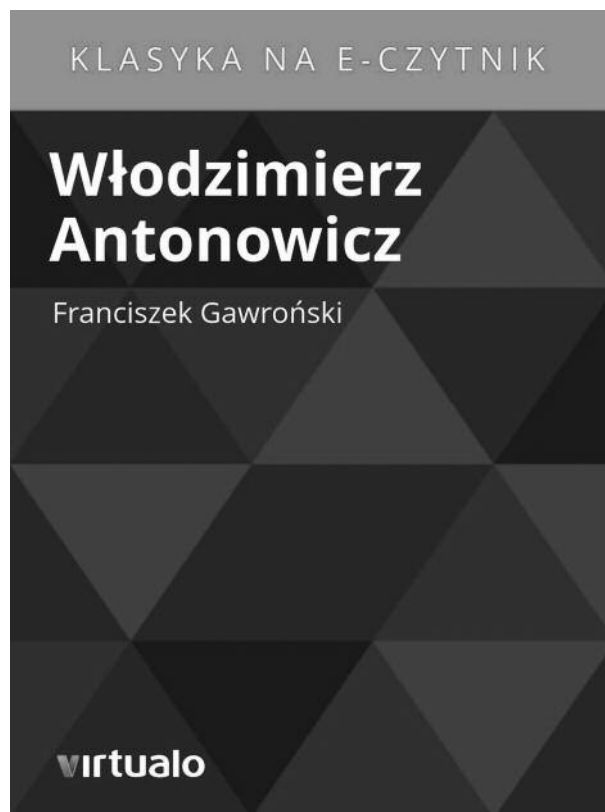


Grób Włodzimierza Antonowicza na Cmentrzu Bajkowa w Kijowie

bandyckim skrytobójstwie, popełnionym przez psychopatę M. Siczynskiego na Andrzeju Potockim, dał wyraz swemu patriotycznemu wzruszeniu i szczególnej kulturze osobistej w głośnym „*Vivat sequens!*” – Niech żyją ci, którzy pójdą za jego przykładem!..

Jedno z polskich pism lwowskich pisało wówczas: „*Budzynowski jest postacią nader zajmującą. Popędliwość byłaby główną cechą dla określenia jego organizacji duchowej*”... Należał widocznie do pewnej kategorii osób, od dawna spotykanych w dziejach Polski, które niejednokrotnie właśnie dzięki swej psychopatii wynoszone były z dna aż na szczyty drabiny społecznej. „*Wacław Budzynowski jest z rodu tego polskiego «hultajstwa», co uciekało za Dniepr. Odmienne czasy zmodyfikowały tylko formy starej treści. Do któregoś tam roku życia Polak, niezbyt mocny w ruskim wyśłowieniu, nie znalazł w społeczeństwie polskim sposobności do działania, odpowiedniego swej naturze. Instynkt skierował go tam, gdzie cywilizacja po wierzchu tylko musnęła formy życia, gdzie łatwiej i wdzięczniej wyładowuje się wszelki popęd antyspołeczny, gdzie więzy moralne luźniejsze, gdzie człowiek nie ukształtował się jeszcze w typ «istoty towarzyskiej», podlegającej pewnym normom życiowym, koniecznym dla cywilizowanego współistnienia. «Hajdamaka».* Barbarzyński ten wyraz maluje z przedziwną plastyką ów produkt ludzki, geograficznie tylko należący do Europy. Wypluty z łona własnego społeczeństwa, Budzynowski stał się właśnie hajdamaką”... Później ten typ psychologiczny stał się podstawą takich ruchów jak anarchizm, komunizm, gender itp.

Warto może jeszcze dodać, że we wczesnej młodości Wacław Budzynowski, podobnie jak inny nacjonalista ukraiński Petrycki, pisywał artykuły antyukraińskie w brukowych pismach polskojęzycznych. Lecz w pewnym momencie obaj zmienili kierunek frontu i stali się propagatorami wieszania, topienia, palenia, duszenia, krzyżowania, piłowania, rozcinania siekierami, przebijania widłami wszystkich Polaków. „Polska” służalczość, perfidia, nikczemność, lokajstwo, zdradzieckość, pyszałkowatość przepoczwarzyły się nagle w „ukraińskie” bestialstwo, okrucieństwo, zdziczenie. Przypadków takich były tysiące. Jeszcze w 1848 r., gdy „kulturalne” i „tolerancyjne” władze austriackie płaciły chłopom po 10 talarów za odciętą głowę polskiego powstańca (głowy obcinano częstokroć bezpośrednio w urzędach gminnych), w terenie akcją tą kierowali urzędnicy polskiego pochodzenia. Przypomnijmy również, że w roku 1944 r. rozkaz do przeprowadzenia na Wołyniu antypolskiej czystki etnicznej metodą zabija-



Biografia Włodzimierza Antonowicza autorstwa Franciszka Gawrońskiego

nia wszystkiego co polskie, wydał osobnik o nazwisku Kleczkowski, jeden z „prominentnych” działaczy OUN-UPA, Polak, którego szlacheccy dziadkowie pieczętowali się herbem rodowym Trzaska.

W przypadku Włodzimierza Antonowicza nie mamy do czynienia z aż tak drastycznym przykładem apostazji narodowej. Był to niewątpliwie człowiek prawy, a uczony prawdziwie wybitny. Został zresztą protoplastą znakomitej dynastii naukowej. Syn bowiem jego, Dymitr, to w swoim czasie również wybitny historyk, rektor Ukraińskiej Wolnej Wszechnicy w Wiedniu i Pradze. Jeden z wnuków, Marek Antonowicz (zm. 2005 w Montrealu), został zasłużonym egipnologiem i ukrainoznawcą. Drugi zaś wnuk, Michał, autor czterotomowej „*Historii Ukrainy*”, urodzony we Florencji, został potajemnie porwany przez ukraińskich oficerów KGB ZSRR na terenie Włoch, przemycony do Związku Sowieckiego, osadzony i zakatowany gdzieś na syberyjskim zesłaniu. To także echo Perejaśławskiej Rady...

Dr Jan CIECHANOWICZ

Włodzimierz Bartoszewicz

TAMTEN DAWNY KIJÓW (cz. II)

Wstęp do wspomnień W. Bartoszewicza

Sekcja Wychowanków Politechniki Kijowskiej, która w Polsce działa od 1922 r., ogłosiła w 1962 r. konkurs literacki na utwory związane z Kijowem. Wpłynęły 73 prace. Sąd konkursowy pod przewodnictwem wybitnego pisarza Jarosława Iwaszkiewicza (mieszkał w Kijowie do 1918 r.) nagroził 6 autorów i wyróżnił 7 prac. 20 maja 1962 r. w sali Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Radzieckiej w Warszawie odbyło się uroczyste wręczenie nagród laureatom konkursu, połączone z czytaniem fragmentów nagrodzonych prac. Zebrani na uroczystości autorzy postanowili społecznie udostępnić swoje utwory czytelnikom poprzez wydanie ich w postaci broszury okolicznościowej. Po wielu latach w 1987 r. Sekcja, korzystając ze wsparcia Naczelnej Organizacji Technicznej, wydała tomik zawierający nagrodzone i wyróżnione utwory.

Autorzy wspomnień byli świadkami życia w Kijowie w okresie caratu, tu ucząc się lub pracując pielegnowali polskie tradycje kulturalne, czyniąc to niekiedy wbrew przepisom carskiej Rosji, co narażało ich na prześladowania. Na kartach wspomnień, zwłaszcza najstarszych, widać wspólnotę dziejów naszych słowiańskich narodów, wspólnotę ich losów, przenikanie kultur narodowych. Współpraca z przedstawicielami innych narodów, wspólna walka z caratem nie przeszkadzały w dbałości o własną kulturę, w studiowaniu dzieł polskich pisarzy. Większość autorów kończy swoje wspomnienia rokiem 1918. Powstanie niepodległej Polski bowiem otworzyło możliwości wyjazdu do Ojczyzny, z czego skorzystało wielu kijowskich Polaków.

Redakcja KRYNICY i kierownictwo Sekcji Wychowanków Politechniki Kijowskiej wspólnie postanowiły udostępnić Czytelnikom niektóre z utworów nagrodzonych w konkursie sprzed połowy wieku. W numerze 91 pisma prezentujemy część 2 wspomnień Włodzimie-

rza Bartoszewicza, który w konkursie uzyskał pierwszą nagrodę. Autor zilustrował tekst swoimi żartobliwymi rysunkami, przedstawiającymi postacie i zdarzenia ze starego Kijowa.

Ojciec autora był znanym polskim działaczem. Joachim Bartoszewicz po przyjeździe do Kijowa w 1906 r. został wybrany prezesem kijowskiej grupy Ligi Narodowej i objął funkcję prezesa Patronatu Polonii (polskiej organizacji studenckiej obozu narodowego). Patronat stanowiły starsze osoby, wspierające, także finansowo, studencką organizację. Został redaktorem „Dziennika Kijowskiego” (po Witoldzie Lewickim) i kierował redakcją 8 lat. W 1914 r. działał w oddziale Polskiego Towarzystwa Pomocy Ofiarom Wojny. W 1917 r. przewodniczył Polskiemu Komitetowi Wykonawczemu Zgromadzenia Organizacji Polskich (na Rusi). Jego syn Włodzimierz Bartoszewicz był w czasie I wojny światowej członkiem polskiej tajnej organizacji uczniowskiej. Jako harcerz w 1918 r. pomagał ukrywającemu się w Kijowie brygadierowi Józefowi Hallerowi po rozbiciu jego brygady przez Niemców w bitwie pod Kaniowem w maju 1918 r. Dzięki pomocy harcerzy J. Haller pod zmienionym nazwiskiem wyjechał z miasta do rosyjskiego portu w Murmańsku. Opisał to wszystko Stanisław Grzymałowski, pierwszy powojenny przewodniczący Sekcji, w pracy historycznej *„Polska młodzież akademicka w Kijowie 1834–1918”*.

Autor zamieszczonych niżej wspomnień nie odniósł się ani do działalności politycznej ojca, ani do swojej. Postanowił raczej przybliżyć czytelnikowi tamten dawny Kijów, z jego sympatycznymi ludźmi i historycznymi budowlami.

Niech ta lektura spowoduje, Czytelniku, że otaczające Cię mury kamienic i starych budowli Kijowa ożyją wspomnieniami sprzed stu lat.

Janusz FUKSA

Ale wróćmy na ulicę Prorezną. Ulica ta, jak już wspominałem, była bardzo stroma i łączyła ul. Włodzimierską z Kreszczatikiem. Pomimo jej gwałtownego spadku z czasem puszczono przez ul. Prorezną tramwaj, który ze zgrzytem hamulców zjeżdżał w dół z pieca na łeb. Cała Prorezną pełna była sklepów większych i mniejszych, eleganckich i obskurnych. To

samo można by powiedzieć o domach, które przy niej stały.

Jednym z najnowocześniejszych był kompleks trzech czteropiętrowych kamienic, oznaczonych w owych czasach numerem 26. Posesja należała do Iwaszczenki, zięcia słynnego milionera Tereszczenki. Tuż obok, na rogu tzw. Michajłowskiego Pierieułka, wzno-

sił się jednopiętrowy „osobniak” właściciela. Rodzice moi wynajęli we frontowej kamienicy przy Prorezniej 26 pięciopokojowe mieszkanie na trzecim piętrze. Jak na owe czasy – kiedy to każdego lata widywało się na szybach mieszkań nalepki „do wynajęcia” – mieszkanie było stosunkowo drogie, bo czynsz roczny wynosił około 400 rubli. Ale jakie to było mieszkanie! Wchodziło się przez duże, oszklone drzwi do klatki schodowej. Schody były kamienne, a posadzka w sieni – wykładana marmurem. Przy wejściu w oszklonej portierni urzędował portier Iwan, przybrany w długi granatowy surdut, bramowany srebrnym galonem i w takiej srebrną bramowanej czapce. Przy portierni stała skóra wyściełana ława. Wewnętrzne telefony łączyły portiernię z poszczególnymi mieszkaniami. W głębi była winda, zawsze czynna, a w wypadku rzadkich uszkodzeń – natychmiast naprawiana.

Mieszkania były bliźniaczo do siebie podobne. Pokoje, dobrze rozplanowane, miały przeciętnie od 20 do 35 metrów kwadratowych każdy. Okna, znakomicie wykonane, miały marmurowe parapety, domykały się szczelnie, nie pacyły i posiadały u góry wietrzniki, dające się uchylić bez wysiłku za pomocą umieszczonej przy futrynie dźwigni. Mieszkanie miało centralne ogrzewanie. Z kuchni prowadziły drzwi na kuchenną klatkę schodową

(nazywaną w Kijowie „czarnym chodem”). Przy drzwiach stały blaszane kubły na śmiecie, codziennie wynoszone przez specjalnego funkcjonariusza. Zdobycie telefonu nie było żadnym problemem, toteż, choć ówczesne aparaty były jeszcze staromodne, przytwierdzone do ściany, telefon był w każdym niemal mieszkaniu. Oprócz tego, jak już wspominałem, każde mieszkanie miało wewnętrzny telefon, łączący je z portiernią. I wreszcie jeszcze jedna osobliwość, służąca wygodzie mieszkańców: dwa razy dziennie w zimie „ozonowano” mieszkanie, tzn. przez duże umieszczone w każdym pokoju wentylatory wpuszczano pachnące leśne powietrze.

Wszystko to działo się w 1914 r. w kamienicy czynszowej w Kijowie.

Tuż koło naszego mieszkania mieścił się sklep, często przeze mnie odwiedzany. Był to sklep fotograficzny Czecha Pokornego, gdzie zaopatrywałem się w klisze fotograficzne i papier „Celofix”, uchodzący wówczas za najlepszy. Naprzeciw naszego domu znów mieścił się zakład fotograficzny, ocieniony brzydkim ganeczkiem, z witrynami zawieszonymi „gabinetowymi” zdjęciami portretowymi. Dalej roilo się od najrozmaitszych sklepów i sklepików. Na samym końcu Prorezniej, niedaleko już Kreszczatiku, jasno oświetlone witryny nęciły przechodniów olbrzymimi pudełkami



czekoladek, cukierków i wspaniale udekorowanymi tortami. Był to znany sklep cukierniczy Georges'a, jeden z najlepszych w Kijowie. Tam to, idąc na proszony obiad lub do teatru, zaopatrywano się w czekoladki. Stamtąd też sprowadzano torty, gdy wypadło urządzić jakieś przyjęcie.

Na wprost wylotu Proreznej, po drugiej stronie Kreszczatiku, stał wśród wysokich kamienic mały, parterowy, kryty papą domek. Mieściła się w nim największa kijowska księgarnia Leona Idzikowskiego. Księgarnia posiadała szereg działów, a wśród nich doskonale zaopatrzony dział muzyczny. U Idzikowskiego dostać można było wszystko, co ukazywało się w druku, zarówno w języku rosyjskim, jak polskim, francuskim, angielskim i niemieckim. Można też było za pośrednictwem księgarni sprowadzić wszystkie nowości lub zaabonować pisma. W osobnym, oddalonym nieco pomieszczeniu, do którego wchodziło się po schodkach, dwa fortepiany rozbrzmiewały przez cały dzień muzyką. Klienci przegrywali na nich nowe wydania nut. Spotkać tam można było najslawniejszych wirtuozów, bądź mieszkających w Kijowie czy na Kreszach, bądź przybyłych na gościnne występy z Cesarstwa i z całej Europy. W innych pokojach uprzejmi, doskonale obeznani z literaturą ekspedienty sprzedawali książki, polecali ciekawsze powieści, doradzali zakupienie ostatnich nowości. Wśród publiczności uwijał się sam właściciel pan Leon Idzikowski, usłużny, uprzedzająco grzeczny, mówiący wszystkimi językami, znający wszystkich, zawsze gotowy do zaspokojenia najbardziej nieoczekiwanych życzeń klientów.

Po pierwszej wojnie światowej pan Idzikowski znalazł się w Warszawie i założył przy Alejach Jerozolimskich, niedaleko rogu Brackiej, swoją księgarnię, równie dobrze zaopatrzoną, choć oczywiście nie tak zasobną jak dawna kijowska.

Kreszczatik był główną i najbardziej reprezentacyjną ulicą Kijowa. W owych czasach wyglądał oczywiście inaczej niż teraz, po zniszczeniu przez hitlerowców i powojennej odbudowie. Była to dość szeroka, ożywiona ulica, dobrze wybrukowana i oświetlona. Przy Kreszczatiku skupiały się najbogatsze sklepy, największe banki i instytucje. Przed Grand Hotelem stały zawsze dorożki powożone przez najgrubszych „kuczerów” i zaprzężone w najściglejsze „rysaki”.

W witrynach sklepu Bałabuchy białeły słynne, wytwarzane przez tę firmę, osmażane w cukrze owoce. W innym znów sklepie, należącym do Greka, pociły się orzechowym tłuszczem bloki chałwy, zwisały przypró-

szone cukrem różowe, żółte i bladozielone wstęgi „rachatłakumu”, różowiła się „pastiła”. Panowie zatrzymywali się przed witrynami sklepu Alszwanga, gdzie dostać można było wszystko, co wchodziło w zakres wykwintnej męskiej garderoby. Nieco dalej wchodziło się po schodkach do obszernej, we wszelkie leki zaopatrzonej apteki, należącej do Polaka, pana Marcińczyka. Gdzieś już bliżej Placu Dumskiego obszerny apartament zajmowały biura JUROTATU (Jużnoruskoje Obszczestwo Torgowli Aptecznymi Towarami). Właścicielem tej wielkiej, bardzo zasobnej firmy był również Polak, pan Antoni Czerwiński, jeden z wydawców polskiego pisma „Dziennika Kijowskiego”.

Po trotuarach Kreszczatiku przechadzały się tłumy mieszkańców. Gwardyjscy oficerowie, w lakierowanych butach, dzwonili ostrogami „s malinowym zwukom”, nonszalancko salutując zwyczajnych liniowych oficerów. Damy, otulone w kosztowne futra, w szerokich kapeluszach z piórami lub fokowych czapeczkach, przystawały przed oświetlonymi witrynami sklepów. To znów szli zmęczeni długą drogą pielgrzymi, brodaci, brudni, w brązowych siermięgach i lipowych łapciach na nogach, lub – jeśli to było w lecie – zgoła boso. Czerkiescy oficerowie w czarnych włochatych burkach, narzuconych na malinowe, ściągnięte pasem żupany, z rzędem świecących karabinowych patronów na piersiach, w wysokich papachach i srebrem zdobioną „szaszka” u boku, ocierali się o warszawskich elegantów, świeżo przybyłych ze stolicy „Priwislinija”, w melonikach i ciemnych paltach z aksamitnym kołnierzem. Czasem zamasyżycie kroczył płowowąsy szlachciura w szamerowanej bekieszy i „batorówce” na głowie, to znów poważnie stapał długowłosy pop w fałdzistej fioletowej sutannie, z krzyżem zawieszonym na złotym łańcuchu na szyi.

Na Dumskiej Płoszczadi wznosił się po środku placu okazały gmach magistratu (Gorodskoj Dumy). Przed Dumą konny policjant pełnił wartę. Wokół rozległego placu rozsiadły się sklepy, a wśród nich jeden z najokazalszych – sklep spożywczy Torlina. Bywałem tam nieraz, towarzysząc matce, która lubiła tam robić zakupy. Sklep był obszerny i świetnie zaopatrzony. Nie było chyba rzeczy, której by u Torlina nie można było dostać. O olbrzymiej fortunie właściciela krążyły po Kijowie fantastyczne opowieści. On sam zaś przedstawiał klasyczny typ moskiewskiego kupca, jednego z tych, o których istnieje tyle doskonałych, najczęściej niecenzuralnych anegdot. Był to wysoki, barczysty i tęgi mężczyzna. Ogorzałą twarz okalała czarna broda, przystrzyżona „na łopatę”. Czarnymi, bystrzymi oczkami

umiał błyskawicznie otaksować klienta. Pozwalało mu to przybrać odpowiedni uśmiech i wyraz twarzy. Nosił się z prosta. Nie pamiętam, bym go widział kiedy ubranego inaczej, jak w szaraczkową długą kurtkę, czysty lniany fartuch, wysokie juchtowe buty i barankową czapkę na głowie. Podczas gdy Torlin z pogodnym uśmiechem odważał towar, odkrawał długim nożem masło, stojące w olbrzymich blokach na ladzie, przesyłwał w torebki kaszę, mąkę czy cukier, pani Torlinowa, w aksamitnym, podbitym futrem tułubie, opatulona w wełnianą chustkę, popijała niekończącą się nigdy herbatę, zgarniając do szuflady pieniądze.

Nie było wtedy kłopotu z dzwiganie zakupionych sprawunków. W każdym sklepie ekspedient, sprzedawszy towar, nieodmiennie zapytywał: „*Odesłać, czy weźmie pan ze sobą?*”. Wystarczyło podać swój adres i zanim wróciło się do domu, zakupiony towar był już na miejscu.

Za Placem Dumskim błotnista, stroma ulica Triochswiatitielskaja prowadziła do polskiego katolickiego kościoła św. Aleksandra. Co niedziela zbierały się tam, na „leniwce” o godzinie 12-tej tłumy Polaków. O 9-tej rano kościół wypełniał się młodzieżą szkolną. Po nabożeństwie na placu przed kościołem odbywał się tzw. „przegląd katolicki”. Spotykało się tam wszystkich prawie znajomych. Nabożeństwo o 12-ej odprawiał najczęściej proboszcz ksiądz Teofil Skalski. Kazania wy-

głaszali kolejno ks. Żukowski, prefekt ks. Kalinowski, przez pewien czas nasz prefekt gimnazjalny ks. Pawłowski, dopóki pewnej niedzieli po wygłoszeniu kazania nie zmarł na zawał serca w zakrystii kościoła. Od czasu do czasu ks. Mervard wygłaszał doskonale kazania po francusku do swych przebywających w Kijowie współziomków. My, sztubacy, najmniej lubiliśmy, gdy ze Mszą świętą wychodził sędziwy ks. kanonik Stanisław Pomirski. Były powstaniec, zesłany „etapnym poriadkiem” na Sybir w 1863 r., przemierzył piechotą, zakuty w kajdany, długą zesłańczą drogę. Pracował potem w kopalniach i wrócił wreszcie, sterany katogą, ale niezłamany na duchu. W owych czasach miał już lat chyba ponad osiemdziesiąt. Był rześki, zawsze czynny, ale poruszał się już bardzo powoli i Msza święta, odprawiana przez niego ciągnęła się w nieskończoność.

W Kijowie był jeszcze drugi kościół św. Mikołaja, ufundowany przez Leonarda Jankowskiego. Był to stary kawaler, bardzo niegdyś zamożny, trochę już zdziwaczały, ale wielki i ofiarny społecznik i patriota. On też miał w owych czasach chyba osiemdziesiąt lat z górą. Przychodził czasem do moich rodziców ubrany wizytowo w czarny garnitur, w rękawiczkach *sang de boeuf* (franc. wołowa krew – *przyp. JF*), których podczas wizyty nigdy nie zdejmował, jak tego wymagała obowiązująca za jego młodości moda. Wchodził do sa-



lonu, trzymając w ręku melonik, który, usiadłszy, kładł przepisowo pod krzesłem.

– *A pan szanowny* – zwracał się zwykle do swego rozmówcy – *kiedy kończył uniwersytet? Bo ja w 1848 roku.*

Spotykało się pana Jankowskiego nieraz, krocącego energicznie ulicą, w obszernym czarnym płaszczu i za dużym meloniku, opadającym na uszy, śpieszącego na jakieś zebranie lub uroczystość.

Minąwszy plac, przy którym stał kościół św. Aleksandra, dochodziło się ocienioną starymi drzewami ulicą do Sofijowskiego placu. Im bliżej placu, tym więcej spotykało się prawosławnych duchownych. Szli brodacami popi, „czerńcy” w opiętych, przepasanych skórzanym pasem sutannach, mniszki w czarnych habitach.

Plac Sofijowski był bardzo rozległy. Po prawej jego stronie stał szereg budynków pomalowanych na brzydką „kazionny” żółty kolor, krytych zieloną blachą, o dziwnej nazwie „Prisutstwiennye miasta”. O ile mnie pamięć nie myli, mieścił się tam sąd i rozmaite miejskie urzędy. Nieco dalej, w głębi placu, wysoka wieża opatrzona galerijką zwiastowała siedzibę straży pożarnej. Gdy w zimie mróz dochodził do 20 stopni, nad wieżą ukazywała się zielona chorągiew z entuzjazmem witana przez sztubaków. Był to bowiem znak, że z powodu zimna można nie iść do szkoły. Szło się więc na ślizgawkę lub na saneczki do Carskiego Ogrodu. Nie było tam ciepłej, ale w każdym razie znacznie przyjemniej niż w szkole.

Bywało, że zamiast zielonej wykwiatała na szczycie wieży czerwona chorągiew. Jeśli się było wtedy na placu Sofijowskim, warto było się zatrzymać, by popatrzeć na wyjazd straży pożarnej. Na odgłos alarmowego dzwonu otwierały się z hukiem szerokie wrota wozowni i zaraz potem wytaczały się z brzękiem i dudnieniem na czerwono pomalowane wozy. Na koźle siedział już strażak w złotym hełmie na głowie i, nachylony do przodu, ściągał lejce dyszlowych koni. Każdy wóz zaprzężony był w czwórkę koni. Po obydwóch stronach koźła stali na stopniach strażacy, z których każdy powodował jednego z orczykowych koni, z wysiłkiem wstrzymując na zakrętach rozpędzonego rumaka. Wszystko to razem – czerwone, opatrzone drabinami wozy, czarno-białe łąty galopujących koni, złote hełmy wskazujących w biegu strażaków, trębacz siedzący obok furmana, trąbiący na alarm – tworzyło niesłychanie barwny obraz, przypominający dawne sceny malowane przez dziewiętnastowiecznych malarzy rodzajowych.

Na środku placu, wśród porastających skwer zarośli, stał na wysokim, naśladującym sztuczną skałę cokole pomnik Bohdana Chmielnickiego.

Nad wszystkim dominowały białe mury Sofijowskiego Soboru. W murze otaczającym klasztorne obejście kilka bram prowadziło do wnętrza obszernego dziedzińca. Przed bramami zazwyczaj stały rozstawione na kozłach stoły, przy których „czerńcy” sprzedawali śpieszącym na nabożeństwo wiernym białe kołaczki. Dalej, za murem wznosiły się ku niebu białe strzeliste wieże soboru, zakończone cebulami złotych kopuł, oślepiająco błyszczących w słońcu.

Tłumy pielgrzymów w brunatnych opończach, przepasanych krajkami, bosych lub obutych w lipowe łapcie, z workami na plecach i kosturami w rękach, wypełniały mroczne wnętrza cerkwi. Na ścianach mieniły się złotem i barwami stare freski. Z mroku wyłaniały się surowe, brodate twarze świętych o czarnych, przenikliwie patrzących w dal oczach. Za pięknie cyzelowanymi „carskimi wrotami” przybrany w złocistą riasę pop odprawiał modły. Niebieskawy dym unosił się z kadzielnicy. O stropy prastarej świątyni bił potężny, ponury w swej dostojnej grozie chór „piewczich”. Przed ikonami wierni bili niezliczone pokłony, żegnając się nieustannie.

Sofijski Sobór, którego budowę rozpoczęto w 1037 roku, nie dorównywał jednak swą wspaniałością słynnej Pieczerskiej Ławrze. W Ławrze byłem chyba raz albo dwa w życiu. Jak to często bywa, najmniej zna się zabytki miasta, w którym się zamieszkuje. Nie byłem też nigdy w słynnych grotach pieczerskich, o których krążyło tyle opowieści. Nie widziałem też „świątych moszczey”, tj. mumii nieboszczyków otoczonych nimbem świętości, czczonych przez lud i wyznawców prawosławnej wiary. Schodziło się do tych krętych i ciemnych katakumb w towarzystwie przewodnika-popa. Już sama myśl krążenia po labiryncie tajemniczych podziemi ze świeczką w ręku i oglądania tam świętych nieboszczyków nie była zachęcająca. Cóż dopiero, gdy spojrzano się na długowłosego, brodatego przewodnika, którego wygląd odbierał resztki odwagi.

Kto jednak choć raz był w Kijowie, ten nie zapomni nigdy lasu białych wież i złocistych kopuł wyrastających z gęstwy drzew porastających strome zbocza wzgórz, które wznoszą się nad błękitną wstęgą Dniepru.

Nowszy, ale równie wspaniały był Sobór Włodzimierski. Lekkością architektonicznych form, strzelistością wież i swoistą elegancją stylu wyróżniała się zbudowana przez włoskiego architekta Rastrelli Andrejewskaja Cerkiew. Było jeszcze sporo innych świątyń, ale nie pamiętam już ani ich nazw, ani wyglądu.

* * *

Kreszczatik za Dumskim placem dochodził do miejsca, w którym w prawo skręcała ulica Aleksandrowska, w lewo zaś ulica bodajże Podolska, schodząca w dół do Podołu.

U wylotu Kreszczatiku znajdowało się wejście do najbardziej malowniczego zakątka Kijowa – Ogrodu Kupieckiego. Prowadziła doń szeroka, wysypana piaskiem i wysadzana rabatami pięknych kwiatów aleja. Mijało się ukryty w drzewach budynek. Nie pamiętam już, czy był to gmach filharmonii, czy konserwatorium – dość, że odbywały się tam w sporej sali koncertowej recitale znakomitych wirtuozów i koncerty symfoniczne. Przy końcu alei, wśród pięknych starych drzew, stał okazały, otoczony oszkloną werandą budynek restauracyjny. Siedząc na werandzie lub na zastawionym stołami placu można było, jedząc obiad czy kolację, napawać się widokiem Dniepru płynącego u stóp wzgórza.

Na wiosnę, gdy rzeka wylała, zatapiając nędzne zabudowania Słobódki i Truchanow-Ostrowa, bezkresna równina lewobrzeżnej Ukrainy zamieniała się w laz-

rową, sięgającą horyzontu taflę wody. Gdyby nie wystające z zalewu drzewa, rozsiane tu i tam dachy domów, można by mniemać, że Kijów leży nad morzem. Na tle tej lazurowej gładkiej tafli wody zieleniały wzgórza Włodzimierskiej Górki i rysowała się olbrzymia sylweta pomnika św. Włodzimierza. Patron Kijowa spoglądał z wysokiego cokołu na płynący u jego stóp Dniepr, dzierżąc w ręku wielki krzyż. Wieczorami krzyż zapalał się światłem żarówek i jarzył się na tle szmaragdowego, coraz bardziej ciemniejącego nieba.

Na werandzie restauracji zapalały się światła, jaśniała biel obrusów, czerniały fraki kelnerów. Przyciszony gwar rozmów ginął wśród drzew w wieczornej ciszy, tylko z głębi restauracyjnej sali dochodziły dźwięki dyskretnej muzyki. To czarny jak smoła Rumun Stefanescu popisywał się wirtuozerską grą na cymbałach. Przyjemnie było w tym niezwykle romantycznym otoczeniu zasiąść do dobrego obiadu lub kolacji. A jadało się w Kupieckim Ogrodzie doskonale. Nigdzie chyba nie podawano tak znakomitego „małorosyjskiego barszczu”, tak smacznej „kulebiaki”, kaszy



a la *Dragomirow*, wszelakich ryb i innych specjałów rosyjskiej i europejskiej kuchni.

Nie pamiętam już, w którym to roku przed bramą Kupieckiego Ogrodu wzniesiono dość niefortunny, półkolisty pomnik Aleksandra II – „caria oswobodiciela”.

Na rogu Kreszczatiku i ulicy Aleksandrowskiej mieścił się polski klub „Ogniwo”. Klub zajmował ogromny budynek. Była tam obszerna, otoczona marmurowymi kolumnami sala balowa ze sceną w głębi, duża sala restauracyjna z paroma gabinetami, sala bilardowa, szereg pokoi konferencyjnych i saloników, używanych na różnego rodzaju konferencje i zebrania. Dobrze była wybrana nazwa klubu. „Ogniwo” łączyło istotnie całe niemal społeczeństwo polskie Kijowa. W „Ogniwie” odbywały się wszystkie niemal ważniejsze zebrania, konferencje i odczyty. W sali balowej w karnawale odbywały się polskie bale, a od czasu założenia Polskiego Towarzystwa Miłośników Sceny aż do otwarcia polskiego teatru w gmachu przy ulicy Meryngowskiej – polskie przedstawienia teatralne. Na niewielkiej scenie „Ogniwa” grywali znakomici polscy aktorzy przybywający na gościnne występy ze Lwowa, Warszawy i Krakowa, wystawiając pod dyktando najpierw Teodora Stanisławskiego, a potem Rychłowskiego szereg polskich sztuk, komedii i dramatów. Przez sceny „Ogniwa” i teatru polskiego na Meryngowskiej przewinęli się artyści tej miary, co Frenkiel, Feldman, Jaracz, Fertner, Gellówna, Wysocka, Lucyna Messal i wielu, wielu innych.

W owych czasach nie bywałem jeszcze, oczywiście, na balach. Dużą jednak atrakcją było przyglądanie się przygotowaniom, które w naszym domu bał poprzedzały. Zaczynało się od częstych wizyt u krawcowej pani Rochackiej, w których czasami towarzyszyłem mojej matce. Pani Rochacka mieszkała przy ulicy Kościelnej. Wiadomo było, że przeglądanie żurnalów, dobieranie materiałów, koronek i modnych wówczas ozdób nie skończy się tak prędko. Z rezygnacją więc zasiadałem w małym saloniku, oczekując aż się panie nagadają do woli i skończą przymiarkę. Dla skrócenia czasu przyglądałem się wiszącej na ścianie, oprawnej w czarną ramę reprodukcji, przedstawiającej pogrzeb księdza Robaka lub próbowałem zainteresować się żurnalami z wizerunkami pań o wciętych taliach, szerokich, kloszowych spodnicach i bufiastych rękawach.

Najzabawniejszy jednak był zamęt, poprzedzający wyjazd na bal moich rodziców. Zawsze trzeba było w ostatniej chwili coś jeszcze skrócić czy podłużyć, wyprasować pomietą koronkę, przyszyć guzik do frakowej kamizelki ojca. Służąca z wypiekami na twarzy poma-

gała ubierać się matce, podczas gdy ojciec, świeżo wygolony i już prawie ubrany, chodził w tzw. „bindzie” na wążach. I oto matka ukazywała się nareszcie w pięknej, powłóczystej sukni, przymglonej tiulem, na którym mieniły się, niby krople rosy, złote „pajety”. Teraz z mahoniowego biurka wyjmowało się szkatułkę i matka wydobywała z niej broszkę, pierścionki i bransoletki. Parę kropli perfum, batystowa chusteczka, rękawiczki i „*Gdzie rękawiczki? Przecież tu leżały!*”. Chwila gorączkowych poszukiwań, w które cały dom był zamieszany, i oto matka już naciąga długie białe rękawiczki, na których błyszczy złota bransoletka. Perfumy pachną w całym mieszkaniu. Ojciec spogląda na zegarek. „*No, już czas! Czy już zajeżdża?*” Na bal jeździło się wynajętą w „Tatarsalu” kareta. Biegłem do okna. Przed domem stała kareta zaprzężona w parę koni.

Teraz jeszcze futra, papucie, balowa, mieniąca się paciorkami torebka, wachlarz ze strusich piór. Pożegnanie. „*Idź zaraz spać, bo już bardzo późno*”. Z okna widzę, jak wsiedli do karety. Trzaśnięcie drzwiczek. Turkot. Pojechali.

Ale oprócz bali w klubie „Ogniwo” odbywały się imprezy dla mnie bardziej atrakcyjne, jako że brałem w nich bezpośredni udział. Były to lekcje tańca. Odbywały się one każdej niedzieli o piątej po południu w sali balowej. Przewyciężywszy pierwszą nieśmiałość i młodzieńcze opory poszedłem, acz niechętnie, na pierwszą lekcję. Wkrótce jednak przekonałem się, że na lekcjach tańca bawię się doskonale i wyczekiwałem już później z niecierpliwością chwili, gdy wypomadowany fiksatuarem, w czystym kołnierzyku i paradnym mundurze, świeżo zaprasowanych spodniach „z kłosem”, wkroczę na salę „Ogniwa”.

Naszym profesorem tańca i dobrych manier był baletmistrz opery kijowskiej pan Lange. Mistrz Lange, mocno zrusyfikowany Polak, mówiący łamaną polszczyzną, był to niski, zdradzający skłonności do tuszy brunet. Do mało myślącej twarzy miał przyklejony, zawsze ten sam, zawodowy uśmiech, obnażający śnieżnobiałe zęby. Krucze włosy, przedzielone nieskazitelnym przedziałem, nosił gładko przyлизane i lśniące od brylantyny. Poruszał się niezwykle lekko, wykonując nogami wyrafinowane ozdobne ruchy.

Ustawiano nas w szereg, na przemian chłopców i dziewczęta. Zaczynało się od „*balancer*” (franc. równoważyć – *przyp.* JF). Potem następował ukłon głową i bardziej skomplikowane figury. Jakaś polka-kokietka, *pas de patineure*, klawata, walc, kadryl i wreszcie – mazur. Wszystko to odbywało się przy akompania-

mencie zawsze tych samych melodii wyklepywanych przez śmiertelnie znudzonego tapera (franc. uderzać; tu: pianista, grajek – *przyp. JF*).

Bawiliśmy się doskonale. Stawialiśmy pierwsze kroki na trudnej drodze towarzyskiego wyrobienia, szarmanterii i elegancji. Uczyliśmy się sztuki prowadzenia towarzyskiej konwersacji, podobania się damom, nawet kokieterii. Przede wszystkim jednak nauczyliśmy się tańczyć. Z początku niemałe były z tym kłopoty. Nogi płątały się i zwłaszcza na zakrętach zaplątywały na węzłki. Mistrz Lange, pomagając sobie nogą, odplątywał te zakrętasy i doprowadzał nas z powrotem do pozycji zasadniczej.

Jak już wspominałem, od Kreszczatiku w prawo szła ulica Aleksandrowska. Wznosiła się wzdłuż Carskiego

Ogrodu w górę, aż do ukrytego w głębi parku cesarskiego pałacu, w którym zamieszkiwał Mikołaj II w czasie swego pobytu w Kijowie. Po prawej ręce mijało się neoklasycyzyzm gmach muzeum. Im wyżej, tym szerszy otwierał się widok na Kijów, na Kreszczatik przecinający górzyste miasto, na wieże i złote kopuły cerkwi. Na pierwszym planie, wśród drzew, stał wzniesiony wielkim kosztem pałacyk Horodeckiego. Dziwny ten czekoladowego koloru budynek dosłownie oblepiony był całą menażerią realistycznie rzeźbionych słoni, lwów, małp, wężów, tygrysów, które stały, pełzały i wieszały się na gzymsach, portalach i tarasach domu.

Ulica Aleksandrowska dochodziła do najbardziej arystokratycznej dzielnicy Kijowa – Lipek. W gęstwie drzew, wśród ogrodów i sadów stały tam zaciszne pała-



cyki i wille bogatych przemysłowców, kupców, wyższych urzędników i wojskowych, ziemian i arystokracji.

W inny zupełnie świat wiodła zbiegająca od Kreszczatiku ku Dnieprowi ulica Podolska. Dochodziło się nią do nisko położonej nad rzeką handlowej dzielnicy Kijowa – Podolu. Już zaraz za Kreszczatikiem spotykało się zupełnie inną publiczność. Naładowane towarem, drzewem lub ceglami wozy zjeżdżały z hałasem po błotnistym bruku. Trotuarami szły grupy robotników, śpieszących do fabryk, szły okutane w chustki baby z konwiami mleka na plecach, szli tragarze dźwigający jakieś pakunki, pielgrzymi śpieszący do Piecerskiej Ławry lub Sofijowskiego Soboru, handlarze tandety, niosący na targ swój nędzny towar, słowem – cały ten hałaśliwy i zaaferowany swoimi sprawami tłum, zapowiadający zbliżanie się do dzielnicy handlu i biedoty.

Co roku w okresie karnawału odbywały się na Podole słynne kijowskie „Kontrakty”. Miały one od dawna ustaloną sławę. Pomimo zmieniających się warunków do moich czasów utrzymała się ich tradycja i podobnie jak ongiś, w czasie ich trwania miasto roilo się od przyjezdnych, huczało od zabaw, sklepy pomieścić nie mogły nagromadzonych towarów, a pieniądze szeroką złotą strugą przelewały się z rąk do rąk, łącząc swój brzęk z szumem lejącego się strugami wina.

Na Podole, u stóp Włodzimierskiej Górki, mieściła się na obszernym placu wielka kontraktowa hala. Miejscowi i przyjezdni kupcy otwierali tam swoje stoiska. Obok tłoczyły się setki pobudowanych *ad hoc* kramów, tworząc prowizoryczne, hałaśliwe i malownicze miasteczko.

Kto żył w Kijowie – spieszył na Podół, by przyjrzeć się rozłożonym w hali kontraktowej towarom, krążyć po wąskich, utworzonych przez kramy uliczkach, przysłuchiwać się zgłębki i nawoływaniom sprzedawców, zachwalających swój towar, nakupować potrzebnych, a najczęściej niepotrzebnych sprawunków. Bo też czego tam nie było? Czarni, wąsaci Persowie rozwiesili wzorzyste, mieniające się barwami dywany, brodaci kupcy moskiewscy w tufubach, przepasanych fartuchami, sprzedawali siomgę, bielugę, różowe łososie, olbrzymie jesiotry lub czerpali łyżkami z wielkich kadzi astrachański kawior. Tam znów Turek w fezie zachwalał słodkie sorbety, różnokolorowe rychatłakum i pastilę. Grek obłupywał wielkim nożem chałwę z olbrzymich białych i czekoladowych bloków. Ówdzie okutana w chustkę baba zachwalała rozgłośnie nieżyńskie ogórki i kiszony w wodzie jabłka, a wędrowny kuchmistrz rozniósł świeżo usmażone bliny. W kramach piętrzyły się

żyrardowskie płótna, cienkie sukna, barwne perkale, jedwabie i puszyste aksamity. Pachniały warszawskie mydła i kolońskie wody, zwisały błamy kosztownych futer, sławuckie burki, pęki juchtowych butów i walenek, czerwieniły się safianowe tureckie pantofle. Kosołki Chińczyk, zamiatając długim lśniącem warkoczem, sprzedawał cienką „czeczunczę”. W gablotach skrzyła się biżuteria, błyszczały srebrne i złote wyroby. Tam znów lśniły brzuchate tulskie samowary. Nęciły smak i powonienie piramidy jabłek, pomarańcz, mandarynek i daktyli, suszonych śliwek i moreli, osmażanych w cukrze owoców, cukierków i czekolady.

W osobnych dzielnicach tego zaimprovizowanego miasteczka gęgały gęsi, gdakały kury, porykiwało bydło i kwiczały świny. Przybyli na kontrakty rolnicy z uwagą oglądali nowe typy narzędzi rolniczych, naradzali się nad kupnem jaskrawo pomalowanych siewników i pługów, lokomobil i młocarni.

Gwar i hałas panował nieopisany. Do nawoływania sprzedawców, przekrzykujących się wzajemnie, dołączała ochrypły bek gramofonów, nadających przez długą, lakierowaną na niebiesko tubę arie operowe lub popularnego walca „Na sopkach Mandżurii”. Handlarze tradycyjnych kontraktowych zabawek trzaskali w metalowe sprężynki, zwane „trik-trak”, demonstrowali pajace, przewracające się po pochyłej deseczce koziołki, wystrugane z drewna niedźwiedzie, mocujące się przy poruszaniu dwóch deseczek, popularne „wańki-wstańki” lub nadymali przezroczyste baloniki w formie kielbasek zakończonych twarzą z rożkami, a potem wypuszczali z nich powietrze, które uchodząc przez piszczalkę wydawało żalosny, przeciągły pisk. Były to tzw. „umirajuszczycie czortiki”, najbardziej popularny i charakterystyczny dla kontraktów kijowskich artykuł. Bez „umirajuszczyka czortika” nikt bodaj nie wracał do domu, a w szkołach stanowiły one przez dłuższy jeszcze czas po kontraktach źródło udręki dla nauczycieli.

Tłumy taplały się w rozmiętym śniegu, udeptanym setkami nóg. Pomiędzy kramami, ze świadomą swą władzą powagą, przechadzał się „stójkowy”, podejrzliwie rozglądając się za złodziejami i z pełną zrozumienia pobłażliwością obserwując pijaków, desperacko trzymających się latarni.

Podczas kontraktów Kijów zapędniał się Polakami. Przez ulice Kijowa, przez sale „Ogniwa”, Teatru Polskiego, klubów i restauracji przesuwali się sylwetki zamaszystych, ogorzałych ziemian, zawadiackich hreczkosiejów, którzy sprzedawszy pszenicę i odstawwszy buraki, przyjeżdżali do Kijowa ulżyć nabrzmiałym kie-

szeniom. Przyjeżdżali wielcy panowie, właściciele tysięcy hektarów i drobni dzierżawcy, oficjaliści i ekonomowie. Przyjeżdżali potentaci finansowi z okolicznych guberni, z Moskwy, Petersburga czy Warszawy, i pomniejsi właściciele firm kupieckich czy przemysłowych, popatrzyć na wielki świat, przy dźwiękach muzyki i brzęku kieliszków zapomnieć o domowych kłopotach, porobić konieczne zakupy, „nabrać” na suknię dla małżonki, a nieraz i stargować mająteczek, znaleźć dzierżawcę lub wystarać się o lepszą posadę.

Wśród tych przyjezdnych uwijali się przedstawiciele finansów i kupiectwa, adwokaci i zwykli „hadataje”, lekarze, przemysłowcy, inżynierowie. Działacze społeczni, politycy, publicyści i literaci korzystali z tego zjazdu Polaków do Kijowa, by prowadzić wśród nich robotę organizacyjną, zakładać nowe placówki społeczne i kulturalne, a przede wszystkim zdobywać fundusze do dalszej roboty.

Wśród zabawy i wesołej rozmowy orędownicy polskiej sprawy czyhali na swe ofiary. Niejeden z rozbawionych beztrosko obywateli, zasiadłszy przy zastawionym stole w nadziei wesołego spędzenia wieczoru w gronie przyjaciół, pod koniec kolacji poważniał, zamyślał się marszczył czoło, by wreszcie sięgnąć do portfela i z rozmachem rzucając na stół garść banknotów zawołać: „*Zresztą, pal diabli, masz pan na swoją robotę*”.

Bardziej lekkomyślni spędzali wieczory, przeciągające się zwykle do rana, w przybytkach lekkiej muzy – w kabarecie „Apollo” na Meryngowskiej lub w „Chateau de fleurs”.

Opowiadano o incydencie, który wydarzył się pewnego wieczoru w „Apollo”. Było to już w czasie pierwszej wojny światowej. Bawił tam właśnie w wesołej kompanii rotmistrz Tadeusz Żółkiewski, wślawiony bohaterskim przepłynięciem Sanu pod gradem kul na czele swego szwadronu. Za ten czyn wyjątkowej odwagi został odznaczony nie tylko Krzyżem św. Jerzego, ale także tzw. „Złotym Georgijewskim Orużjem” (Złotą Szablą) – odznaczeniem nadawanym dotychczas tylko Rosjanom. Żółkiewski był pierwszym Polakiem, który order ten otrzymał. Podczas wesołej zabawy rotmistrz Żółkiewski podchmielił sobie, a że był awanturniczego z natury usposobienia, wywołał jakąś grubszą awanturę. Sprowadzono patrol wojskowy, który chciał Żółkiewskiego aresztować. Ten jednak, choć już mocno miał w czubie, nie zapomniał o przysługujących mu uprawnieniach.

– *Co?* – zawołał. – *Wy chcecie mnie aresztować? Mnie, georgijewskiego kawalera? Mnie, odznaczonego*

„Georgijewskin Orużjem”? A gdzie sztandar? A gdzie orkiestra? A gdzie rota? Poszli won! Jak sprowadzicie, co trzeba – pójdę sam. Inaczej mnie nie dostaniecie.

Istotnie, był taki przepis. Kawalera św. Jerzego można było aresztować tylko w asyście sztandaru pułkowego i orkiestry. Sprowadzono więc pluton kawalerii, przyniesiono sztandar, zagrzała orkiestra i dopiero wtedy rotmistrz Żółkiewski dał się wyprowadzić.

Bywały też mniej dramatyczne, ale nie mniej charakterystyczne epizody. Pewnego wieczoru w jednym z gabinetów przylegających do wielkiej restauracyjnej sali „Ogniwa”, szczelnie wypełnionej najwytworniejszą publicznością, siedziało kilku doskonale bawiących się panów. Kieliszki gęsto krążyły przy biesiadnym stole. Rozmowa zesłała na zagadnienie zręczności. Coraz to któryś z biesiadników przechwalał się jakimś wyjątkowo zręcznym osiągnięciem.

– *Wszystko to mi nie imponuje* – wtrącił jeden z panów. – *Jeśli pan pozwoli* – zwrócił się do swego sąsiada – *to w przeciągu pięciu minut, z zegarkiem w rękę, odpruję panu wszystkie guziki, które pan ma na sobie i przyszyję je z powrotem.*

– *To niemożliwe! Nikt tego w pięć minut nie zrobi!* – posypały się protesty.

– *Idę o zakład!* – rzekł, uśmiechając się, wnioskodawca. – *Stawiam 100 rubli. Jeśli w pięć minut wszystkie guziki pańskie nie zostaną odprute i przyszyte z powrotem – 100 rubli są pańskie.* I rzucił na stół banknot sturublowy.

Była to na owe czasy duża suma.

– *Dobrze. Zgadzam się. Niech pan odpruwa!*

Przyniesiono nożyczki i zaczęło się gorączkowe ucinanie guzików. Reszta biesiadników powyciągała zegarki i w milczeniu obserwowała przebieg zakładu. Minęły dwie minuty, potem trzy, cztery... Delikwent siedział doszczętnie porozpinany. Pozostawało jeszcze kilka guzików przy koszuli. Wreszcie odpadł ostatni.

– *Pięć!* – zawołał ktoś z obecnych. – *Przegrał pan.*

Inicjator zakładu roześmiał się i skłonił głowę.

– *Tak, rzeczywiście przegrałem. Bardzo mi przykro. Oto sto rubli.*

Zebrani wybuchli śmiechem. Niefortunny zwycięzca trzymał w garści poszczególne części ubrania, nie wiedząc, czy cieszyć się z wygranej, czy smucić. Dopiero sprowadzony krawiec uratował sytuację.

W okresie karnawału i kontraktów odbywało się w Kijowie szereg balów, zarówno publicznych, jak i prywatnych. Niewiele wiem o balach oficjalnych. Za to wiele nasłuchałem się opowieści o balach, wydawanych

przez różne stowarzyszenia polskie. Najczęściej dochód z tych zabaw przeznaczano na jakiś cel dobroczynny czy społeczny. Tak np. odbywał się co roku bal na rzecz Polskiego Towarzystwa Dobroczynności i na pomoc dla studentów Polaków. Powoływano zwykle Komitet Gospodyń, do którego zapraszano żony najwybitniejszych przedstawicieli społeczeństwa. Zadaniem tego komitetu było rozprzędanie biletów. Rzadko się zdarzało, by bilet sprzedano za nominalną cenę. Naddatki bywały duże, niejednokrotnie dochodzące do stu i więcej rubli.

Bale, zazwyczaj urządzone w „Ogniwiu”, bywały wspaniałe. Piękne toalety, blask brylantów i pereł rywalizował z wyszukaną elegancją i zamaszystą wesołością. Do największego szyku należały czerwone fraki i krótkie czarne spodnie. Bywało jednak takich strojów niewiele. Były zbyt kosztowne. W 1912 r. w salach „Ogniwa” odbył się „bal napoleoński”, urządzony pod znakiem napoleońskiej rocznicy. Obowiązywały „*Têtes parées*” (franc. ozdobne głowy – *przyp. JF*): peruki, fryzury *à la Josephine*, fryzury *Directoire*, fryzury *Coup de vent* (franc. podmuch wiatru – *przyp. JF*). Jedna z pań wystąpiła w sukni swojej prababki. Jeden z tancerzy (Stanisław Jezierski) – w autentycznym mundurze szwoleżerskim swego pradziada.

Raz do roku Polskie Towarzystwo Dobroczynności urządzało w obszernej sali na Kreszczatiku wielki kiermasz, z którego cały dochód przeznaczony był na tę instytucję. W kioskach panie sprzedawały zabawki, pamiątki, cukierki, szampan i różne drobiazgi. Ze względu na cel, przyświecający tej imprezie, społeczeństwo polskie uważało za swój obowiązek nie tylko pokazać się na kiermaszu, ale także poddać się obowiązującej tam *karocie* (franc. zbieranie datków, kwesta – *przyp. JF*) i pozostawić w rękach eleganckich sprzedawczyń zawczasu przygotowane pieniądze. Czyniono to z wdziękiem i szerokim gestem. Zdarzało się, że za zjedzony w kiosku cukierek płacono sto i więcej rubli. Zdarzało się, że któraś z pań bardziej przedsiębiorczych, zoczywszy zbliżającą się „grubą rybę”, podawała z czarującym uśmiechem kieliszek szampana, a potem, z równie czarującym uśmiechem, wyjmowała z rąk swej ofiary portfel i wykladała całą jego zawartość na tacę, mówiąc: „*Mam nadzieję, że mi pan wybaczy ten rabunek. Przecież to na nasze Towarzystwo*”. A ofiara uśmiechała się szarmancko i odpowiadała, całując damę w rękę: „*Ależ naturalnie. Czyż może być coś przyjemniejszego, jak być obrabowanym przez tak uroczego rozbójnika!*”

Mieszkała wówczas w Kijowie przemiła, ruchliwa, pełna życia staruszka – pani Ksawera Chojcka. W kar-

nawale wydawała w swym pięknym mieszkaniu bal dla znajomych. Nazajutrz opowiadano sobie o tym, jak się u pani Ksawery doskonale bawiono, zachwycano się wdziękiem, z jakim umiała gości swych przyjmować, każdemu z nich powiedzieć coś specjalnie przyjemnego, po mistrzowsku poprowadzić i podtrzymać w salonie rozmowę. Wszystkie te zalety towarzyskie już wtedy zaczynały zanikać. Zwłaszcza zaś zanikała sztuka prowadzenia konwersacji – dziś już całkowicie zapomniana.

Roilo się w ówczesnym Kijowie od oryginałów, od ludzi ciekawych, obdarzonych bujnym, czasem nawet nieposkromionym temperamentem, od zawadiaków, trwoniących czas i pieniądze na hulanki, i od ludzi oddanych całkowicie pracy, pełnych inicjatywy, ofiarności i poświęcenia. Byli tam przedstawiciele najbogatszych rodów o milionowych fortunach. Byli ludzie pochodzący z bardzo skromnego środowiska, którzy własną pracą, zdolnościami, przedsiębiorczością, potrafiliby się wybić, a niekiedy dorobić pokaźnego majątku. Byli działacze społeczni, politycy, znakomici uczeni, lekarze, rolnicy i finansisci, literaci i poeci, sławni artyści i zwykli groszorozy. Byli ludzie o najwyższej, wyrafinowanej kulturze, esteci i erudyci, i byli ludzie prości i niewykształceni, cisi pracownicy, ciężko zarabiający na kawałek chleba. Wszyscy oni jednak dziś, gdy ich wspominam, wydają mi się jacyś inni, bardziej dynamiczni, pełni swoistego charakteru, jakby zestroszeni z otaczającą ich bujną ukraińską przyrodą, dopasowani do urodzajnych, bezkresnych przestrzeni, wśród których wyrosli, żyli, bawili się i pracowali.

Wszystkich tych ludzi, zarówno biednych, jak i bogatych, charakteryzował szeroki gest i polot, idący z wołyńskich pól, podolskich jarów i malowanych kwieciami, owianych wiatrem ukraińskich stepów. Na tym terenie nie było miejsca – a raczej było go za dużo – na krupiarstwo, na szarzyznę życiową i meskinierię. I dlatego może tamte czasy, które „przeminięły z wiatrem”, tyle mają w sobie uroku i pozostawiły w sercach ludzi, którzy je pamiętają, wspomnienia pełne romantycznego sentymentu.

KONIEC

Słowniczek ulic kijowskich wymienionych we wspomnieniach W. Bartoszewicza

Aleksandrowska – zbudowana w latach 1830., od 1860 Aleksandrowska, od 1919 ul. Rewolucji, od 1934 ul. Siergieja Kirowa, dziś ul. Mychajła Hruszewskiego.

Funduklejewska – dawniej ul. Kadecka, od 1869 ul. Funduklejewska, od 1919 ul. Włodzimierza Lenina, dziś ul. Bohdana Chmielnickiego.

Instytutka – dawniej Droga Iwanowska, ul. Begiczewska, od 1842 ul. Instytutka, od 1919 ul. 25 Października, od 1944 ul. Rewolucji Październikowej, dziś ul. Instytutka, w części ul. Niebiańskiej Sotni.

Kreszczatik (Chreszczatyk) – dawniej Kreszczata Dolina, Jewsiejkowa Dolina, Piaski, zabudowa Kreszczatika od XVIII w., od 1891 tramwaj konny, od 1892 tramwaj elektryczny, od 1935 trolejbus, zburzona przez Niemców, po wojnie Kreszczatik poszerzono dwukrotnie, od 1960 metro.

Marino-Błagowieszczeńska – zbudowana w l. 1840. jako Mała Żandarmska i Wielka Żandarmska, połączone w 1881 w Żandarmską, później zwaną Mariińsko-Błagowieszczeńską, od 1919 ul. Leonida Piatakowa, od 1937 ul. Panasa Saksagańskiego.

Meryngowska – zbudowana w l. 1880. jako Meryngowska, od 1937 ul. Abulkasima Firdousi, od 1944 ul. Marii Zańkowieckiej.

Michajłowski pierieutok – założony w l. 1830.

Nikołajewska – powstała w l. 1880. jako Nikołajewska, od 1919 ul. Karola Marksa, dziś ul. Architekta Władysława Horodeckiego.

Nestorowska – znana od 1869, w części jako Nestorowska, w części Afanasjewska, od 1926 ul. Iwana Franki.

Podolska – przebita w stoku góry w 1711 r. droga, zwana później ul. Mostową, Aleksandrowskim spuskiem, a od lat 1950. Władimirskim spuskiem.

Podwalna – zbudowana w l. 1840. w miejscu wału obronnego jako Podwalna, od 1869 Jarosławów Wał, od 1928 ul. Klimenta Woroszyłowa, od 1957 ul. Andreja Połupanowa, od 1963 Wielka Podwalna, od 1977 ponownie Jarosławów Wał.

Proreznia – znana od 1840 jako Proreznia, później Martyńska, Żołotokreszczatiska, Wasylczykowska, od 1919 ul. Jakowa Swierdłowa, dziś ponownie ul. Proreznia.

Puszkinińska – znana od poł. XIX w. jako Jelisawietinińska, od 1869 Nowojelisawietinińska, od 1899 ul. Puszkinińska.

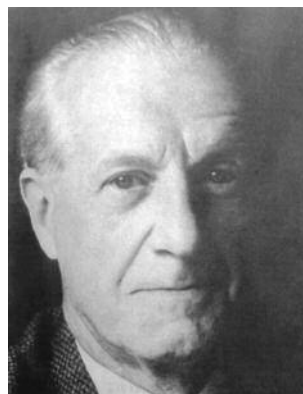
Stołypinowska – znana od poł. XIX w. jako Małowłodzimierska, od 1911 Stołypinowska, od 1919 ul. Grigorija Gerszuni, od 1937 ul. Władimira Kecchoweli, od 1939 ul. Walerija Czkałowa, dziś ul. Ołesia Honczara.

Timofiejewska – później Ilji Repina, dziś ul. Tereszczenkowska.

Triochswiatitielska – znana w XVII w. jako Triochswiatitielskaja, od l. 1830. Teatralna, od 1919 Ofiar Rewolucji, od 1955 Bohaterów Rewolucji, dziś ul. Triochswiatitielska.

Włodzimierska – powstała w czasach Rusi Kijowskiej, w 1869 połączona z 4 ulic jako Wielka Włodzimierska, krótko ul. Władimira Korolenki, później ul. Włodzimierska.

Sporządził: Janusz FUKSA



Włodzimierz Joachim BARTOSZEWICZ (ur. 3 lipca 1899 we Lwowie, zm. 8 sierpnia 1983 w Poznaniu) – polski malarz, grafik i ilustrator.

Włodzimierz Bartoszewicz urodził się we Lwowie i był synem Joachima oraz Marii Magdaleny z Jełowickich. W gimnazjum w Kijowie zdał maturę w 1917 r., a następnie studiował prawo na Uniwersytecie Poznańskim i w 1923 r. uzyskał stopień magistra ekonomii. W tym samym roku wstąpił do Szkoły Sztuk Pięknych w Warszawie, gdzie studiował pod kierunkiem prof. Janusza Kotarbińskiego, Władysława Skoczylasa, Wojciecha Jastrzębowskiego, Edmunda Bartłomiejczyka i Tadeusza Pruszkowskiego.

Od 1929 r. prezes grupy malarzkiej „Szkoła warszawska” oraz stowarzyszenia „Ars christiana”. W 1930 r. ukończył studia i brał udział w pierwszej wystawie „Szkoły warszawskiej”. W Genewie w 1931 r. był jednym z organizatorów, kierownikiem artystycznym wystawy grup „Bractwa św. Łukasza” i „Szkoły warszawskiej”. Wystawiał od tego czasu prace zarówno w kraju jak i za granicą (Bukareszt, Berlin, Londyn, Nowy Jork, Chicago). W 1936 r. w Warszawie w „Zachęcie” i w Brukseli w „Palais des Beaux Arts” odbyły się wystawy indywidualne jego prac. Uprawiał rysunek. Tworzył karykatury, ale także portrety. W twórczości jego pojawia się również tematyka religijna i historyczna, tworzył pejzaże i martwą naturę. W jego przedwojennych karykaturach obecne są też silne wątki antysemickie. Niektóre z takich rysunków pokazano na przełomie 2013 r. i 2014 r. w Żydowskim Instytucie Historycznym w Warszawie.

Organizował plenery w Kazimierzu Dolnym, opisał je w „Budzie na Powiślu”.

Okres okupacji i początkowy okres po wyzwoleniu spędził w Kielcach, gdzie w Urzędzie Wojewódzkim był kierownikiem Wydziału Kultury i Sztuki. Przeniósł się w 1948 r. do Poznania, gdzie poświęcił się pracy artystycznej.

Od 1935 był żonaty z Marią Magdaleną Dunin-Borkowską. Był synem Joachima Bartoszewicza, jednego z liderów obozu narodowego. Postać swojego ojca, losy swoje i swojej rodziny na tle „sprawy polskiej” opisał w swoich wspomnieniach („Mój ojciec i jego czasy. Wspomnienia z lat 1867–1920”).

Małgorzata Żurecka

NA DNIĘ CZARNEGO PIÓRNIKA

Kochana Córeńko,

Wczoraj porządkowałam moje pamiątki (wiesz, że mam ich sporo i lubię je gromadzić) i pośród nich znalazłam czarny, drewniany piórniki z mojego dzieciństwa. Dostałam go od mojej Matki, a Twojej Babki, a Ona od swojego Ojca, czyli Twojego Pradziadka. Podobno kupił go jeszcze przed drugą wojną światową w żydowskim sklepiu. Na wewnętrznej stronie wieczka piórniki znajdują się inicjały Matki, namalowane Jej ręką.

Nie nosiłam w nim przyborów do szkoły, bo był za duży, za ciężki, no, i... wydawał mi się brzydki. Jednakże bardzo go lubiłam i służył mi za schowek na moje dziecięce skarby: a to kamyk, a to kolorowe szkiełka lub też zasuszony kwiatek; był tam nawet mój mleczny ząb.

Wręcz nie mogę uwierzyć, że przetrwał tyle lat, pewnie ze sto. Owszem uciepiał – jest popękany i gdzieś obdarty z farby, ale jeszcze nieźle się trzyma. Nie pamiętałam co ukrywał przez ostatnie lata, więc z wielką ostrożnością i zaciekawieniem otworzyłam ten zaczarowany świat z mojego dzieciństwa.

Jakież było moje zdumienie, gdy ujrzałam w środku – śmiesznie dzisiaj wyglądającą – domowej roboty podwiązkę do bawełnianej, dziecięcej pończoszki... z czasów, kiedy miałam siedem lat, na progu szkoły podstawowej. Zapewne jeszcze moja Matka ją tam schowała, dla mnie, na pamiątkę.

Zaraz ożyły we mnie wspomnienia z chwil przeżytych przed pójściem do szkoły, pomiędzy wcześniejszym okresem mojego dziecięcego chorowania i późniejszym, tym z długim pobytem w sanatorium. Nad małżeństwem rodziców gromadziły się już wtedy ciężkie chmury..., ale o tym tamta mała dziewczynka nie mogła jeszcze wiedzieć.

A więc wydawało się wtedy, że ten szczegół dziecięcego stroju odejdzie w niepamięć, a tu proszę... Na pewno jesteś ciekawa co się wtedy wydarzyło? – Zaraz ci opowiem.

– Helikopter przyleciał!.. Helikopter!.. Helikopter!.. – krzyczały podblokowe dzieciaki i pędziły, by go zobaczyć. Przecież już za kilka chwil miał wylądować na boisku pobliskiego stadionu. Już nawet słyszał było warkot silnika...

Nusia biegła co sił w nogach, ale nie szło jej to najlepiej. Była na samym końcu blokowej hałastry, ogromnie zdyszana.

Ostatnio dużo chorowała. Matce było jej bardzo żal, toteż w nagrodę za to, że dzielnie zniosła serię bolesnych zastrzyków, kupiła jej za uciulane z trudem pieniądze wymarzone elastyczne rajstopy w modnym chabrowym kolorze. Była to wówczas, na początku lat 60. XX w., wielka nowość – każda dziewczynka marzyła o takich rajstopach.

Matka nawet pozwoliła jej wyjść w nich na podwórko – ot, tak zwyczajnie, nie z jakiejś specjalnej okazji. Toteż Nusia dumnie i celowo powoli spacerowała w nich pod blokiem... Była zachwycona ich kolorem – dotykała ich co chwilę.

Były takie gładkie, tak ładnie obciskające łydki... Nie tak jak tamte, niciane, wieczniew związające się na kostkach nóg albo spadające z pupy.

Przedtem musiała czasami nosić bawełniane pończoszki przypięte do płóciennego „koszulko-staniczka”, ze śmiesznymi troczkami i metalowymi „żabkami” na końcach. Przypinała je do pończoszek..., a właściwie robiła to matka, bo nie było to łatwe zadanie. Jakże się wtedy wstydziła, gdy spod zbyt krótkiej spódniczki widać jej było skrawki golizny, a chłopaki spod bloku śmiali się z niej!.. Więc obecnie z wielkim zadowoleniem wylapywała zazdrosne spojrzenia koleżanek, które jeszcze nie były szczęśliwymi posiadaczkami takich elastycznych rajstop.

...Teraz jak gdyby pogrążona w głębokim śnie biegła na stadion. Nogi jakoś nie chciały jej nieść tak szybko, jakby chciała. Wydawało się jej, że w ogóle nie porusza się do przodu. Nadal była ostatnia i bała się, że nie zdąży dobiec... a helikopter odleci.

W końcu dotarła do betonowych schodów trybun stadionu. Gdy spojrzała na nie od dołu, schody zdawały się przeogromne, sięgające do nieba... Niezgrabnie przebierała nogami pokonując stopnie – musiała przecież jeszcze wbiec na samą górę, aby zobaczyć płytę boiska i helikopter!

Była już w połowie schodów, gdy nagle potknęła się, a może brakło jej sił. Bezwładnie upadła na chropawy beton schodów, boleśnie zdzierając naskórek na dłoniach – z kolan połała się krew. Gdy się już podniosła z bolesnym „Auuu...” – ujrzała na kolanach dwie wielkie dziury w swoich nowych rajstopkach. A z nich smutnie wyglądały zakrwawione kolanka.

Serce Nusi łomotało jak oszalałe. Przerażona pomyślała, że nie ma po co wracać do domu – przecież matka ją na pewno zabije za zniszczone rajstopy, a domowy „Pan Pasek” ochoczo wylądował na jej głowie i plecach. Helikopter przestał już dla niej istnieć, chociaż ciągle czuła na twarzy drobinki piasku, wzniesione podmuchem wirującego przy lądowaniu powietrza.

Wlokła się sama, noga za nogą, powoli, z wysiłkiem rozmyślając, co by tu powiedzieć matce. Nic wiarygodnego nie przychodziło jej do głowy, a zresztą – cóż by to dało? Dziury przecież i tak od tego nie znikną.

Wśliznęła się bojaźliwie i z wahaniem do ich małego mieszkania... i stanęła w przedpokoju, nerwowo zaplatając nogę na nogę dla zamaskowania choćby jednej z dziur.

– Nie będziesz mnie biła? – zapytała natychmiast od progu.

– A bo co się stało? – matka z kuchni odpowiedziała także pytaniem. Jeszcze nie zdążyła zobaczyć Nusię.

– No, ale – nie będziesz mnie biła? Powiedz, że na pewno mnie nie zbijesz?!...

Po tych słowach matka wyskoczyła z kuchni jak oparzona i zobaczyła na nogach Nusi dwie chabrowe dziury, a w nich czerwone od krwi kolanka. Milczała chwilę... Patrzyła smutnie – i żał się jej zrobiło małej. Powiedziała tylko:

– A gdzieżby tu bić taką bidną dupinę skłutą zastrzykami. Ściągaj mi to zaraz i do łazienki! Już niosę jodynę i przyłepce! Oj, prędko ja ci już takich nie kupię...

Dopiero teraz Nusia rozbeczła się na cały głos. Nie, nie z bólu – z żalu, że nie zobaczyła helikoptera...

...Drugi skarb z piórnika to „święty” obrazek. Wywołał we mnie wspomnienia o czasie, kiedy już byłam dziewięcioletnią dziewczynką. Kiedy miałam za sobą długi okres chorób i pobytu w sanatorium, a także świeży rozwód rodziców i zupełnie nowe, inne życie z matką. Jednak wtedy jeszcze nie wszystkie trudne sprawy pomiędzy rodzicami były ostatecznie załatwione...

Wakacje dobiegły końca i Nusia wróciła do domu. Jeszcze przez kilka dni biegała pod blokiem z dziećmi, grając w dwa ognie albo wijąc się na metalowym trzepaku jak rasowa gimnastyczka.

– Nusia, pamiętasz, co to jutro?

*Gdy dzwoneczek się odezwie
biegniemy do szkoły...*

– przypomniawszy roześmiana mama słowami piosenki.

*...by się uczyć mądrych rzeczy,
pracować jak pszczołki...*

– odkrzyknęła jej Nusia radośnie.

Wraz z nowym rokiem szkolnym zaczęła się też jesienna pogoda – w tym roku prawdziwie „złoto-polska”.

Wtorek, lekcja religii. Zaraz po zajęciach szkolnych Nusia, już trzecioklasistka, starannie przykleiła na pierwszej stronie zeszytu w linię obrazek Pana Jezusa. Unosił On na tym obrazku prawą dłoń, a z jego serca biegły świetliste promienie. Pod obrazkiem napisała, ozdobnie zawijając litery:

JEZU UFAM TOBIE.

Kredkami dorysowała po bokach dwie różyczki i z zadowoleniem wrzuciła zeszyt zatytułowany „Religia” do swojego szkolnego tornistra. I po chwili już szła, lekko podskakując, uliczkami miasteczka, w swoim granatowym szkolnym fartuszu z białym koronkowym kołnierzykiem, w białych podkolanówkach i w lakierkowych półbutkach, zapinanych na pasek z małą sprzączką. Na plecach niosła tornister, w którym wesoło grzechotały zamknięte w tekturowym pudełeczku kredki.

Już nie mogła już się doczekać, kiedy zobaczy Ojca Justyna, ich katechetę, uśmiechniętego dominikanina. Uczył ją religii od pierwszej klasy. Lubiła go – śmieszły ją jego małe okulary oraz kręcone, rudawe włosy.

Kiedy zbliżyła się do wysokiego muru okalającego klasztor, pomyślała: jakże pięknie wyglądają te rudzielone korony kasztanów wyzierające zza muru na tle mocno błękitnego nieba.

Z radosnego zamyślenia wyrwał ją wrzask chłopaków z klasy, przyczajonych za murem:

– Uuuuuuu!

Po chwili już cała Nuśka obsypana była od stóp do głów chmurą liści opadłych z kasztana i przerzuconych przez mur. Śmiała się i otrzepywała; niektóre liście utkwiły jej we włosach i za tornistrem na plecach. Chłopaki darli się na całe gardło:

– Ruda wiewióraaaaa!..

– Ja wam jeszcze pokażę, zobaczycie, wszystko poskarżę księdzu!.. – straszyla ich skrzeczącym głosem, wykrzywiając usta.

Ojciec Justyn w białym habicie, z różańcem przy skórzanym pasku i w skórzanych sandałach na bosych stopach wkroczył dziarsko do salki katechetycznej, gdzie odbywały się lekcje religii. Dzieciaki jak na komendę podskoczyły z drewnianych ławek i wyprostowane głośno krzyknęły:

– Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

– Na wieki wieków. Amen – odpowiedział z uśmiechem.

Lekcja rozpoczęła się modlitwami: Ojcze nasz i Zdrowaś Mario.

– Siadajcie, otwórzcie zeszyty i zapiszcie temat: Skład Apostolski. Byłyście w zeszłym roku u pierwszej Komunii Świętej, więc już wiecie, co to znaczy...

Nie czekając na zezwolenie Nusia podniosła rękę do góry, aby jak najszybciej pochwalić się, że wie. Szybciutko, z dumą wyrecytowała:

– Skład Apostolski to wyznanie naszej wiary – to modlitwa Wierzę w Boga Ojca!

– Świetnie! – uśmiechnął się z uznaniem zakonnik. – A czy ktoś powie nam, jak brzmi ta modlitwa? Proszę... może ktoś na ochotnika?..

Zapadła cisza; teraz już nikt się nie wyrwał.

– No, jednak proszę – mówcie po kolei, tak, jak siedzicie.

Niestety w całej klasie nikt nie potrafił powiedzieć poprawnie modlitwy od początku do końca, tak, jak z modlitewnika. Ojciec Justyn pokiwał z wyrzutem głową:

– Aha, no tak... dla moich dzieciaków ta modlitwa jest za trudna do wykucia na pamięć... no i wakacje zrobiły swoje, pozapominałyście. Jako zadanie domowe macie przypomnieć sobie tę modlitwę. A ja następnym razem przepytam wszystkich, na ocenę.

Pozostała część lekcji przebiegła na opowieściach przygód z wakacji, no i oczywiście na odpytaniu wszystkich po kolei, czy rzetelnie chodzili w czasie wakacji do kościoła na niedzielne Msze święte.

– No i jeszcze, zanim się rozejdziecie, mam jedno ważne ogłoszenie. Uwaga, to dla dziewczynek! – krzyknął Ojciec Justyn do rozgadanych uczniów. – Słuchajcie, słuchajcie! Nasze Bielanki szukają kandydatek chętnych do Służby Maryjnej. Jeśli któraś dziewczynka jest do tego chętna, niech przyjdzie na zebranie do salki katechetycznej numer 5 jutro o 17. godzinie. Tam wszystkiego się dowiedzie od Księdza Witolda, opiekuna Bielanek.

Nusi mocno zabiło serce. Na pewno zapisze się do Bielanek. Też chce przecież nieść podczas procesji poduszkę z pięknymi wstążkami, ubrana w długą szatę – tak samo jak panny, które widywała w kościele w babcinej wsi, Skoszowie. Nie mogła doczekać się jutra i zapowiedzianej godziny – nawet w nocy spała jak mysz pod miotłą, tak bardzo była przejęta.

Ksiądz Witold z zadowoleniem powitał Nuškę. Zapowiedział w tonie wielkiej powagi, że zanim nowoprzybyłe dziewczęta wezmą udział w uroczystej procesji, czeka je dużo pracy, muszą nauczyć się wielu

pieśni, „*ale dokładnie! Aby nie było wstydu, że ostatniej zwrotki nie pamiętają*”, także i wielu modlitw, no i odpowiedniego zachowania.

– Karolina jest najstarsza, więc to ona podyktuje wam kilka pieśni. Jeśli młodsze dziewczynki nie nadążą z zapisaniem, to znajdą te pieśni w swoich książeczkach do modlitwy.

Nusia była najmłodszą z dziewcząt i nie mogła nadążyć z zapisywaniem. Jednak w domu pilnie nadrobiła zaległości – przepisała starannie wszystkie pieśni z książeczki do zeszytu szkolnym piórem zaopatrzonym w stalówkę, co chwilę maczaną w specjalnego kształtu buteleczce napełnionej ciemnogrnatowym atramentem. Pilnie pracowała nad tym popołudniami, nie zaniedbując odrabiania innych lekcji.

Zapełniła pieśniami cały szesnastokartkowy zeszyt w wąską linię. Mama śmiała się z niej:

– Oj, Nusia, Nusia... to ty chyba w końcu świętą zostaniesz?

A ona biegła sumiennie na wszystkie zbiórki Bielanek – nawet późną jesienią, gdy ziąb i słotny deszcz nie zachęcały do wyjścia z domu. Przed snem odmawiała Różaniec i często zasypiając z jego paciorkami w zaciśniętej dłoni marzyła, aby zostać świętą... Może nawet taką, jak święta Tereska, która podobno sama wybiła sobie kamieniem zęby, aby choćby trochę cierpieć tak, jak Pan Jezus.

Z przynależności do Bielanek Nusia była niezwykle dumna. Szczególnie jej się podobał zwyczaj wzajemnego pozdrawiania się Bielanek zawołaniem:

– Cześć Maryi!

Na co należało z wielką godnością odpowiedzieć:

– Cześć i chwała.

To pozdrowienie Nusia wypowiadała głośno, zwłaszcza na ulicy, aby usłyszeli ludzie przechodzący obok. A oni wtedy zazwyczaj ze zdziwieniem, ale bez jednego słowa ją mijali, odwracając jedynie głowy w jej kierunku. Jednak pewnego razu jakiś starszy mężczyzna słysząc te słowa zatrzymał się obok niej. Również nic nie powiedział, ale z groźną miną pogroził jej palcem. Zbita z tropu Nusia po prostu uciekła, nie rozumiejąc powodu niezadowolenia dziwnego jegomościa.

Przyszła Wielkanoc. Nusia na zmianę z innymi Bielankami dzielnie klęczała przez godzinę na twardym klęczniku, z nosem zatopionym w modlitewniku. Jako Bielanka trzymała też wartę przy Grobie Chrystusa. Ojcowie Dominikanie tak pięknie wtedy przystroili kwiatami boczną nawę. W grocie z kamieni leżała figura Chrystusa naturalnej wielkości człowieka. W Dniu Zmartwychwstania zabrano figurę – grób był już pusty.

W zawieszonych wysoko i dlatego niewidocznych klatkach śpiewały kanarki, a zapach kwiatów i budzącej się wiosny potęgował nastrój rezurekcyjnej radości.

To był jej wyjątkowy, poważny udział w uroczystościach kościelnych. Ale najważniejsza dla niej uroczystość dopiero miała nadejść. Oto już wkrótce zwykłe zebrania Bielaneek przekształciły się w próby przygotowywane do udziału w procesji.

Nareszcie czerwiec – Boże Ciało, dzień wspaniałej, niepowtarzalnej, jedynej w roku procesji, z księdzem pod złotym baldachimem, z pachnącym kadzidłem, z feretronami, figurami świętych, poduszkami i śpiewem oraz z dzwoneczkami, które doprowadzały ludzkie serca do drżenia, a dusze niemal ulatywały do nieba.

Podeksytowana Nusia biegła za dziewczynami od Bielaneek, aby czym prędzej dopaść potężnej, drewnianej szafy i dostać się do przechowywanych tam strojów procesyjnych.

Ta szafa-olbrzym, zamykana na kłódkę, stała na jednym z korytarzy wiodących od klasztornej wirydarza.

Stłoczone dziewczęta przepychały się wzajemnie – przecież każda chciała być pierwsza! Niestety, Nusia nie miała w konkurencji z nimi żadnych szans. Kiedy w końcu dobiegła do szafy, zostały w niej już tylko mocno podniszczone stroje krakowskie. Właściwie to już nie miała z czego wybierać.

Na białą bluzeczkę, w której przyszła z domu, włożyła przyciasny gorsecik – z poszarzałymi cekinami, z kotyliem straszącym postrzępionymi wstążkami. A na dodatek przykrótka spódniczka w kwiaty, z gumką w pasie, miała liczne, drobniutkie dziurki wygryzione przez mole (ale na szczęście prawie niewidoczne), a sznurowane trzewiczki z czerwonej skórki trochę ją uwierały. Nusia zazdrośnie zerknęła na starsze dziewczynki – w nowiutkich, błękitnych atlasowych kontusikach obszytych białym króliczym futerkiem, w rogatywkach na głowie, w wysokich do pół łydki, czerwonych kozaczkach, z warkoczami przerzuconymi do przodu – wyglądały naprawdę jak jakieś dumne szlachcianki. Aż blask od nich bił – jak od świętych z obrazów.

Zanim Nusia wreszcie zdążyła się ubrać – już wszystkie feretrony i najładniejsze poduszki zobaczyła w dłoniach koleżanek! Jej pozostała ostatnia – z koroną cierniową.

Niosła ją jako ostatnia w grupie Bielaneek, jakby z wysiłkiem. Na purpurowej aksamitnej poduszce obszytej złotym sznurkiem (zamiast takiej, o której marzyła – atlasowo-błękitnej, z wyszytą perłami literą „M” na cześć Maryi). Czerwona po uszy, ze lśnącymi od

powstrzymywanych łez oczyma. Wydawało jej się, że wszyscy na nią patrzą, uśmiechają się drwiąco i szepczą:

– Ależ ta mała smarkuła BRZYDKA! BRZYDKA!.. I jeszcze ta jej krzywo obcięta grzywka!.. I bez wianuszka na głowie!.. Ha, ha!

Przez całą procesję szła ze spuszczonym wzrokiem, wpatrując się w poduszkę z cierniową koroną, która była upleciona z prawdziwych cierni. Wyobrażała sobie, że ma ją na głowie, że ciernie wbijają się w jej czoło i bardzo ją to boli...

Im wyraźniej to sobie wyobrażała, tym bardziej łzy napływały jej do oczu; z trudem je powstrzymywała.

Udało jej się dotrzeć do końca procesji bez jednej łzy. Ale kiedy już wszystkie dziewczęta pobiegły do zakrystii, ona, odnosząc koronę cierniową do specjalnej szafy w bocznej nawie, rozplakała się i rozżaliła na dobre, zasłaniając twarz, aby nikt nie widział.

Jakaś nieznajoma kobieta w wieku jej mamy podeszła do niej, wydobyła z torebki wyszywaną chusteczkę i wycierając jej oczy i nos, cicho powiedziała:

– Nie płacz, dziewczynko... Pamiętaj: Chrystus też cierpiał. On ci to kiedyś w życiu wynagrodzi...

Speszona Nusia szybko otarła łzy i pobiegła za dziewczętami. Nie chciała, by ktoś zobaczył ją zapłakaną.

...Ale na kolejne zbiórki Bielaneek już nie poszła.

... I to tyle, moja Kochana. Poza tymi dwiema pamiątkami na dzień czarnego piórnika nic więcej nie było. Przypomniały mi one moje dziecięce marzenia i rozczarowania, których w dojrzałym życiu także mi nie brakowało.

Ja, Twoja bardzo już dorosła mama, uśmiecham się z czułością nad tymi pamiątkami, nad tą małą dziewczynką, której częśćka tkwi we mnie nadal.

Zapewne napiszę Ci jeszcze o innych pamiątkach i związanych z nimi wspomnieniach, ale to już w kolejnym liście.

Całuje Cię mocno, Twoja pełna wspomnień mama.



„Wierszem rozmawiam ze światem”

POEZJA ELŻBIETY FERLEJKO

WOLNOŚĆ

NIGDY NIE JEST WOLNA

Wolność nigdy nie jest wolna

(gdy stajesz się wolnym)

Wolność ograniczona jest odpowiedzialnością

Tylko w niewoli jesteśmy od niej zwolnieni

Wolność ograniczona jest obowiązkiem

myślenia

Tylko w niewoli jesteśmy od niego zwolnieni

Wolność ograniczona jest koniecznością

wyborów

Tylko w niewoli wybierają za nas

Wolność ma swoją statuetkę

Niewola ma miliony pomników



GATUNEK

Jestem gejem żydem brzydkim psychicznie

chorym biedakiem

Jestem kotem ostrzelanym śrutem wystraszonego

wyjącym z bólu podpalonym psem

Przez ciebie

Jestem zgwałconą dziewczynką wrogiemu ci

narodu

I zastrzelonym niemowlęciem przez twojego

żołnierza

Jestem okradanym pracownikiem który im

więcej pracuje

Tym bardziej nie ma czym wyżywić rodziny

Jestem rodzicem któremu trudno

wychowywać bo musi karmić chronić

Opiekować się ubierać tłumaczyć poświęcać

czas kiedy podajesz pracę bez godziwej płacy

Szkoły bez nauczycieli media obrażające treścią

mną i moje dzieci

Tanie ubrania z ołowiu i rtęci fachowców bez

fachu o pretensjach do płacy

Jestem matką zapładnianą gwałconą bez

środków do życia bez szacunku i pomocy

dla moich dzieci które muszą

Jestem ojcem oskarżanym o molestowanie

swoich dzieci kiedy ci pasuje bo to modna

broń

I jeśli jestem człowiekiem

To kim ty jesteś

Skora ja bym ci tego wszystkiego w żadnej

części nie robiła

I nie mogę przez to się z tobą utożsamiać

To KIM ty jesteś



IMAGINACJA

Mogę sobie na to pozwolić

Mówi mi to Lustro

Wyobraźnia przechodzi na odwrotną stronę

Gdzie prawda może być kłamstwem

A imaginacja jest prawdą

Gdzie wszystkie znane nam wymiary są

względne

A wymiar, którego się domyślamy jest

jedynym rzeczywistym wymiarem

tam mogę być ze sobą u siebie



JUŻ PO

Wybiegłam w piękno dnia

Wolna od trosk

I bólu zapomnienia

Lekka i niewidzialna

Ku światłu

Gdy po bezdrożach
Na przełaj i na przekór szłam
Błądziłam, zawracałam
Lub w miejscu stałam
Czekając na znak
Czułam Je w sobie
Lecz nie rozumiałam
Czym Ono jest

A Ono było częścią
W nas zamieszkując Całości
Co nie należy do żadnej z planet
I z żadną materią się nie utożsamia
Wszędzie jest gościem
Póki nie trafi do siebie



JUŻ WIEM

Już wiem:
Światy równoległe się pomieszały
W wyniku jakiegoś kosmicznego zakłócenia
Dlatego się nie rozumiemy, mówiąc tym
samym językiem

Tak jest:
Świat kolorowy wymieszał się z czarnobiałym
A tego co jedni mają w genach drudzy próbują
się nauczyć
Nie rozumiejąc, że naturalność zawsze będzie
prawdą

A udawanie tylko pozorem
Ptaka nie musi nikt uczyć latać, ani ryby
pływać
Ale jeszcze niewielu jest w stanie to zrozumieć

A pewien profesor powiedział:
Kompleks niższości prowadzi do kompleksu
wyższości

Dokładnie
Kto nie ma pierwszego z kompleksów
Nie ma też tego drugiego problemu
Gdyż nie czuje powodu niczego udowadniać
Ponieważ zna swoją wartość jako człowieka
I nie musi niczyjej wartości zmniejszać, by
samemu pocuć się lepiej

Więc gdy spotkasz człowieka,
Który będzie Ci chciał udowodnić,
Że jesteś wart mniej niż Ci się według niego
zdaje



KIM

byłem wyjątkiem wśród zwierząt
byłem cudem siebie samego zachwycającym
i zagadką sobie samemu nigdy niezrozumiałą
byłem bohaterem ponad moje możliwości
i potworem dla innych
niekiedy bardziej niż sam sobie mogłem
wyobrazić

byłem Kobieta
byłem Mężczyzną
byłem Człowiekiem



MIŁOŚĆ NIE PRZYGARNIĘTA

Miłość nie przygarnięta
Zlekceważona, niechciana
Samotna i smutna
Błąka się między jawą i snem
Z tęsknoty niewyspana
Myli noc z dniem

Tak wiele zabłąkanych krąży
Samotnych serc
Bardziej z wyboru i lęku
Zmęczonych porażkami
Nienaturalny stan ten
Wypacza miłości sens
Tego rodzaju miłości
Co jest istotna parami



MOJE ZAISTNIENIE

Czy kogoś interesuje że jestem
 Poza kochającymi z natury?
 Czy zainspiruję Świat chociażby wierszem
 By refleksji Jego myślom dodać
 By w globalnym już, chocholim tańcu
 Całkowicie się nie zatracił
 Jakich proroków potrzebuje jeszcze
 Aby zrozumieć w końcu ich przesłania
 Budźmy się, budźmy
 Kilku nie wystarczy by dawać
 Kiedy miliardy do brania
 I wstyd mi za te naiwne uciechy
 Że ktoś się rodzi by potem
 za mnie w męczarniach umierać
 Ponosząc karę za moje słabości i grzechy
 Tylko dlatego że ja tkwię w letargu
 Bo nie chce mi się myśleć...



TO NIE MOŻLIWE

To nie możliwe, żeby CZŁOWIEK
 CZŁOWIEKOWI

To nie możliwe...

A JEDNAK

Co dzieje się z tą uznaną przez siebie samego
 istotą rozumną
 Gdy przestaje panować nad rządami

Ta namiastka rozumu nie wystarcza
 By panować nad zniewalającymi rządami
 Świadomość niewolnictwa zanika
 Gdy niewolą nas rządze chciwości i panowania

Ważne kto tu rządzi, o jakość rządów mniejsza
 Ważne, kogo reszta się boi, choć sensu
 specjalnie w tym nie ma
 Lecz cóż to za błogie uczucie
 Pozwalać żyć lub życia pozbawiać
 Dyktować jego jakość, prawa dawać, odbierać

Człowiek ma zawsze wybór:
 Może być zły albo dobry
 Może być głupi lub mądry
 Może mówić „tak” albo „nie”

Człowiek może wybierać:
 Pozostać może Człowiekiem
 Jeśli chce



NIEWIDZIALNA

Jestem niewidzialna
 Nawet Ci, którzy na mnie patrzą
 Wcale mnie nie widzą
 A jeśli już zauważą
 widzą najczęściej kogoś zupełnie innego
 pomimo moich tłumaczeń
 opowiadają o tym
 czego nie zobaczyli
 oceniają to czego nie ma
 nie wierząc w to jak jest
 faktycznie

taka moja Historia
 i taka jej historia



Wierszem rozmawiam ze światem
 Wierszem próbuję go poznać
 Słowo myśli oddaje hołd
 A myśl hołduje słowu

Daję upust tęsknotom skrzydlatym
 By jak najwięcej zeń doznać
 Moje zmysły wciąż głodne są
 Nie poradzi im czasu zmowa

Myśl przez słowo ciałem się staje
 Ale to niebezpieczna gra
 Używana przez barbarzyńcę
 Złej sławy nabawić się może

Trzeba bronić słowa wytrwale
 Wieszcz każdy takie zadanie ma
 By nie musiał się oblewać rumieńcem
 Spowiedników szukać w pokorze
 Kiedy miałoby się okazać, że zaniechał

Zaniedbał, pozwolił, nie napisał
Tego co by zatrzymało lawinę
Nieodpowiedzialnych myśli i słów
Co ciałem się stały



PIEKŁO I NIEBO

Nie znam innego piekła
oprócz tego na Ziemi.
Bo czy jest jeszcze ktoś,
kto może większe męczarnie i katusze wymyślić
niż te, jakie można oglądać na Ziemi?

Nie znam innego nieba
oprócz tego na Ziemi.
Bo kto wie o równie pięknym miejscu,
z przyrodą, której przez tysiące lat nie można
do końca poznać, i zachwytem nigdy dość.
Kto poznał inne rozkosze niż te,
odbierane przez zmysły, których dość na tyle,
że nie sposób w jednym życiu wszystkich
tych rozkoszy zaznać.

Nie znam większej zależności
niż zależność człowieka od człowieka,
który sam nie znaczy nic.
Wbrew zasadom matematyki
dwa to pierwsza liczba całkowita.
I w sferze emocjonalnej i w kwestii własnej
fizyczności.

W kategoriach piekła i nieba.

A Ty wiesz coś więcej, oprócz tego co się
jeszcze zdaje?



Po co nam te znajomości
Które tak okrutnie bołą

Na cóż nam te miłości niechciane
Te ciała jednostronnie pożądane
Te słowa, których nikt usłyszeć nie chciał
Na co nam to rozpamiętywanie?

Ileż masochizmu musi być w Niechcianym,
Skoro tak się swym nieszczęściem delectuje
Z jaką mocą musi On być swą tęsknotą
zaślepiany
Tak, że reszta świata wcale go nie interesuje

Jeden kamień w krtani i drugi na sercu
Zablokują mowę i energię
Nogi jak z ołowiu, oczy wciąż zdziwione
Że zdarzyło się inaczej niż to miało być



POZA ODPOWIEDZIALNOŚCIĄ

Oszlifować każde zdarzenie
Każdą zbrodnię i każdą zdradę
Każdy niezgrabny gest i nieudolne zaloty
Wyprostować każdy fałsz
I dobrać ideologię do kłamstwa
Podporządkować religie własnym potrzebom
politycznym

I jako święte prawa wygłaszać cyniczne herezje
Bez współczucia i empatii
Skazywać w ich imię innych na męki i śmierć
Podszywać się pod proroków wcześniej
Wymyślonych bogów
Na wzór i podobieństwo własnych demonów
Rządy władzy i bogactwa
Nad którymi nie panowali
Aż demony te opętały ich zupełnie
Zabijając człowieka w nich urodzonego
Lecz stłamszonego i zepchniętego
nad przepaść nicości

Tak świat przez nich budowany dążył
Ku unicestwieniu
Rozkoszując się w cudzym bólu
Zabawiali się szukając rozkoszy
W coraz to innych zabawach, gdyż
dotychczasowe

Szybko ich nudziły.
O tylko władza, coraz nowszego gatunku
I pomnażanie posiadania,
Dawały im rozkosz
I nie przeszkadzało im, że innym kradną czas
I chleb
Posiadając drugich
Słabszych lub wrażliwszych

Dając im minimum
Według własnej łaski na daną chwilę
Skazując na śmierć w razie takiego kaprysu
I tworzyli prawa, by zgodnie z prawem
Czynić swoje bezceństwa
A każdą krzywdę
Kwalifikowali jako zaistniałą zgodnie z prawem
Tłumacząc tym każdą głupotę i niegodziwość.



PRAWDA

Czy mamy do niej prawo?

złota księżniczka myśli
tajemnicza i niepewna
ale godna pożądania
i żadna rozgłosu
jednak nie zawsze wygodna
budzi tak wielu wrogów
którym nie w smak jej uroda



TE WSZYSKIE ZMYŚLY

Życia głód

Zapachy, smaki, dźwięki kolory,
i dotyk...
i magiczność słów...
Tyle potrzeba, by zmysły zaspokoić,
i ciągle mało
Życia
by zaspokoić ich głód.

zgarniam je więc całymi naręczami
wciąż odczuwając notoryczny głód
dźwięków mi bliskich
dotyku
słów spragnionych
tak żyjąc w cudzie
czekam wciąż na cud...



ZASZELEŚCIŁO

Zaszeleściło, zapukało, słowo
Nieśmiało a stanowczo
Jedna, druga, czwarta, dziesiąta
Pięćdziesiąta ósma strona...



ŻYCIE

Wszystko co żywe – żyje
Tylko człowiek musi się uczyć żyć
Przez całe życie

A Ziemia czy domem naszym jest
Czy zesłaniem
Kosmiczną Australią
Gdzie wygnać z niezbyt udanych
eksperymentów bogów
Łaskawie zostali wygnani?



Gdyby Słońce płakało
Gdyby Słońce się śmiało
Gdyby Słońcu się śniło
Gdyby Słońce bogiem było...

Gdyby Słońce słyszało
Gdyby Słońce mówiło
Gdyby Słońce kochało
Gdyby Słońce nie świeciło...

Co wtedy by było?..





Elżbieta FERLEJKO, urodziła się we Frampolu w 1967 roku. Obecnie mieszka i pracuje w Stalowej Woli.

Od lat szkolnych zapisuje swoje rozmyślenia w formie wierszy. Jak sama mówi, „pisze bo musi”.

Pisanie jest dla Elżbiety Ferlejko formą odreagowywania na otaczający nas świat i próbą wytłumaczenia sobie jego zjawisk, z którymi nie zawsze można się pogodzić. Być może jest to wręcz rodzajem terapii, bo niepisanie jest dla niej bardziej męczące...

Debiutowała na łamach lokalnego pisma „Sztafeta”. Publikowała swoje wiersze w czasopiśmie „Nadwiślocze”, „Głos Tyczyna”, kilka lat temu również w kwartalniku „Krynica”.

Jej wiersze drukowane są w cyklicznie wydawanych „Dorocznych spotkaniach poetów” w Przemyśle i „Spojrzeniach” – almanachu stalowowolskiego Stowarzyszenia Literackiego „Witryna”. Poetka od 2006 roku jest członkiem tego Stowarzyszenia.

Edward Guziakiewicz

TAK ŁATWO BYĆ DOBRYM...

ZACZAROWANA LASECZKA

Było sobotnie majowe popołudnie. Słońce akurat wyjrzało zza chmur, które od rana kłębiły się na niebie, więc Magda pomyślała, że wreszcie uda się jej wybrać ze skomlącym u drzwi Kajtusem na odkładany spacer do parku. Jej ukochany jamniczek o lśniącej brązowej sierści przepadał za dzikimi harcami. Ginał między krzakami głogu i bzu, między srebrnymi świerkami i jodłami, uganiał się za wróblami i kawkami, popisывał się jak mógł na swoich krótkich nóżkach i poszczekiwał na przechodniów. To ostatnie jej nie zachwycało. Nikogo jednak dotąd nie pogryzł, a jeśli już kogoś dopadł, kończyło się radosnym popiskiwaniem i przyjaznym oblizywaniem dłoni.

W parku dobrał się najpierw do burego kota, który wylegiwał się na ławce. Przegonił go w mig na rosnącą nieopodal topolę, a potem zaczął przymilać się do Magdy. Nie minęła jednak chwila i znowu go nie było. Pogonił za wymachującym białą laseczką przechodniem w szarym kapeluszu, niknąc za nim w sąsiedniej alejce. Kiedy dotarła do zakrętu, zamarło jej serce. Pies szarpał nogawkę spodni starszego pana i próbował złapać zębami jego laskę, którą tamten oganiał się od niego.

– Kajtuś, Kajtek – struchlała zawołała. – Wracaj natychmiast do pani! – Pognała za nim w te pędy, chwytając rozeźlonego jamniczka za wysadzaną cekinami obrozę i odciągając go od nieznajomego. – Bardzo pana przepraszam! – rzuciła, z trudem łapiąc oddech.



Tamten nie miał pretensji do jej małego przyjaciela. Nie należał do tych dorosłych, którzy obrażali się z byle powodu.

– Nie przejmuj się – życzliwie odpowiedział. – Zdraż się! Pies musi się wyszaleć. Nie może być bez przerwy trzymany na uwięzi.

Zgadzała się z rozmówcą, ale nie wypadało jej otwarcie stawiać po stronie małego łobuza.

– Owszem, musi. Czy można jednak pozwalać na to, żeby gryzł wszystko, co wpadnie mu w zęby? Jeszcze raz pana przepraszam! – z przejęciem wydukała. Z troską przyjrzała się szarym spodniom przechodnia, a potem jego laseczce, szukając śladów po wyczynach rozdokazywanego czworonoga.

– Nic się nie stało, wierz mi – nadal uspokajał ją nieznajomy. Okazał się nadzwyczaj skory do rozmowy. – Cieszę się – dodał – że twój jamniczek jest taki rezo-lutny.

– Re-zo-lut-ny? – zdziwiła się, nie pojmując, co tamten ma na myśli.

– O, tak – z przekonaniem potwierdził. – Chyba wyczuł, że laseczka, którą z sobą noszę jest zaczarowana...

Zrobiła wielkie oczy. Czyżby jej przypadkowego rozmówcy nie opuszczała ochota na żarty? Chodziła do czwartej klasy i daleka była od tego, żeby wierzyć w czary. Na wszelki wypadek uważnie przyjrzała się rączce, rzeźbionej w esy-floresy.

– Za-cza-ro-wa-na? – skrzywiła się. – Nie wygląda na taką.

Starszy pan zagadkowo się uśmiechnął. Nie przejął się wcale jej zastrzeżeniami. Zresztą każdy na jej miejscu miałby wątpliwości.

– Mogę ci pokazać, co ona potrafi – usłużnie zaproponował, gotowy do popisu. Uniósł laseczkę do góry i niczym sztukmistrz w cyrku wykonał nią kilka sekretnych ruchów. W rezultacie tego Kajtek gwałtownie zaszczekał, wyrwał się Magdzie z rąk i jak szalony rzucił się na trawnik.

Spojrzała za nim, a z wrażenia serce jej załomotało. Nieopodal krzewów bzu kicało stado śnieżnobiałych

króliczków. Z całą pewnością przed chwilą ich tam nie było.

Jej rozmówca nie pozwolił jednak jamnikowi dopaść bezbronnych stworzonek. Laska wykonała kolejny półobrót w powietrzu i króliki z nienacką zamieniły się w białe gołębie. Te szybko odfrunęły, przestraszone przez psisko.

– Pan jest czarodziejem – wyszeptała Magda zbiełymi z wrażenia wargami. Nie sądziła, że takich ludzi naprawdę można spotkać. Wydawało się jej, że są tylko w książkach dla dzieci.

– Czasami tak mnie nazywają – z dumą odpowiedział starszy pan. – Ale nie musisz się obawiać – z zadowoleniem obejrzał laseczkę. – Nie czynimy bowiem nikomu krzywdy, ani ona, ani ja.

Kajtek wrócił i jeszcze raz z przejęciem zlustrowała staruszka. Nic szczególnego nie wpadło jej jednak w oczy. Podobni do niego spacerowali po ulicach, w supermarketach stawali w kolejce do kasy i objuczeni zakupami wsiadali do tramwajów.

– Nie przypomina pan nikogo takiego, kto byłby zdolny do czegoś złego – wydusiła z siebie, przestępując z nogi na nogę.

Nieznajomy z uśmiechem podał jej laskę.

– Przyjrzyj się jej z bliska – rzucił zachęcająco. – To nie są kije samobije...

Dziewczynka odważnie wzięła ją do rąk i obejrzała ze wszystkich stron. Laseczka jak laseczka, nie wyglądała groźnie.

– Jeśli zechcesz – kusząco podpowiedział czarodziej – z jej pomocą mogę cię przenieść do świata prawdziwych bajek.

Kręciła nosem, oddając mu magiczny przedmiot. Nie wypadało jej łakomić się na taką propozycję. Przecież nie знаła spotkanego mężczyzny i nic o nim nie wiedziała. Właściwie już miała odejść i z zalem go pożegnać, gdy jej mały przyjaciel nagle ją zatrzymał. Przyśiadł na krótkich łapkach i zaskomlał tak prosząco, że nieoczekiwanie dla samej siebie wywnioskowała, iż nie może odmówić. Jakby wtrąciły się siły wyższe...

– Zatem wyruszamy! – zawołał starszy pan, szczerze uradowany tym, że Magda mimo oporów nabrała ochoty na podniecającą wyprawę.

Laseczka wykonała w powietrzu kilka piruetów i nagle zapadła ciemność. Zaraz jednak zabłyśło światło, lecz po parku, drzewach, alejkach i ławkach nie zostało nawet śladu...



Otoczenie, w którym się znaleźli, w niczym nie przypominało przed chwilą opuszczonego świata. Trafili do baśniowego pałacu, w którym mieszkały żywe zabawki oraz postaci z filmów dla dzieci. Było ich tutaj tak dużo, że Magda nie mogłaby ich policzyć, choćby chciała. Czując się jak u siebie czarnoksiężnik wyglądał inaczej niż przedtem. Zdobiła go długa czarna oponcza, a zamiast wymiętego szarego kapelusza miał na głowie błyszczący cylinder.

Kajtek trochę się boczył. Jednak wkrótce porwał go świat zabaw i zniknął między marionetkami i rozbrykanymi pluszowymi misiami. Chłodzące napoje roznosiły brodate krasnale w czerwonych kubraczkach i czapkach. Szli, mijając kolejne gustownie wyposażone sale. Dotarli do skrzydła, w którym odbywał się iście królewski bal i popisywano się wytwornymi dworskimi tańcami.

– Ależ tu superowo! – szepnęła Magda, zauroczona niezwykłym pałacem i panującą w nim atmosferą. – Lecz... wydaje mi się, że skądś znam te wnętrza... i te wesolutkie lale.

Na twarzy starszego pana zaigrał półuśmiech.

– Hę, nic dziwnego, to świat twojej wyobraźni. Nie brakuje mu barw, bo cechuje cię optymizm, a z natury jesteś promienna i radosna – skwapliwie wyjaśnił. – Umiesz się cieszyć i zależy ci na tym, żeby inne maluchy też się cieszyły. sZaraz jednak dziwnie posmutniał i wyczuła, że nie pozostaną tu długo. – To jeszcze nie wszystko, co chciałem ci pokazać – zdradził się ze swymi zamiarami. – Proponuję następną wycieczkę! – poddał myśl, zerkając na nią badawczo.

Złapała na ręce jamniczka, obawiając się, że zawieruszy się w mijanych komnatach i że go potem nie odzyska. Jej przewodnik zaś przystanął i sięgnął po ukrytą

pod opończą laseczkę. Znowu wykonał kilka tajemniczych znaków. Nie wrócili jednak do parku.

Zabłyśło światło, ale nieefektywne, nijakie i mdłe. Z trudem przebijało się przez unoszące się wokół opary. Nieznana gładź, na której się znaleźli, nie miała barw – była szara i monotonna. Tonęli we wszechogarniającej wszystkim mgle i poruszali się jak w mazi, ledwo powłócząc nogami. Straszło pustką i chlupało pod stopami. Wyrastały przed nimi co rusz opadłe z liści rosochate wierzby. Czarnoksiężnik przeobraził się, dopasowując do odpychającego otoczenia. Przypominał teraz żebraka o ziemistej wychudłej twarzy. Okrywały go brudne łachmany, nie chroniące przed zimnem.

– Hej, hej, jest tu ktoś? – zawołała dziewczynka.

Odpowiedziało jej przytłumione echo. Zawył ostry świszczący wiatr i zakaszał w czarnych mokrych konarach.

– To wyobraźnia kogoś, kto mieszka blisko ciebie, w twojej kamienicy – podpowiedział jej żebrak, narzucając sobie na głowę bezkształtny kaptur, spod którego wyzierały tylko czujne oczy.

Zmarszczyła brwi, usilnie próbując sobie uzmysłowić, kto w jej otoczeniu jest smutny. Przypomniała sobie o małej sąsiadce z pierwszego piętra, z którą nikt nie chciał się bawić.

– Domyślam się – w pewnej chwili rzekła. – Anichybi, to ta drobna Agata. Ma takie śmieszne mysiewarkoczki i bladą buzię, która od dawna nie widziała słońca. Wychodzi czasami na podwórkę, ale tylko stoi i patrzy. Nie odzywa się do nikogo. Nie próbuje dokaazywać. Nawet nie gra w klasy...

Jamniczek zdawał się rozumieć, kogo wspomina jego pani i lękliwie zaskomłał.

– Zatem orientujesz się, że to o nią chodzi – ucieszył się starszy pan i odniosła wrażenie, że odetchnął z ulgą. – A skoro już o tym wiesz, możesz spróbować jej pomóc.

Spojrzała na czarnoksiężnika ze zdziwieniem w oczach. Nie sądziła, że z wyprawą do bajkowych dali może wiązać się jakiś ukryty cel. Przypuszczała, że miał na myśli tylko niezobowiązującą zabawę.

– Ja?! – nie mogła wyjść ze zdumienia. – Dlaczego właśnie ja?

Nie odpowiedział. Uniósł do góry laseczkę i wykonał nią kilka ruchów. W te pędy pożegnali ponury świat. Rozpłynął się przed ich oczami, zamieniając się w czerni. W chwilę później świeciło już złote słońce.

Byli w parku, dokładnie tam, skąd wyruszyli w tajemniczą podróż. Uradowany Kajtek skoczył między klomby z bratkami.

– Dlaczego ty? – tamten wrócił do postawionego przez nią pytania. Króciutko się zastanawiał. Miał znowu na głowie ten sam co poprzednio szary kapełusz. – Dlatego, że to potrafisz. Nic ponad twoje siły. Możesz sprawić, że świat marzeń Agaty stanie się taki sam jak twój – przypieczętował, pewny tego, że się nie myli.

– Nie wiedziałam, że będę w stanie temu podołać – nieuważnie odrzekła Magda. Wypatrywała psotliwego Kajtka, który hałaśliwie ujadął, skryty w krzewach.

– Będziesz w stanie, jeśli zechcesz!

Pobiegła za psem, zastanawiając się, czy czarodziej nie wymaga od niej za wiele. Dopadła jamnika i założyła mu smycz.

– Zgadzam się! – odkrzyknęła, gdy powróciła na ścieżkę. – Zajmę się Agatką...

Ostatnie słowa utknęły jej w gardle. Nieznajomego przechodnia nigdzie nie było. Przetarła oczy ze zdumieniem i z uwagą rozejrzała się dokoła.

– Czyżby mi się przywidziało? – zapytała małego przyjaciela. Czworonoga jednak nie zajmowały takie rzeczy. Wyrывał się jej z rąk i chciał gnać przed siebie. Pociągały go tylko psie figle.

TAJEMNICZY PĘDZEL

Przez witrażowe szybki przeświecały przytłumione różnokolorowe światła. Zamiatająca trenem Maja pokłoniła się przed kryjącą się w półmroku widownią. W długiej stylowej sukni wyglądała jak dama z królewskiej świty, nawykła do wyszukanych manier i dworskiej etykiety. Z wdziękiem dygnęła i uśmiechnęła się

do przybyłych na widowisko. Siedziały przed nią różowe świnki, zielone żaby, szare zajaczki, wachlujące się uszami słonie, wyciągające szyje żyrafy i pasiaste zebry, gotowe pognać na złamanie karku antylopy, szczycące się grzywami lwy, pręgowane tygrysy, a nawet straszące zębami krokodyl. Lale wyniosłe rozpierały się na krze-

sełkach, dumne z wyszukanych kreacji. Tworzyły śmietankę towarzyską, której nie powstydziłby się najlepszy sklep z zabawkami.

– Serdecznie witam wszystkich – ceremonialnie rzekła dziewczynka. – Ogromny to dla mnie zaszczyt móc zapowiedzieć uwielbianego na wszystkich kontynentach wykonawcę. Przed państwem długo wyczekiwany... światowej sławy mistrz magii!

Wyobraziła sobie, że jest konferansjerem w najprawdziwszej pod słońcem sali koncertowej, może nawet Sali Kongresowej, i że jej słowa przyjęto burzą oklasków. Kłaniała się na prawo i lewo niby diwa w operze, z wdziękiem rozsyłając całusy.

Wymaglinowane oklaski wreszcie ucichły, a na scenie pojawił się jej ojciec w stroju czarnoksiężnika. Trudno było go poznać, bo krył twarz za wąsikami i brodą. Wysoką spiczastą czapkę pokrywały srebrne gwiazdki. Podobne znaczyły się na czarnej opończy, którą się owinał.

– Mili państwo – rzekł z godnością, przyjmując z uznaniem wiwaty. – Przybyłem tu z siedmiu wzbudzonych mórz, z siedmiu stromych gór i z siedmiu rwących rzek. Zawitałem tu, gdyż cenię sobie towarzystwo laleczek w wytwornych balowych sukniach, jak również kompanię przeżabawnych różnobarwnych zwierzątek. Jednak nie tylko to dzisiejszego dnia mnie tutaj przywiodło...

Zebrani wsłuchiwali się z zapartym tchem, a niektóre lale z pierwszych rzędów półszepem wymieniały uwagi. Słodka Barbie przylepiła się do ucha swojej przyjaciółki, krówki Muci. Czarnoksiężnik zaś ciągnął dalej:

– Jak wiecie, nazywają mnie malarzem-czarodziejem. Nie zajmuję się jednak twórczością sztalugową ani graffiti. Nie organizuję happeningów. Nie smaruję kredą po asfalcie. Nie barwię kwiatów na łąkach i w ogrodach, pozostawiając te wiosenne prace innym magom. Tych matka natura ma wielu pod ręką. Natomiast maluję dziecięce dusze. Nasycam je kolorami tęczy, aby urwisy były pogodne i promienne. Uśmiechnięte od ucha do ucha. Zachwycone życiem. Pełne radości i rozbrykane...

Maja jak klakier zaklaskała w dłonie. Zabawki w mig pojęły, w czym rzecz, więc znowu brawom i wiwatom nie było końca.

– Tak więc maluję ludzkie serca tajemniczym pędzlem, którego nie można nabyć w żadnym sklepie z przyborami szkolnymi – snuł wątek czarodziej.

– Szczególnie zaś dbam o duszyczki chorych dzieci. Nie chcę, żeby urwisy były smutne.

Widownia zamilkła. Lale najlepiej wiedziały, że pobyt u schorowanych maluchów nie należał do najłatwiejszych zadań. Trzeba było niezwykłych umiejętności, żeby pocieszyć takie brzdące.

Czarnoksiężnik nadal stał na scenie. Rozumiał ból lalek. Szeroko rozpostarł ramiona. Jego opończa wydawała się zamieniać w ogromne skrzydła, ale zwierzątka były pewne, że ich rozmówca nie opuści ich i nie odrzuci jak rajska ptak. Wzniósł dłonie do góry i z nagłą zagrmiało. Błysnęło tajemnicze światło i buchnęło białym dymem. W prawej ręce czarodzieja pojawił się magiczny rekwizyt. Pędzel wyglądał jak prawdziwy, niby z drewna i włosów, ale wszyscy wiedzieli, że tak nie jest. Został uformowany z promieni słońca.

– Pragnąłbym teraz od was, drodzy państwo, usłyszeć, czyją duszę mam pomalować w pierwszej kolejności? – zapytał widownię, gdy rozwił się biały dym. – Kto zasługuje na to, żeby obdarować go promiennym uśmiechem?

Lale popadły w zamyślenie. Znały wiele dzieci, więc wybór nie był łatwy. Jak rozstrzygnąć, komu należy się pierwszeństwo? Oglądały się na misie i słonie, te zaś z kolei zerkaly na dziewczynkę.

Maja postanowiła wybawić zabawki z kłopotu. Wiedziała, który maluch najbardziej potrzebuje pomocy.

– Może Kamil? – odpowiedziała w imieniu lalek.

Chłopczyk był chory i nie mógł wychodzić na spacer, chociaż świeciło słońce, a inne dzieci hasały po parku. Lale z rozmysłem przytakiwały. Pluszaki również zgadzały się z propozycją dziewczynki.

– Przeto dokonaliśmy wyboru – orzekł czarnoksiężnik. Poglaskał w zadumie siwą brodę i dotknął su-



miastych wąsów. – Przenoszę was wszystkich do mieszkania Kamila. – Włożył pędzel pod pachę i teatralnie klasnął w dłonie. – Uwaga! Hokus pokus! Raz, dwa, trzy! Już!

Maja nie pojmowała, jak ojciec to robi. A może był prawdziwym czarodziejem, tylko dotąd to przed nią ukrywał? Błysnęło i zagrzmiało, a cała gromada znalazła się raptem w innym miejscu. Byli przy łóżeczku chorego chłopczyka, który nie mógł opuszczać mieszkania.

– Jest, jest nasz Kamilek! – ucieszyły się lale. Misie, żyrafy, słonie i krokodyl zajęły natychmiast wygodne łóżka na kołderce. Króliczki i świnki pod wodzą Kaczora Donalda przytuliły się do smutnego dzieciaka.

– Dzień dobry – powitał go czarodziej. – Złożyliśmy ci wizytę, Kamilu, bo chcemy nasycić twoją duszę wszystkimi kolorami tęczy.

– Siemanko! Heja! Ciao! – powtórzyły jak echo zabawki, które nie zapomniały o tym, że obowiązują je zasady *savoir-vivre'u*. Jeśli składało się wizytę w obcym mieszkaniu, należało zacząć od uprzejmego powitania.

Chłopczyk z wrażenia zrobił wielkie oczy. Ze zdziwieniem przetarł piąstkami powieki, lecz zaraz na jego bladej twarzyczce pojawił się uśmiech. Uniósł się, podpierając się na poduszce.

– Jak to miło, że do mnie wpadliście – odpowiedział. – Wprawdzie nie rozumiem, skąd się tu wzięliście, ale to nie szkodzi. Lubię roześmianych gości!

Maja pogłaskała go po płowej czuprynie, a potem serdecznie ucałowała. Zabawki poszły w jej ślady. Kamilek tulił je do siebie, odwzajemniając buziaczki. Różowe kucyki z radości tańczyły w kółko po kołderce.

Ojciec przywołał wszystkich do porządku. Machnął zaczarowanym pędzlem jak dyrygent batutą w filharmonii.

– Mamy niewiele czasu – wyjaśnił – gdyż nie możemy pokazywać się dorosłym. Nie wszyscy starsi wierzą bowiem w magiczną moc dziecięcej wyobraźni. Ponadto nie każdemu można zdradzać sekrety zabawek. Zatem do dzieła – rozstrzygnął.

– Do dzieła – podchwyciły lale. Wpatrywały się z uwagą w czarodzieja, który sięgnął tajemniczym pędzlem do góry, jakby chciał nabrać farby z niewidocznej palety.

I stało się coś niezwykłego, co na co dzień się nie zdarza, a co ma miejsce tylko w najpiękniejszych baśniach. Promień złotego światła spłynął z nieba, trafiając w serduszek chłopca i grając na jego pościeli

wszystkimi barwami tęczy. Maja poczuła, że dziwna dobroć zstępuje z góry. Światło się rozproszyło, ogarniając wszystkich, zebranych przy łóżku chorego Kamila.

Ojciec nie trzymał już w rękach swego nieodłącznego rekwizytu. Zaczarowany pędzel pochwyciły inne, prawie niewidzialne, ciepłe dłonie...

Obudziła się, ziewając i przeciągając się szeroko. Miała na sobie piżamkę w czerwone i niebieskie kaczuszki. Słońce prześwitywało między kotarami. Złote promyczki zaglądały jej w twarz, a po pikowanej kołderce tańczyły wesołe zajączki. Zza uchylonego okna dobiegał uliczny szum.

Dziewczynka podniosła się z pościeli i rozejrzała po dziecięcym pokoju. Zerknęła na zegar na ścianie.

– Niestety, to był tylko sen – stwierdziła z nutą zawodu w głosie.

Lalki siedziały cicho na półkach, nie afiszując się tym, że umieją ze sobą rozmawiać. Spryciary udawały, że nie pamiętają czarodziejskiej wyprawy. Pluszowe zwierzaki również nie okazały tego, że w nocy przeżyły niecodzienną przygodę.

– A może to nie był sen? – Majeczka głośno się zastanowiła, lustrując wzrokiem swoje zabawki. Jej mama właśnie zajrzała do pokoju, a jej delikatne dłonie skojarzyły się jej z tymi, które widziała w nocy.

Obok szafki na książki zalegała na dywaniku opończa w srebrne gwiazdki, a przy niej leżała spiczasta czapka czarnoksiężnika. Poprzedniego dnia ojciec używał tych rekwizytów, występując w domowym teatryku.

– Jednak Kamilek jest prawdziwy – odkrywczo rzekła Maja, gdy mama wyszła z jej pokoju, pozostawiając ją samą. – I faktycznie jest chory i smutny.

Odsunęła kotary, a następnie franki, wyglądając przez okno na ulicę. Potem wróciła do zabawek. Wzięła na ręce lalkę Barbie i Kaczora Donalda. Przez króciutką chwilę wydawało jej się, że zwierzaki chcą się z nią czym ważnym podzielić. Nadstawiła uszu, wsłuchując się w prawie niesłyszalne szepty.

– Macie rację – rzuciła z przekonaniem, gdy już pojęła ich intencje. – Ech, tak pięknie tuliłyście się do tego chłopczyka! – z błyskiem w oku dodała. – Powinnyśmy wybrać się do niego z wizytą – rozstrzygnęła. – I naprawdę go odwiedzić, nie tylko we śnie. Odstawiła zabawki. – To świetny pomysł. Kapitalny! – wykrzyknęła. – Przy łóżeczku Kamila urządzimy komiczne przedstawienie. Będzie zabawa na sto dwa!



Na gałązce wierzby
Chciałabym się kołysać.
Szarym skrzydłem ptaszyny
W mgle porannej szlak pisać...
I chciałabym błękitną
Niezapudki mieć głowę
Lub jak kwiatki, co kwitną,
Białe, lila, różowe...

Maria Konopnicka
Fragment wiersza „Echa majowe”